

Peter Mayle

Peter Mayle

Pogoń za Cezanne'em

przełożyła Zofia Zinserling

Warszawa 1998

Tytuł oryginału „Chasing Cezanne”

Ernestowi

Recepcjonistka pasowała do wystroju, była rekwizytem w ludzkiej postaci, idealnie zharmonizowanym z powściągliwą, nieomal surową wytwornością otoczenia. Gładka, opanowana, w beżu i czerni, szeptała do telefonu, ignorując wymiętoszonego młodego człowieka, który stał przed nią. Lekka zmarszczka zagroziła gładkiej masce jej makijażu, kiedy zobaczyła, jak młody człowiek kładzie porysowaną skórzaną torbę na nieskazitelnie pustym blacie biurka z politurowanego jaworu. Odłożyła słuchawkę i odgarnęła pasmo blond włosów, aby zawiesić złoty kolczyk, zdjęty dla ułatwienia rozmowy. Jej nienagannie wyskubane brwi uniosły się i utworzyły dwa pytające łuki. Młody człowiek powiedział z uśmiechem:

- Dzień dobry. Jestem umówiony z Kamillą. Brwi pozostały uniesione.

- Naprawdę?

- Andre Kelly. Pani tu od niedawna?

Recepcjonistka nie raczyła udzielić odpowiedzi, kiedy zdejmowała kolczyk i podnosiła słuchawkę. Andre zastanawiał się, dlaczego Ka-milla wciąż angażuje takie dziewczyny. Rzadko utrzymywały się na posadzie dłużej niż parę miesięcy, po czym ich miejsce zajmował kolejny wygładzony klon - dekoracyjny, z lekka nieżyczliwy, nieugięte zblazowany. A gdy odchodziły, to dokąd? Do działu kosmetycznego u Barneya? Do obsługi klientów w eleganckim domu pogrzebowym? Czy też zakochiwały się w jednym z licznych przyjaciół, jakich Ka-milla miała w niższych warstwach arystokracji europejskiej?

- Jej zebranie się przedłużyło. - Palec wskazał oddalony kąt recepcji. - Tam może pan zaczekać.

Andre, uśmiechnąwszy się znowu, zabrał swoją torbę.

- Zawsze była pani taka nieprzyjemna czy też musiała się tego uczyć?

Ale rzucał słowa na wiatr. Słuchawka już zniknęła, wetknięta pod połyskliwe skrzydło z*włosów, i na

nowo zaczęły się szeptki. Andre usadowił się na krześle, przygotowany na długie czekanie.

Kamilla słynęła z umyślnej niepunktualności - w niektórych ludziach budzącej podziw - z umawiania się z dwiema osobami na tę samą godzinę, ze stwarzania sytuacji, które podkreślały jej wydawniczą charyzmę i pozycję towarzyską. To ona dokonała wynalazku w świecie ważnych lunchów, kiedy zaczęła rezerwować w „Royalto-nie” dwa stoliki na ten sam dzień i przenosić się od jednego do drugiego - tu skubnęła trochę cykorii, tam łyknęła wody evian - równocześnie zabawiać ważnego klienta od reklamy i obiecującego architekta z Ameryki Południowej. Zasłużyła sobie na uznanie, bo nikt się nie obrażał, a lunch na dwa stoliki wszedł od tej pory do socjo-korporacyjnego repertuaru Kamilli.

W końcu taka ostentacja uchodziła jej oczywiście na sucho, gdyż odniosła sukces, a w Nowym Jorku ludziom sukcesu wybacza się najróżniejsze rodzaje niegrzeczności. Kamilla uratowała niemłode czasopismo od powolnej śmierci, zmodernizowała je, zmieniła tytuł, przeniosła na emeryturę jego szacownych współpracowników, zaczęła zamieszczać żywy, lecz zaangażowany społecznie „List od redaktora”, unowocześniła okładki, typografię, zdjęcia, nie mówiąc o recepcjonistce i samej recepcji. Nakład się potroił, stale wzrastała liczba stron z reklamami, właściciele pisma, choć jeszcze tracili pieniądze, pławili się w odbitym blasku, jaki rzuca coś, co nagle zdobywa popularność. O magazynie się mówiło, a Kamilla Jameson Porter na razie postępowała słusznie.

Gwałtowny rozwój pisma, choć niewątpliwie ułatwiony kosmetycznymi zmianami w wyglądzie zewnętrznym, w istocie zależał prawie wyłącznie od czegoś bardziej zasadniczego: od filozofii wydawniczej Kamilli.

Ta filozofia rozwinęła się w dziwny sposób. Za młodu Kamilla, jako ambitna, lecz nieznana dziennikarka, pisująca do rubryki P i O (plotki i oszczerstwa) w ilustrowanej londyńskiej gazecie z aspiracjami towarzyskimi, zdołała złapać bogatego męża z wyższych sfer - wysokiego, ciemnowłosego mydłka, Jeremy'ego Jamesona Portera. Skwapliwie skorzystała z jego nazwiska (o tyle bardziej eleganckiego od tego, z którym przyszła na świat, a które brzmiało Boot) i ustosunkowanych przyjaciół. Niestety, z jednego z nich korzystała zbyt entuzjastycznie, na czym została przyłapana. Doszło do rozwodu, lecz Kamilla tak długo już obracała się w kręgu ludzi majątnych, że nauczyła się czegoś, co miało tak dobrze służyć jej w Nowym Jorku.

Było to bardzo proste. Bogaci lubią nowe nabytki i z paroma godnymi uwagi wyjątkami lubią, aby inni o nich wiedzieli. W końcu połową satysfakcji, płynącej z życia pełnego przywilejów, jest zazdrość otoczenia; a po cóż posiadać rzeczy rzadkie i kosztowne, jeśli nikt o tym nie wie?

Ten dość oczywisty fakt powracał na myśl Kamilli, ilekroć zastanawiała się, jaka przyszłość czeka ją, kobietę niezamężną i bez pracy. Aż pewnego dnia natrafiła na katalizator, który intuicyjne wyczucie uczynił podstawą kariery.

W poczekalni dentystycznej wzięła do rąk kolorowy plotkarski magazyn, zaintrygowana fotografią na okładce. Ukazywała światowej sławy arystokratycznego kolekcjonera sztuki, upozowanego przed swym najnowszym Tycjanem ze swą najnowszą żoną. Dlaczego, zastanawiała się Kamilla, taka para godzi się na publikowanie zdjęć w takim piśmie? Na jej pytanie odpowiedział zamieszczony na łamach tekst. Uniżony,

bezwstydnym w pochlebnych opisach zbieracza, jego młodej żony o jędrnym ciele i pełnego dzieła sztuki pięćdziesięciosiedmiopokojowego gniazda na najbardziej elitarnym stoku górskim z widokiem na jezioro Como. Potokowi prozy towarzyszyły liczne fotografie - z pewnością rozjaśnione i równie pochlebne. Każde słowo, każdy obraz potwierdzał absolutną cudowność pary małżeńskiej, wiodącej cudowne życie w cudownym domu. Aż na siedmiu stronach.

Kamilla do końca przejrzała magazyn, ilustrowaną kronikę poczynań niezbyt zajętego odłamu europejskiej socjety - balów charytatywnych, promocji perfum, otwarć galerii, pustych rozrywek, które wciąż tej samej grupie ludzi dostarczają pretekstu do wpadania na siebie - quelle surprise! - w Paryżu i Londynie, w Genewie i Rzymie. Na kolejnych stronach uśmiechnięte twarze, nudne nagłówki, dęte wydarzenia. A jednak, wychodząc od dentysty, Kamilla zabrała z poczekalni magazyn i tamten wieczór spędziła w zadumie nad historią pary z okładki. Stopniowo w jej głowie zaczął przybierać kształt pewien pomysł.

Sukces rzadko można osiągnąć bez odrobiny szczęścia, a w przypadku Kamilli to szczęście przybrało postać telefonu od zaprzyjaźnionego nowojorskiego dziennikarza. Chyba we wszystkich mediach

Manhattanu głośno było o braciach Garabedian i ich nieoczekiwanym pojawieniu się na rynku wydawniczym.

Zbijali fortunę kilkakrotnie: na prywatnych klinikach, pośrednictwie handlowym i wywozie odpadów, a ostatnio kupili kilka spółek, w ich liczbie małe wydawnictwo książkowe,

gazetę na Long Island i parę specjalistycznych czasopism w różnych stadiach rozkładu czy upadku. Zgodnie z domysłami, bracia Garabedian przejęli tę grupę z uwagi na jej główny majątek, czyli budynek w alei Madisona, ale krążyły pogłoski, że jeden czy dwa magazyny może ocalać i mówiąc słowami młodszego Garabediana, zostaną „podreperowane”. Analitycy finansowi tłumaczyli to jako zapowiedź poważnych zastrzyków kapitału. A takim pismem, jakoby nadającym się do podreperowania, był „Kwartalnik Wnętrzarski”.

Można by oczekiwać, że taki magazyn, z pozawijanymi, żółkłymi kartkami, będzie leżał w salonie dawno opustoszałej rezydencji w New-port. Poważny w tonie, z wyglądu niechlujny. Z nielicznymi, z rzadka rozsianymi reklamami, na ogół tkanin zasłonowych i pseudowielko-pańskiego sprzętu oświetleniowego. Autorzy artykułów pisali o rozkoszach, jakich dostarczają ozdoby z połćanego brązu, i o sposobach właściwego obchodzenia się z osiemnastowieczną porcelaną. Wydawcy kwartalnika zdecydowanie odwracali się od wszystkiego, co choć trochę zalaływało nowoczesnością. A mimo to magazyn zdołał zachować wąskie grono czytelników, choć kulał i przynosił marginesowe, coraz mniejsze zyski.

Starszy Garabedian patrzył na liczby i opowiadał się za jego likwidacją. Natomiast drugi z braci miał młodą żonę, która określała siebie mianem kobiety rozmiłowanej w urządzaniu domów i czytywała podniecające rzeczy o Philippe Starcku. Namówiła męża, aby rozważył akcję ratunkową, dzięki czemu zgon „Kwartalnika Wnętrzarskiego” nieco się opóźnił. Gdyby dało się znaleźć właściwą formułę wydawniczą, pismo mogłoby nawet mieć przed sobą przyszłość.

Rozesłano wici; pełno było kaczek dziennikarskich. Kamilla, poinstruowana przez swego przyjaciela, przyjechała do Nowego Jorku ze szczegółową propozycją, którą w najkrótszej z posiadanych spódniczek przedstawiła Garabedianowi młodszemu. Prezentacja trwała od dziesiątej do czwartej, z dwugodzinną przerwą na lekko flirciar-ski lunch. Trzeba powiedzieć, że na Garabedianie równe wrażenie wywarły pomysły, jak nogi Kamilli, toteż została zaangażowana.

Pierwszym jej posunięciem wydawniczym była zmiana tytułu czasopisma: od tej pory „Kwartalnik Wnętrzarski” miał się nazywać „KW”. Nowy Jork obserwował i czekał.

Sposobem nowych redaktorów, wyciskających swe piętno, Kamilla z miejsca wyasygnowała znaczną sumę z kieszeni Garabediana na promowanie własnej osoby. Widywano ją - oczywiście stosownie i drogo ubraną - przy wszystkich odpowiednich okazjach, promiennie uśmiechając się do wszystkich odpowiednich ludzi, a te magiczne momenty utrzymywał jej osobisty paparazzo. Na długo przed ukazaniem się pierwszego numeru „KW” zdołała zdobyć pewną sławę, opartą wyłącznie na czymś tak mało konkretnym jak aktywność towarzyska.

Ale te niezliczone wieczory, kiedy widywała, była widywana i zaskarbiała sobie względy, a później te dziesiątki lunchów miały się opłacić. Kamilla wkrótce poznała wszystkich, których musiała poznać - to znaczy bogatych i znudzonych, zajmujących towarzyskie szczyty, i co może najważniejsze, ich wnętrzarzy. Szczególną uwagę zwracała na dekoratorów, wiedziała bowiem, że częstokroć ich wpływ na klientów nie ogranicza się do rad dotyczących tkanin i mebli; wiedziała też, że dekoratorzy lubią rozgłos.

I tak w tych rzadkich wypadkach, kiedy jedna z wybranych ofiar magazynu niechętnie odnosiła się do myśli, że jej dom czeka inwazja fotografów, dziennikarzy, kwiciarzy, projektantów i licznych czarno odzianych asystentów z telefonami komórkowymi, Kamilla dzwoniła do wnętrzarza. On zaś wywierał nacisk na klienta. Drzwi się otwierały.

W ten sposób Kamilla potrafiła docierać tam, gdzie nie dotarł przedtem żaden inny drogi magazyn. Istotnie, jej pierwszy numer zawierał bombę, podwójny triumf- trypoziomowe mieszkanie przy alei Parkowej (z impresjonistą w każdej łazience) i dom na karaibskiej wyspie Mustique (trzech służących na jednego gościa), własność Richar-da Clementa z Clementów z Wall Street. Zazwyczaj strzegący swej prywatności stary kawaler, niemal odludek, uległ, kiedy jego młody włoski towarzysz (również początkujący wnętrzarz) i Kamilla wykonali manewr oskrzydlenia. W rezultacie powstał artykuł, dwadzieścia stron przesłodzonego opisu i soczystych fotografii, dostrzeżony w szerokich kręgach i budzący wielki zachwyt. „KW” pięknie wystartował.

Po upływie trzech lat, dzięki skrupulatnemu przestrzeganiu niezłomnej zasady - „nigdy, przenigdy żadnej złośliwości pod niczym adresem” - magazyn przeżywał rozkwit. Na przyszły rok, nawet po uwzględnieniu wydatków Kamilli, przyniesie zauważalne dochody.

Andre wziął do ręki ostatni numer i zajrzał na strony ze zdjęciami, które zrobił w mediolańskim apartamencie Buonaguidiego. Uśmiechnął się na wspomnienie małego przemysłowca i jego goryla, któremu Kamilla kazała powiesić

Canaletta w miejscu, gdzie lepiej wyjdzie na fotografii. Nie myliła się zresztą. Andre lubił z nią pracować. Była zabawna, miała dobre oko i nie skąpiła pieniędzy Garabedia. Jeszcze rok stałych zleceń od niej, a zarobi dość, aby wyjechać i poświęcić się własnej książce.

Zastanawiał się, co ma dla niego dzisiaj, i liczył, że coś, co pozwoli mu przebywać na słońcu. Nowojorska zima była tak mroźna, że kiedy pracownicy zakładu oczyszczania miasta ogłosili jeden ze swoich strajków, mało kto zwrócił na to uwagę. Łód zneutralizował zapach rozkładających się śmieci, zazwyczaj główny argument w negocjacjach. Związkowcy liczyli dni do wiosny i przykrego zapachu odwilży.

Na odgłos stukania wysokich obcasów o wypolerowaną kamienną posadzkę Andre podniósł wzrok i zdążył zobaczyć Kamillę, gdy miją ją z tupotem, trzymając pod rękę młodego brodacza, odzianego jak gdyby w czarny namiot. Przystanęli przed windą, Andre zaś rozpoznał Oliviera Turrenc, modnego projektanta paryskiego, który słynął z minimalnego stosowania mebli, a obecnie zajmował się przekształcaniem zakładu paczkowania mięsa na południowym Manhattanie w luksusowy hotel.

Nadjechała winda. W powietrzu przeleciały pocałunki - po jednym na każdy policzek i jeden na szczęście. Ledwie drzwi się zasunęły, Kamilla odwróciła się do Andre.

- Skarbie! Jak się miewasz? Taka ze mnie nudziara, że każę ci czekać. - Mocno chwyciła go za łokieć i zaczęła przepychać obok biurka recepcjonistki. - Naturalnie poznałeś już Dominique.

Recepcjonistka spojrzała znad biurka i rozchyliła wargi symbolicznie, tak że szminka ledwie się na nich naciągnęła.

- Tak - odparł Andre. - Niestety tak.

Kamilla westchnąwszy poprowadziła go korytarzem.

- Tak trudno dziś o pracownika. Zachowuje się dość bezczelnie, wiem, ale jej ojciec na coś się przydaje. - Kamilla popatrzyła na Andre znad swoich ciemnych okularów. - Pracuje u Sotheby'ego.

Do gabinetu Kamilli wszedł za nimi starszy sekretarz, smukły mężczyzna w średnim wieku, uzbrojony w notatnik, z brązową, nieodpowiednią do pory roku opalenizną. Uśmiechnął się do Andre.

- Nadal robisz te boskie fotki, co?

- Staram się, Noel. Gdzie byłeś?

- W Palm Beach. Niech ci nie przyjdzie do głowy zapytać, u kogo.

- Nie wpadłbym na taki pomysł. Rozczarowany Noel zwrócił się do Kamilli.

- Pan G. chciałby zamienić z tobą słówko. Wszystkie inne telefony mogą poczekać.

Kamilla, przechadzając się tam i z powrotem za biurkiem, przytrzymywała słuchawkę ramieniem i mruczała cicho, poufale. Andre rozpoznawał jej głos garabediański i nie po raz pierwszy odczuwał zaciekawienie, czy ich wzajemne stosunki ograniczają się do spraw biurowych. Na jego gust Kamilla

trochę zanadto dominuje, zbyt przypomina korporacyjny pocisk, lecz niewątpliwie jest kobietą atrakcyjną, która dzięki wszelkim dostępnym sztuczkom skutecznie opiera się działaniu czasu. Smukła, do zniesienia chuda, szyję miała jeszcze gładką, ani śladu obwisłego podgardla, a ramiona, uda i pośladki szczupłe i jędrne, bo co rano o szóstej chodziła na gimnastykę. Tylko jedno u niej odznaczało się pewną grubością: włosy. Włosy Kamilli, ciemnobrązowe, podcięte tak, aby tworzyły hełm, bardzo czyste, połyskliwe, bajecznie sprężyste, były legendarne u „Bergdor-fa”, gdzie czesała się trzy razy na tydzień. Andre patrzył, jak opadają na policzek, kiedy Kamilla nachyla się do przodu i przed odłożeniem słuchawki grucha do Garabediana na pożegnanie.

Zrobiła do Andre minę.

- Boże, czegoż to ja nie muszę? Wydaje ormiański obiad. Wyobrazasz sobie?

- Będziesz zachwycona. Trafia ci się okazja do włożenia stroju narodowego.

- Jaki on jest?

- Zapytaj Noela. Pewnie pożyczyci swój.

- To nie jest dowcipne, skarbie. Wcale nie jest dowcipne. - Zanotowała coś i zerknęła na olbrzymiego złotego roleksa na swoim przegubie. - Boże, muszę pędzić.

- Kamillo? Chciałaś się ze mną zobaczyć. Pamiętasz?

- Jestem spóźniona na lunch. Z Giannim. Nie mogę pozwolić, żeby czekał. Kolejny raz. - Wstała. - Posłuchaj... chodzi o ikony, skarbie. Ikony na Riwerze i może trochę Faberge. Będziesz musiał poszperać. Właścicielka to stara rosyjska wdowa. Noel zna wszystkie szczegóły. - Zgarnęła z biurka torebkę. - Noel! Czy samochód

jest na dole? Gdzie mój płaszcz? Zadzwoń do „Royaltonif i powiedz Gianniemu, że utknęłam w korku. Powiedz, że jadę z głęboko poruszającego pogrzebu.

Przesłała Andre pocałunek w powietrzu, a następnie ze stukiem obcasów pospieszyła do windy i bajecznym ruchem odrzuciła włosy. U boku Kamilli dreptał młodszy sekretarz z jej płaszczem i garścią zanotowanych na kartkach wiadomości. Andre pokręcił głową, podszedł i przycupnął na biurku Noela.

- No więc - powiedział - chodzi o ikony, skarbie. Na Riwerze. Nic więcej nie wiem.

- Ale masz szczęście. - Noel zajrzał do swojego notesu. - Zobaczmy. Dom położony około dwudziestu mil od Nicei, tuż poniżej Saint-Paul-de-Vence. Droga staruszka, nazwiskiem Ospaloff, podaje się za księżnę. - Noel podniósł oczy i mrugnął. - Zresztą dzisiaj każdy to robi, prawda? Tak czy owak, masz zarezerwowane trzy noclegi w „Colombe d'Or”. Kamilla wpadnie w drodze do Paryża i przeprowadzi wywiad. Zatrzyma się na noc, więc będziecie mogli zjeść we dwójkę przyjemny obiad. Nie zrób tylko czegoś, czego ja bym nie zrobił.

- Tym się nie martw, Noel. Powiem, że boli mnie głowa.

- Koniecznie. Masz. - Noel popchnął po blacie teczkę. - Bilety, potwierdzenie rezerwacji samochodu i hotelu, adres i numer telefonu Matuszki Rosji. Nie spóźnij się na samolot. Ona spodziewa się ciebie pojutrze.

Andre wsunął teczkę do torby i wstał.

- Co ci przywieźć? Espadryle? Krem? Noel z drzeniem popatrzył na sufit.

- Skoro pytasz, miło byłoby dostać troszkę olejku lawendowego. - Zadzwoił telefon. Noel podniósł słuchawkę i pomachał palcami wychodzącemu Andre.

Riwiera. Andre otulił się tą myślą jak derką, po czym wyszedł, aby stawić czoło zamrażającemu brudowi alei Madisona. W podmuchach lodowatego wiatru, na tyle zimnego, że powodował pierzchnięcie skóry, przechodnie kulili się i pochylali głowy. Członkowie bractwa nikotynowego - te pragnące się sztachnąć, skłębione masy, zbite w małe, zawstydzone gromadki przed wejściami do manhattańskich biurowców - jakby bardziej ukradkiem, bardziej niż zwykle skrępowani, z twarzami ściągniętymi na mroźnym powietrzu, kurzyli swoje papierosy i dygotali. Andre zawsze dostrzegał ironię w tym, że palaczom odmawia się przywileju równouprawnienia, wypędzając ich na ulice, podczas gdy inni nałogowcy, z pociąganiem do kokainy, mogą sobie folgować w cieple i względnej wygodzie biurowych toalet.

Stał na rogu Pięćdziesiątej Pierwszej i Piątej w nadziei, że złapie taksówkę. Riwierę. O tej porze roku powinna już kwitnąć mimoza, a bardziej zahartowani tubylcy pewnie jedzą lunch na dworze. Kierownicy obsługi na plażach podbijają ceny i zastanawiają się, jak mało będą mogli zapłacić tego lata grupie plagistes. Ludzie skrobią dna łodzi, po czym malują je i drukują informatory czarterowe. Właściciele restauracji, butików i nocnych klubów rozkładają portfele na myśl o dorocznych wpływach, o harówce od maja do września, która pozwala im spędzać resztę roku na dostatnim lenistwie.

Andre zawsze lubił Riwierę, łatwy, zazwyczaj uroczy sposób, w jaki wyciąga się tam pieniądze z kieszeni, robiąc jak gdyby łaskę. Pogodnie znosił tłok na plażach, niekiedy grubiaństwo, częstokroć groteskowe ceny, haniebny letni ruch na drogach - to wszystko i jeszcze gorsze rzeczy mógłby wybaczyć w zamian za zastrzyk magii francuskiego południa. Odkąd lord Brougham po raz drugi wymyślił Cannes w latach trzydziestych XIX wieku, ten pas wybrzeża przyciągał arystokratów i artystów, pisarzy i multimilionerów, łowców majątku, wesołe wdówki, ładne dziewczęta, szukające okazji, i młodych mężczyzn, dających się kupić. Owszem, Riwierę może być dekadencja, z pewnością jest droga i zatłoczona, ale nigdy nienudna. I, pomyślał Andre, kiedy pojawienie się taksówki uchroniło go od odmrożeń, będzie ciepła.

Nie zdążył zatrzasnąć drzwiczek, a taksówka już ruszyła, zajechała drogę autobusowi i przemknęła na czerwonym świetle. Zorientował się, że jest w rękach sportowca, który wali do przodu, traktując ulice Manhattanu jak teren do prób dla człowieka i maszyny. Andre, wsparty kolanami o przepierzenie, gotów był przybrać pozycję embrionalną, zalecaną przez linie lotnicze w razie katastrofy, gdy tymczasem taksówkarz posuwał się wzdłuż Piątej alei kolejnymi wysokooktanowymi susami i skrętami grożącymi nagłą śmiercią, przy czym gardłowo, w tajemniczym języku przeklinał inne samochody.

W końcu wypadli na zachodni Broadway i kierowca spróbował swoistej angielszczyzny.

- Okay. Gdzie numer?

Andre w poczuciu, że szczęście nie zawsze będzie mu dopisywać, postanowił na piechotę dotrzeć dwie przecznice dalej.

- Tu będzie doskonale.

- Doskonale?

- Tutaj. Właśnie tutaj.

- Dobra. - Energiczne hamowanie sprawiło, że jadący z tyłu samochód, z nagle zablokowanymi kołami, wpadł w bardzo łagodny poślizg i uderzył w tył taksówki. Jej kierowca wyskoczył, ściskając rękami szyję, i przerzucił się na język ojczysty, aby wygłosić żalostną tyradę, z dwoma zaledwie zrozumiałymi słowami: „bat” i „sukinsyn”. Andre zapłacił mu i zwiął pośpiesznie.

Budynek, do którego dotarł po dwóch minutach szybkiego marszu, rozpoczął życie jako fabryka odzieżowa. Teraz postąpiono z nim podobnie jak z tyłoma nieruchomościami na południowym Manhattanie i jego skromne początki starannie ukryto pod kilkoma uszlachetniającymi warstwami. Wysokie, jasne pomieszczenia podzielono na mniejsze, przegradzono przepierzeniami, odmalowano, zaopatrzone w przewody, sanitariaty, podzielono na strefy i - czego nie trzeba mówić - na nowo wyceniono. Wynajmowali je na ogół drobni przedsiębiorcy z dziedziny sztuki i komunikacji, tu też miała swą główną kwaterę „Image Plus”, agencja, która reprezentowała interesy Andre.

Założył ją Stephen Moss, młody człowiek obdarzony inteligencją, smakiem i zamiłowaniem do ciepłej pogody. Jego klientelę stanowili fotograficy oraz ilustratorzy specjalizujący się w każdym temacie prócz mody - bo Moss, całkiem słusznie, wystrzegał się wybujałych temperamentów i komplikacji związanych z tym, co dotyczyło odzieży i dwupciowych modeli. Po latach wstępnych zmaganiach prowadził teraz wąski, zyskowny, mały interes; pobierał piętnaście lub dwadzieścia procent honorarium swoich klientów w zamian za ich reprezentowanie, obejmujące wszystko - od doradztwa zawodowego poprzez podatkowe, aż do negocjowania stawek. Miał rozległe kontakty, do szaleństwa zakochaną przyjaciółkę, znakomite ciśnienie i pełno włosów na głowie. Jego jedynym problemem była zniechęcająca nowojorska zima.

Ta właśnie obawa przed zamrożeniem, w połączeniu z chęcią rozszerzenia interesów, sprawiła, że wziął młodszą współniczkę nazwiskiem Lucy Walcott. Po dziewięciu miesiącach, dostatecznie przekonany o słuszności swego wyboru, zostawił biuro w jej rękach na tę pierwszą, zabójczo nieprzyjemną część roku, od stycznia do marca. Lucy cieszyła się poczuciem odpowiedzialności za firmę. On

cieszył się słońcem w Key West. Andre z kolei cieszył się ze współpracy z ładną dziewczyną. W miarę jak ją poznawał, szukał okazji do zacieśnienia łączącej ich więzi, ale zbyt dużo podróżował, a ona chyba co tydzień wzbudzała sympatię nowego, zniechęcająco muskularnego młodzieńca. Jak dotąd spotykali się wyłącznie w biurze.

Zabyczył domofon, otworzył się stalowe drzwi i Andre wszedł do przewiewnego, obszernego pomieszczenia. Oprócz kanapy i niskiego stolika w rogu stało tu duże kwadratowe biurko dla czterech

osób. Trzy krzesła świeciły pustkami. Na czwartym siedziała Lucy, pochylona nad klawiaturą komputera.

- Masz dzisiaj szczęście, Lulu. - Andre położył torbę na kanapie i podszedł do biurka. - Lunch, Lulu, prawdziwy lunch... u „Feliaksa”, „Bouleya”, powiedz gdzie. Właśnie dostałem robotę i odczuwam nieodpartą chęć oblania tego faktu. Co ty na to?

Lucy z uśmiechem odsunęła krzesło i wstała, aby się przeciągnąć.

Szczupła i wyprostowana, z czarną, kędzierzawą czupryną, dzięki której wydawało się, że ma więcej niż te swoje pięć stóp i sześć cali wzrostu, wyglądała zbyt zdrowo jak na mieszkankę Nowego Jorku w okresie zimowym. Jej skóra, koloru pośredniego między czekoladowym a miodowym, jaśniała niczym ciemny karmel, jakby zatrzymała trochę słońca z rodzinnego Barbadosu. Lucy, kiedy ktoś pytał ją o pochodzenie, lubiła czasami określać się mianem rasowej kwar-teronki i obserwować, jak rozmówca grzecznie, choć bez zrozumienia kiwa głową. Jej zdaniem bliższa znajomość z Andre mogłaby być interesująca, gdyby kiedyś dostatecznie długo przebywał w mieście.

- No? - Lekko uśmiechnięty patrzył na nią z nadzieją. Wzruszyła ramionami i ręką wskazała puste biurko.

- Obie dziewczyny są nieobecne. Mary ma grypę, a Dana pełni obowiązki sędziego przysięgłego. Jestem uwiązana. - Po kilkunastu latach spędzonych przez Lucy w Nowym Jorku jej głos zachował jeszcze miłą zachodnioindyjską śpiewność. - Kiedy indziej?

- Kiedy indziej.

Lucy zdjęła z kanapy stos aktówek i zrobiła miejsce dla nich obojga.

- Opowiedz mi o tej pracy. Nie zleciła jej moja ulubiona redaktorka, co?

Lucy i Kamilla poczuły do siebie nawzajem antypatię. Zaczęło się od tego, że ktoś podsłuchał, jak Kamilla nazywa Lucy „tą oryginalną dziewczyniną z nastroszonymi włosami”, i pogarszało stopniowo, w miarę zacieśniania znajomości. W przekonaniu Kamilli Lucy okazywała jej za mało szacunku i zdecydowanie za dużo wymagała w imieniu klientów. Lucy uważała Kamille za kobietę arogancką i pretensjonalną. Ze względu na interesy potrafiły odnosić się do siebie z wątpliwą, lodowatą grzecznością.

Andre usiadł na kanapie, na tyle blisko Lucy, że wyczuwał jej zapach: ciepły, przyprawiony cytrusami.

- Nie mogę skłamać, Lulu. Kamilla chce, żebym pstryknął jakieś ikony na południu Francji. Zajmie mi to dwa, trzy dni. Wylatuję jutro.

Lucy kiwnęła głową.

- I nie rozmawiałeś o pieniądzach? - Bardzo duże brązowe oczy obserwowały go bacznie.

Andre z przerażoną miną podniósł obie ręce do nieba.

- Ja? Skądże. Wciąż mi powtarzasz, że mam tego nie robić.

- Bo nie potrafisz. - Zapisała coś w notesie i z uśmiechem odchyliła się do tyłu. - Dobra. Czas, żebyś dostał podwyżkę. Płacą ci jak etatowemu fotografowi, a wykorzystują do prawie każdego numeru.

Andre wzruszył ramionami.

- Dzięki temu zachowuję się przyzwoicie.

- W to wątpię.

Zapadło krótkie, niezręczne milczenie. Lucy odgarnęła włosy, odsłaniając czysty, delikatny zarys szczęki. Odwróciła się, aby przesłać mu uśmiech.

- Coś od nich wytarguję. Ty skoncentruj się na zdjęciach. Czy ona tam będzie?

Andre przytaknął.

- Obiad w „Colombe d'Or”, skarbie. To jedna z uznanych przez nią restauracji.

- Tylko ty, Kamilla i jej fryzjer, jak przyjemnie.

Andre się skrzywił. Ale nim zdołał odpowiedzieć, zadzwonił telefon. Lucy podniosła słuchawkę, zmarszczyła brwi i zakryła ją dłonią.

-To będzie maraton. - W powietrzu przesłała mu całusa. -Szczęśliwej podróży.

Kiedy kierowca odjeżdżał spod „Royaltonu”, Kamilla sięgnęła po telefon i ostrożnie, aby nie połamać paznokci, wybrała numer. Lunch, choć długi, był konstruktywny, drogi Gianni zaś okazał się

taki przydatny. Zanotowała sobie w pamięci, że ma posłać mu do hotelu pudełko cygar.

- Tak? - Głos w słuchawce miał zatroskane brzmienie.

- Skarbie, to ja. Z Paryżem załatwione. Gianni wszystko zaaranżował. Jeden ze służących oprowadzi mnie po mieszkaniu. Jeśli zechcę, mogę tam spędzić całą dzień.

Głos zdradził większe zainteresowanie.

- Obrazy będą na miejscu? Niczego nie oddano w okresie zimowym na przechowanie? Żadnego nie wypożyczono?

- Wszystko jest. Gianni sprawdził przed wyjazdem z Paryża.

- Znakomicie. Świetnie się spisałaś, moja droga. Bardzo dobrze. Do zobaczenia.

W posępny półmroku swego bogato urządzonego gabinetu Rudolf Holtz starannie odłożył słuchawkę,

pociągnął łyk zielonej herbaty z meissenowskiej filiżanki i znów zabrał się do czytania artykułu w „Chicago Tribune”. Artykuł, z datą londyńską, opisywał odzyskanie przez specjalną brygadę Scotland Yardu, zajmującą się dziełami sztuki i antykami, najszynniejszego norweskiego obrazu: „Krzyku” Edvarda Muncha, wycenionego na czterdzieści pięć milionów dolarów. Skradziono go w 1994 roku, a dwa lata później odnalazł się w jakiejś piwnicy na południu Norwegii, owinięty prześcieradłem. Holtz pokręcił głową.

Czytał dalej. Zdaniem dziennikarza, „ostrożne” szacunki wartości skradzionych bądź zaginionych dzieł sztuki na świecie znacznie przekraczają sumę trzech bilionów dolarów, a te dane wywołały na twarzy Holtza uśmiech pełen zadowolenia. Cóż za szczęśliwy zbieg okoliczności, że przed dwoma laty poznał Kamillę.

Ich stosunki, zrazu towarzyskie, zaczęły się od spotkania w galerii, na jednej z wystaw, na które Holtz zwykle chodził w swym oficjalnym charakterze handlarza dziełami sztuki. Obrazy go znudziły, zaintrygowała natomiast Kamilla. Wyczuł, że mogą mieć ze sobą coś wspólnego, a przekonał się o tym przed upływem tygodnia, podczas rozpoznawczego lunchu. Pod banałami grzecznej rozmowy przebiegał ukryty nurt, występowały pierwsze oznaki zetknięcia się umysłów i ambicji. Po lunchu przyszedł czas na obiady, miejsce słownej szermierki zajęło coś zbliżonego do szczerości, a nim Kamilla zaczęła dzielić z Holtzem łożo pod baldachimem, otoczona splendorami jego apartamentu przy alei Parkowej, dla obojga stało się jasne, że są dla siebie stworzeni, że dorównują sobie zachłannością.

Droga Kamilla. Holtz dopił herbatę i wstał, żeby popatrzeć przez okno na zacinający deszcz ze śniegiem. Minęła czwarta i w lodowatych ciemnościach alei Parkowej, o piętnaście pięter niżej, ludzie walczyli o taksówki. W alei Lexington będą przemoknięci czekać w kolejkach na autobusy. Jak miło być człowiekiem nie zziębniętym i bogatym.

- Sam pan pakował te torby? -Tak.

- Czy nie tracił ich pan z oczu od chwili zapakowania? -Nie.

- Czy przewozi pan podarki albo inne przedmioty na czyjąś prośbę?

-Nie.

Dziewczyna z Delty, obsługująca pasażerów business class, prze-kartkowała jego paszport. Nazwisko: Andre Kelly. Miejsce i kraj urodzenia: Paryż, Francja. Data urodzenia: 14 lipca 1965. Dziewczyna dopiero teraz podniosła wzrok, aby sprawdzić, czy mężczyzna z krwi i kości przypomina tego ze zdjęcia, i pod krótko ostrzyżonymi włosami zobaczyła miłą twarz o kwadratowej szczęce, twarz niezwykłą dzięki zielonym oczom, które odwzajemniały jej spojrzenie. Nigdy dotąd nie widziała naprawdę zielonych oczu i przyłapała się na tym, że wpatruje się w nie zafascynowana.

Andre się uśmiechnął.

- Mój ojciec jest Irlandczykiem. Zielone oczy to cecha rodzinna. Dziewczyna lekko się zarumieniła.

- Było to aż takie wyraźne? Przepraszam. Chyba często się to zdarza. - Zajął się biletem i nalepkami na bagaż, Andre zaś rozglądał się po współtowarzyszach nocnego lotu do Nicei. Byli to na ogół francuscy biznesmeni, znużeni nowojorską pogodą, nowojorskim zgiełkiem i energią, szybką jak karabin maszynowy nowojorską angielszczyzną, tak różną od rytmicznego sposobu mówienia, jakiego nauczono ich w szkole Berlitz.

- Gotowe, panie Kelly. - Dziewczyna zwróciła mu paszport i bilet. - Mogę o coś zapytać? Dlaczego urodził się pan w Paryżu, skoro jest pan Irlandczykiem?

- Moja matka mieszkała tam wtedy. - Andre wetknął kartę pokładową do górnej kieszeni. - Jest Francuzką. A ja mieszkańcem.

- Och, naprawdę? Wspaniale. No, przyjemnej podróży.

Dołączył do kolejki, która wlokła się do samolotu; liczył, że miejsce obok niego będzie wolne albo zajęte przez ładną dziewczynę czy - kiepska, lecz dopuszczalna trzecia możliwość - dyrektora zbyt wyczerpanego, aby rozmawiać.

Ledwie się usadowił, poczuł nad sobą czyjąś obecność; podniósł wzrok i zobaczył obładowaną postać oraz pełną napięcia, chudą twarz młodej kobiety w typowym mundurku korporacyjnym: w ciemnym kostiumie, z teczką oraz pękatą czarną torbą przewieszoną przez ramię. Wstał, żeby ją przepuścić pod okno.

Młoda kobieta zaparła się o podłogę.

- Obiecali mi miejsce przy przejściu. Zawsze biorę miejsce przy przejściu.

Andre porównał numer na swojej karcie z numerem na siedzeniu i stwierdził, że się zgadza. Pokazał kartę młodej kobiecie.

- Pan nie rozumie - powiedziała. Jestem uczulona na okna. Andre nigdy nie spotkał się z tą właśnie dolegliwością i na pewno nie chciał słuchać o niej przez siedem najbliższych godzin. Dla świętego spokoju ustąpił miejsca młodej kobiecie, której nastrój uległ wyraźnej poprawie. Andre przesunął się pod okno i patrzył, jak ona kładzie przed sobą dokumenty i laptopa, tworząc niezbędne do pracy otoczenie. Nie po raz pierwszy przemknęła mu przez głowę myśl, że dzisiejsze podróże wcale nie należą do rozrywek: człowiek odczuwa tłok, nudę, często niewygody i prawie zawsze irytację.

- Nie uwielbia pan podróży? - zagadnęła młoda kobieta, już w doskonałym humorze, bo postawiła na swoim. - Chodzi mi o wyjazd na południe Francji. Jest takie...

- Francuskie?

Z ukosa zerknęła na Andre, niepewna, jak odpowiedzieć. Kiwnęła jej głową i otworzył książkę. Powróciła do zawartości swojego laptopa.

Pasażerowi linii lotniczych, spragnionemu paru godzin niezmacone ciszy, największe niebezpieczeństwo zagraża w czasie posiłków. Nie wchodzi wtedy w grę udawanie, że śpi, a jedząc nie może się chować za książką. Kiedy nadjechał wózek pełen podniebnych przysmaków, Andre zdał sobie sprawę ze spojrzeń, rzucanych na niego od czasu do czasu przez

sąsiadkę, która po zerwaniu łączności z laptopem jakby się szykowała do podjęcia kolejnej próby nawiązania rozmowy. Toteż ledwie wylądował przed nim kawałek kurczaka, nieunikniony w częstych podróżach samolotem, Andre włożył słuchawki, pochylił się nad tacką i usiłował odwrócić uwagę od posiłku, a skupić ją na swojej przyszłości.

Musi skończyć z tak częstymi wyjazdami. Cierpi na nich zarówno jego życie towarzyskie i miłosne, jak trawienie. W swojej manhat-tańskiej kawalerce po prostu koczuje, nic więcej; kartonów z książkami i odzieżą nie zdążył rozpakować przez osiem miesięcy, od czasu przeprowadzki. Nowojorscy przyjaciele, zmęczeni przemawianiem do maszyny, właściwie przestali dzwonić. Wszyscy francuscy przyjaciele, z okresu studiów w Paryżu, mają chyba dzieci i zdążyli się ustatkować. Ich żony go zaakceptowały, lecz nie bez zastrzeżeń i lekkich podejrzeń. Znany był z tego, że lata za dziewczynami. Przesiaduje do późna w nocy. Lubi wypić. Innymi słowy, zagraża małżeństwom i daje zły przykład młodym żonkosiom, jeszcze nie do końca pogodzonych z rozkoszami i ograniczeniami domatorstwa.

Mógłby odczuwać samotność, ale nawet na to nie starczało mu czasu. Jego życie wypełniała praca. Na szczęście ją kochał; przynajmniej na ogół. To prawda, że Kamilla z każdym numerem „KW” stawiała się bardziej ekscentryczna i dyktatorska. Weszło jej też w przykry zwyczaj zmuszanie Andre, aby robił zbliżenia obrazów, które potem, jak zauważył, rzadko zamieszczała w publikowanych artykułach. Ale płaciła dobrze, on zaś wyrabiał sobie nazwisko jednego z najlepszych w branży fotografów wnętrz. Paru wydawców już zaczęło prowadzić z nim rozmowy o książce. Na przyszły rok, obiecywał sobie, zabierze się do niej: będzie sam narzucać sobie tempo, wyszukiwać tematy, będzie swoim szefem.

Po paru małych entuzjastycznych próbach pokonania kurczenia zgasił lampkę nad głową i odchylił się do tyłu. Jutro będzie prawdziwe jedzenie. Zamknął oczy i usnął.

Kiedy przechodził przez kontrolę paszportową do głównej hali nicejskiego lotniska, powitał go znajomy zapach Francji, zapach, którego składniki niejednokrotnie starał się analizować. Trochę mocnej czarnej kawy, trochę tytoniu, odrobina dieslowskiego paliwa, smuga wody kolońskiej, złocista woń pasztecika pieczonego z dodatkiem masła - zapach tak charakterystyczny jak flaga narodowa i dla Andre pierwsza przyjemność związana z powrotem do kraju, gdzie spędził tyle lat młodości. Inne lotniska miały zapach delikatny i międzynarodowy. Nicea pachniała Francją.

Dziewczyna w kostiumie stała, czekając na bagaż. spoglądała na

zegarek i zagryzała wargę, podczas gdy czarna gumowa gąsienica

bez pośpiechu, niczym nie obciążona, zataczała pętlę między pasażerami i wracała do swojej dziury w ścianie. Dziewczyna miała typowo

nowojorską minę - zmarszczona, niecierpliwa, naburmuszona. Andre był ciekaw, czy kiedykolwiek

pozwała sobie na chwilę odprężenia. Zrobiło mu się jej żal.

Drgnęła, kiedy poklepał ją po ramieniu.

- Wygląda pani na spóźnioną - powiedział. - W czym mogę pomóc?

- Ile czasu potrzeba tym facetom na wyładowanie bagaży z samolotu?

Andre wzruszył ramionami.

|

- To południe Francji. Tutaj nic nie odbywa się prędko.

Dziewczyna

znów sprawdziła godzinę.

- Mam zebranie w Sophia Antipolis. Wie pan, gdzie to jest? Jak długo jedzie się taksówką? Centrum biznesu Sophia Antipolis, czy też Parc International d'Activites, jak ochrzcili je Francuzi, leży w głębi lądu, na wzgórzach, między Antibes a Cannes.

- Zależy od natężenia ruchu - odparł Andre. - Czterdzieści pięć minut powinno wystarczyć.

Na twarzy dziewczyny odmalowała się ulga.

- To świetnie. Dzięki. - Nieomal się uśmiechnęła. - Wie pan? W samolocie wzięłam pana za cwaniaka.

Andre westchnął.

- Niestuszenie. Nie pozwala na to moja wrodzona poczciwość. -Zobaczył, jak jego torba pełnie ku niemu po kole. - Proszę wziąć udział w zebraniu i wynosić się stąd czym prędzej.

Szeroko rozwarła oczy.

- Jest niebezpiecznie?

Andre pokręcił głową i chwycił torbę.

- Jedzenie jest okropne.

Z drogi nadmorskiej skręcił w Cagnes-sur-Mer i wynajętego renaulta skierował w stronę Saint-Paul-de-Vence szosą D6, wijącą się nad rzeką Loup. W powietrzu dawała się wyczuć rzeźkość, poranny chłód, który niebawem ustąpi. Słońce już przygrzewało przez szybę, szczyty dalekich wzgórz lśniły bielą na tle błękitu nieba, krajobraz wyglądał jak świeżo wymyty. Manhattan i zima pozostały na innej

planecie. Andre otworzył okno; poczuł, że w głowie mu się przejaśnia po całonocnym dawkowaniu tlenu.

Przybył do Saint-Paul akurat w porę, aby zobaczyć wychodzącą z kawiarni wioskową policję w pełnym składzie: żandarma znanego z tego, że najszybciej we Francji wlepia mandaty za złe parkowanie. Żandarm przystanął w drzwiach, otarł usta wierzchem dłoni i zlustrował mały placyk, wypatrując pierwszej tego dnia osoby, która popełni wykroczenie. Obserwował dalej, gdy Andre tyłem wjeżdżał na

jedno z bardzo nielicznych miejsc, gdzie wolno się było zatrzymać. Spojrzał na zegarek. Skrzypiąc butami ruszył do swojego wozu odmierzoną, powolnym krokiem, odpowiednim do sprawowanej władzy.

Andre, skinąwszy mu głową, zamknął samochód.

- Bonjour.

Żandarm odwzajemnił skinienie.

- Ma pan jedną godzinę. Po jej upływie - postukał w zegarek - contravention. - Poprawił ciemne okulary na nosie i odjechał, czujnie wypatrując najmniejszej zapowiedzi wykroczenia, rozradowany tym pierwszym z rana małym triumfem. Jakże wyczekiwał lipca i sierpnia! W tych ulubionych przez niego miesiącach mógł stać ze srogą miną przy wjeździe do wsi i zawracać nieustanną procesję samochodów. Jeśli miał dobry dzień, potrafił rozwścieczyć kilkuset zmotoryzowanych. To jeden z dodatkowych uroków pracy policjanta.

W kawiarni Andre zamówił croissanta, kawę i spoglądał na środek placu, gdzie przy sprzyjającej pogodzie zawzięcie grano w kręgle przez okrągły rok. Pamiętał swój pierwszy pobyt w Saint-Paul w dzieciństwie, w czasach, gdy Yves Montand, w kelnerskiej czerni i bieli, zwykł grywać ze starymi mieszkańcami wsi, czemu, paląc papierosy, przyglądała się Simone Signoret; w czasach, gdy James Baldwin popijał w hotelowym barze. Andre, poinformowany przez matkę, że są to sławni ludzie, gapił się na nich godzinami i przez słomkę pociągał napój pomarańczowy.

W czasie drugiej wizyty, po upływie dziesięciu lat, zakochał się w młodej Szwedce. Łapczywe pocałunki za pocztą, złamane serce w podróży powrotnej pociągiem do Paryża, wymiana listów, która kulała, dopóki się nie urwała. Następnie Sorbona i inne dziewczyny. Potem lata terminatorów u fotografa w Londynie. A później Nowy Jork, gdzie zaprowadziła go myśl o egzotycznych zleceniach i honorariach na skalę amerykańską.

Dokończył croissanta i rozłożył na stoliku mapę. Rosyjska wdowa ze swymi ikonami mieszka pod Saint-Jeannet. Dojazd tam nie powinien zająć więcej jak dziesięć minut, więc Andre postanowił najpierw się przedstawić, a dopiero potem zameldować w hotelu.

Kiedy zwalniał miejsce na parkingu, Saint-Paul ożywało, żandarm polował na ofiarę, kelner z „Colombe d'Or” polewał węzłem wejście na hotelowe podwórze, krople wody niczym diamenty odbijały się w słońcu od kamienia. Andre wolno jechał pod górę do Saint-Jeannet, porównując widoki po obu stronach drogi. Na prawo jolies villas, jak okiem sięgnąć beładne nagromadzenie betonu i dachówek, które pokrywało tarasowate zbocza i ciągnęło się aż do Morza Śródziemnego. Na lewo wznosiły się nad wierzchołkami drzew stoki Col de Vence, wybielone, nagie, wolne od zabudowy. Jest to rodzaj kontrastów typowy dla południowego wybrzeża, gdzie intensywna zabudowa raptem się kończy, jakby ktoś przeciągnął linię, za którą nie wolno wznosić willi. Andre liczył, że ta linia zostanie zachowana. Nowoczesna architektura nie należy do największych osiągnięć Francji.

Zgodnie ze wskazówkami zjechał z wąskiej drogi na żwirowany trakt i w zakłębieniu doliny znalazł się na skrawku ziemi jeszcze nie zabudowanym. Rzędy starych kamiennych domostw ciągnęły się wzdłuż

brzegów małego strumyka, festony pelargonii zwisały ze ścian, pasemko dymu wydobywało się z jednego komina.

Andre zaparkował i ruszył po płaskich, nierównych stopniach do frontowych drzwi największego domu. Dwa spalone koty, siedzące na murze, przyglądały mu się wyniośle spod półprzymkniętych powiek, co przypomniało mu jedno z ulubionych powiedzonek jego ojca: „Koty patrzą na ciebie z góry. Psy podnoszą na ciebie wzrok. Ale świnię patrzą ci prosto w oczy”. Uśmiechnięty zastukał do drzwi.

Rozległ się zgrzyt odsuwanych żelaznych rygli. W szparze mignęła okrągła rumiana twarz, a pod kędzierzawą, siwą czupryną błysnęły brązowe oczy jak guziki. Andre poczuł, że koty przepychają mu się koło nóg, próbując wejść do środka.

- Madame, bonjour. Jestem fotografem z Ameryki. Z czasopisma. Mam nadzieję, że pani się mnie spodziewała.

Twarz pokryła się zmarszczkami.

- Mówiono mi o kobiecie.

- Będzie tu trochę później. Jeśli pani woli, mogę przyjść wtedy. Starsza pani pocierała nos zgiętym, artretycznym palcem.

- Gdzie pan ma aparat?

- W samochodzie.

- Ah, bon. - To chyba ułatwiło jej podjęcie decyzji. - Jutro będzie lepiej. Dziś dziewczyna przychodzi sprzątać. - Kiwnęła gościowi głową i zatrasnęła mu drzwi przed nosem.

Wyjął z samochodu aparat, bo chciał jeszcze przy porannym świetle pstryknąć parę zdjęć domu z zewnątrz. W obiektywie majaczyła blado, niewyraźnie głowa starej kobiety, która przyglądała mu się przez okno. Jak ona sobie poradzi z Kamillą? Skończył rolkę filmu, z ukosa zerknął na słońce i postanowił resztę zostawić na wieczór.

Wrócił do hotelu, zameldował się i machając ciężkim kluczem poszedł w głąb korytarza do swojego pokoju. Podobało mu się tutaj. Pozbawiony planu budynek miał charakter prywatny i bardziej przypominał zwykły dom wiejski niż hotel - dopóki gość nie zaczął się przyglądać obrazom na ścianach i rzeźbom w ogrodzie.

„Colombe d'Or" otworzył po pierwszej wojnie światowej Paul Roux, były farmer i sympatyk głodnych artystów. Przychodzili coś zjeść w jego restauracji; a jak to artystom, czasami brakowało im gotówki. Monsieur Roux grzecznie przyjmował zapłatę w naturze i brał obrazy od Chagalla, Braque'a, Picassa, Legera, Bonnard'a oraz wielu innych. Kiedy rozbudziła się w nim zachłanność, zaczął kupować - miejmy nadzieję, że po niższych cenach - i przez czterdzieści lat zgromadził jedną z najwspanialszych we Francji prywatnych kolekcji sztuki dwudziestego wieku. W chwili śmierci zostawił paręset dolarów w banku, a fortunę na ścianach.

Ledwie Andre upuścił torbę przy łóżku i zabrał się do otwierania okiennic, zadzwonił telefon. - Dostał pan faks. - Powiedział dziewczynie, że go odbierze wychodząc. Z poprzednich podróży wiedział, czego się spodziewać.

Kamilla nie potrafiła pojechać gdzieś cicho i po prostu. Przed jej podróżami zawsze sypał się grad notatek i przypomnień, które miały uzupełniać niezmiennie instrukcje (litanię rozpoczynającą się od: „Nigdy nie bierz dla mnie różowego pokoju” i dalej określającą każdą jej zachciankę, od wielkości bąbelków w wodzie mineralnej do koloru świeżych kwiatów). Dodatkowe komunikaty, takie jak ten, który Andre czytał na słonecznym podwórzu, dotyczyły najbliższych poruszeń i spotkań Kamilli. Za jej plecami nazywano je Okólnikami Dworskimi, od tytułu rubryki w „London Timesie”, gdzie wylicza się zajęcia królowej i rodziny królewskiej.

„Środa. Rano concorde do Paryża, przesiadka na Air France do Nicei. LimoAzur odbiera z nicejskiego lotniska, pizcaz.d do «Co-lombe d'Or», obiad z Andre.

Czwartek. Dzień z księżną Ospaloff. Air Inter 5 po poi. do Paryża. LimoEiffel odbiera z Orly, przejazd do «Ritza». Obiad z wicehrabi-ną d'Andouillette.

Piątek. Dzień u Beaumonta, Avenue Foch. Lunch z Gillosem w «L'Ambrois». Drinki w Crillonie z...”

I tak dalej, jednym tchem recytowane zajęcia osoby pyszałkowatej, wyliczona każda minuta jej podróży, wyszczególniony każdy drink i każdy posiłek. Jak kiedyś powiedział Noel, samo czytanie tego harmonogramu wystarczy, aby u normalnego człowieka spowodować utratę sił. Andre patrzył na kartkę i niemal słyszał głuchy odgłos padających nazwisk. Niekiedy dość trudno było uznać Kamillę za zabawną. Pokręcił głową i wetknął faks do kieszeni.

Przyjemnie spędził dzień na rozrywkach i pracy: zajrzał do Fondation Maeght i kaplicy Matisse'a, zjadł w Vence późny lunch na świeżym powietrzu, wrócił do wdowy i znów fotografował dom, tym razem w zachodnim oświetleniu. Wieczorem w hotelu wziął prysznic, przebrał się i usiadł w barze ze starym, zaczytanym egzemplarzem „Dwóch miast w Prowansji” M.F.K. Fishera.

Ruch tego dnia był niewielki. Jacyś zakochani, którzy starali się nie mieć min winowajców, pili w kącie szampana, dotykając się pod stolikiem rękami i kolanami. Mężczyzna przy bufecie wygłaszał pod adresem barmana surowy monolog o wzroście we Francji wpływów prawicowego ideologa Jean-Marie Le Pena. w nagrodę za co barman, znudzony zawodowy słuchacz, czasem od niechcienia mu potakiwał. Z restauracji doleciało cmoknięcie kurka wyciąganego z butelki. Na dworze prędko zapadły ciemności, a na podwórzu rozbłysły światła.

Andre, zmuszony łoskotem silnika na jałowym, biegu do oderwania wzroku od książki, zobaczył, że przez bramę wjeżdża mercedes i staje. Ledwie szofer otworzył tylne drzwiczki, ukazała się Kamilla, od stóp do głów ubrana przez Chanel. W wieczorne powietrze rzucała instrukcje, ze stukiem obcasów krocząc po płytach.

- Proszę zanieść bagaż do mojego pokoju, Jean-Louis, i na pewno powiesić torbę z odzieżą. Czekam tu jutro, punktualnie o czwartej po południu. Comprenezi - Dostrzegła Andre, który wyszedł z baru. - Ach,

jesteś, skarbie. Bądź aniołem i daj kierowcy napiwek, dobrze? Idę zobaczyć, czy są dla mnie jakieś wiadomości.

Jean-Louis załatwił sprawę z torbami. Andre z kolei z nim załatwił sprawę. Pełen niedowierzania głos Kamilli rozbrzmiał echem w holu.

- Ależ to niemożliwe. C'est impossible. Na pewno nic nie ma? - Wezwano i przesłuchano personel hotelu. Zarządzono poszukiwania.

Andre, z dwiema kartami wziętymi z restauracji, wycofał się do baru. Godne uwagi jest tempo, w jakim zdecydowana jednostka potrafi zakłócić spokój w całym hotelu. Zamówił następną kir dla siebie oraz butelkę wody badoit w nadziei, że pamięta, co pija obecnie Kamilla.

Kamilla dołączyła do niego, usiadła z przeciągłym westchnieniem i wyjęła paczkę papierosów z torebki.

- Cóż za dzień. Pewnie wyglądam jak ostatnia wiedźma. - Założyła nogę na nogę, przechyliła się do tyłu i czekała na zaprzeczenia ze strony Andre.

- Nie aż tak źle, żeby obiad nie okazał się zbawienny. - Andre z uśmiechem podał jej menu. - Jagnię jest tutaj bardzo dobre. Smaczne i różowe.

- Och, proszę cię. Czy wiesz, jak długo mięso zalega w okrężnicy? Całymi dniami. A teraz opowiedz wszystko po kolei. Jak zachowywała się księżna?

Podczas gdy Andre zdawał sprawę z krótkiego spotkania, Kamilla popijała wodę i paliła papierosa, uważając, żeby się nie zaciągnąć. Nie znać było po niej długiego dnia spędzonego w podróży, ożywiona i zainteresowana zadawała pytania, planowała zajęcia na dzień następny. Nie straciła energii przy sałatce nicejskiej, którą zamówiła na obiad, Andre natomiast, ukojony pieczonym jagnięciem i czerwonym winem, odczuwał coraz większą senność.

- Więdziesz, skarbie - powiedziała, kiedy na stoliku pojawił się rachunek. - Chcesz iść do łóżka? - Kelner znał podstawowy zasób wyrazów angielskich, toteż uniósł brwi i ściągnął wargi.

Andre popatrzył na nią. Odwzajemniła spojrzenie z półuśmiechem na twarzy, ale nie w oczach. Odniósł niemiłe wrażenie, że go zachęca. Zgodnie z biurową plotką Kamilla ma bogatego kochanka i zapewne chodzi niekiedy na ukradkowe poranne spotkania z Garabedianem. Więc dlaczego nie miałyby czasami przespać się z fotografem? To osłoda redaktorskich delegacji.

- Od wielu tygodni nikt mi czegoś takiego nie zaproponował. - Andre się roześmiał, po czym minęła chwila. - Jeszcze kawy?

Kamilla rzuciła serwetkę na stolik i wstała.

- Jutro rano o ósmej. W holu.

Andre patrzył, jak wychodzi z restauracji: kobieta, która spotkała się z odmową. Był ciekaw, czy się jej nie naraził i nie straci chleba.

Punktualnie co do minuty stanął przed wejściem do hotelu i obserwował poranek. Jedynie wysoko nad górami płynęły po rozległej, czystej pościeli błękitnego nieba rzadkie smugi chmur. Dzień zapowiadał się podobnie jak wczorajszy. Andre przeszedł przez taras i popatrzył na basen, którego z jednej strony strzegł gęsty rząd cyprysów, prosty jak szereg żołnierzy, z drugiej zaś wysmukła ruchoma rzeźba Caldera. On i ona, poprzedniego wieczora zauważeni w barze, pluskali się w podgrzewanej wodzie, ze śmiechem ochlapywali się nawzajem jak dzieci. Andre pomyślał, że miło byłoby razem z kimś drugim przeżywać taki cudowny dzień. Naturalnie miał kogoś takiego.

- Ach, jesteś, skarbie. Chyba włożyłeś film do swojego instamati-ca. Gdzie samochód? - Upozowana pośrodku podwórza Kamilla jedną ręką lekko przytrzymała rondo takiego słomkowego kapelusza, jakie wszyscy będą nosić latem. Na sobie miała coś, co lubiła określać mianem odzieży roboczej - pantofle na średnio wysokich obcasach i szorstki kostiumik od Armaniego - a jej nastrój chyba pasował do pogody. Andre pomyślał z pewną ulgą, że chyba źle zrozumiał nadawane przez nią wieczorem sygnały.

W drodze do Saint-Jeannet mówiła mu, że absolutnie uwielbia ikony, a jeśli idzie o ścisłość, wszystko, co rosyjskie. Gdyby jechali do bawarskiego zamku czy weneckiego pałacu, uwielbiałaby wszystko, co niemieckie, albo wszystko, co włoskie. W ten sposób szykowała amunicję, przygotowywała się do czarowania.

I robiła to przez całe rano. Wykrzykiwała zachwycona wszystkim, poczynszy od eleganckiej, acz nieco sfatygowanej prostoty starego domu: - Urok czegoś nie zepsutego, skarbie. Cudowny kościół architektoniczny. Nie omieszkaj pochwyć istoty tego wszystkiego -a skończywszy na samych ikonach, wprowadzie nielicznych, lecz

wspaniałych. Podczas gdy Kamilla entuzjazmowała się i przeprowadzała wywiad, Andre pstrykał, dopóki porannej pracy nie uznał za wykonaną. Miał już zdjęcia zrobione po południu, toteż mógł sobie pozwolić na eksperymenty.

Starsza pani przygotowała dla nich w kuchni lunch, który wystawił na ciężką próbę niezłomny dobry humor i przymilność Kamilli. Tego rodzaju prosty posiłek Andre z chęcią spożywałby codziennie: okrągłe, lśniące czarne oliwki, rzodkiewki z białym masłem, wiejski chleb trudny do żucia, dzbanek czerwonego wina i pokrojona z wielką starannością i namaszczeniem, cudownie zwarta różowa kiełbasa.

Andre podał swój talerz gospodyni, żeby mu nałożyła.

- Cóż za uczta - powiedział. - Tego nie sposób dostać w Ameryce. Moim zdaniem jest to tam nielegalne.

Starsza pani się uśmiechnęła.

- Podobno niektóre francuskie sery również. Dziwny musi to być kraj. - Zwróciła się do Kamilli. - Wystarczy pani, madame? Ta kiełbasa pochodzi z Arles. Trochę wołowiny, trochę wieprzowiny, trochę mięsa oślego. Powiadają, że ten szczególny smak zawdzięcza osłu.

Uśmiech zastąpił na twarzy Kamilli. Już sam lunch był męczarnią, bez wody badoit - w ogóle bez wody, jeśli nie liczyć wysoce podejranej cieczy z kuchennego kranu - bez sałatki i z kotem, który siedział na stole obok dzbanka z winem. A teraz osioł. Z narażeniem przewodu pokarmowego chciała się zmusić do przełknięcia plasterka kiełbasy, co nakazywała grzeczność i wzgląd na dobro magazynu. Ale osioł. Osioł przerastał jej siły.

Andre podniósł wzrok, zobaczył zeszywniałą twarz Kamilli, szklistą rozpacz w jej oczach i zorientował się, że zaniemówiła. Nigdy dotąd nie zdarzyło się to w jego obecności, a teraz odniosło ten skutek, że wydała mu się nieomal ludzka. Nachylił się do starszej pani.

- Tak mi przykro - rzekł. - Na śmierć zapomniałem uprzedzić, że madame, moja koleżanka, jest wegetarianką. - Nie mógł się powstrzymać od dodania: - Ma niezmiernie wrażliwą okrężnicę.

- Ah, bon?

- Niestety tak. Lekarz nie pozwala jej jeść żadnego czerwonego mięsa. Zwłaszcza oślego, szalenie szkodliwego dla delikatnych tkanek.

Starsza pani z wyrazem powagi kiwała głową. Oboje patrzyli na Kamillę, która zrobiła bardzo bolesciwą minę.

- Głupia stara okrężnica - powiedziała. - Co za nuda.

Natychmiastowa propozycja, że może dostać zimne kluski i solonego dorsza, równie szybko została odrzucona - Kamilla oświadczyła, że absolutnie wystarczą jej oliwki i rzodkiewki - po czym lunch dobiegł końca. W nadziei, że umknie z resztkami kiełbasy, tylko kot ociągał się przy stole, kiedy ludzie odsunęli krzesła i wrócili do pracy. Andre zmieniał pozycję ikon, fotografował je na różnych tłach - na kamieniu, splowiałym tynku, drewnianej okiennicy - i wywołał nieoczekiwany młodzieńczy uśmiech na twarzy starej kobiety, kiedy sportretował ją, usadowioną na niskim murku z jednym z kotów. Kamilla notowała i szeptała do małego magnetofonu. Skończyli przed trzecią.

Już w samochodzie, jadąc pod górę, Kamilla zapaliła papierosa i wydmuchnęła przez okno dym z przeciagłym, pełnym wdzięczności westchnieniem.

- Boże - powiedziała - osioł. Że też ty mogłeś to jeść.

- Było bardzo smaczne. - Andre zwolnił, bo ziemistej barwy pies przeciął na ukos drogę, przystanął, aby wyszczerzyć zęby do samochodu, po czym wskoczył do rowu zarośniętego zielskiem. - Powinnaś spróbować flaków. To dopiero jest wyzwanie.

Kamilla zadygotała. Czasami Francuzi - albo przynajmniej ci wsiowi, nie jej drodzy, cywilizowani paryscy kumple - mieli według niej rażąco prostackie nawyki kulinarne. A co gorsza, opowiadanie

o tych okropnych składnikach sprawiało im niemal taką samą przyjemność jak jedzenie: żołądki i podbrzusza, głowy królicze i baranie nóżki, niezliczone zgalaretowaciane kawałki, różne mało pociągające rodzaje podrobów. Zatrzęsa się po raz drugi.

- A kiedy ty, skarbie - spytała - wracasz do Nowego Jorku?

Z kolei zadrżał Andre. Nie pragnął zamieniać wczesnej wiosny na przykry koniec manhattańskiej zimy.

- Chyba w ciągu weekendu. Zamierzałem jutro wpaść do Nicei

i parę razy pstryknąć „Alziariego” i „Auera”.

- Nic mi to nie mówi. Czy są ludźmi, których powinnam znać?

- To sklepy. - Andre skręcił do Saint-Paul i zajechał przed hotel. - Sklepy o cudownym wyglądzie. W jednym sprzedają oliwki i oliwę, w drugim pyszne dżemy.

Nie zainteresował Kamilli, dla której ani oliwki, ani dżemy nie miały żadnego towarzyskiego znaczenia. Wysiadając rozejrzała się dokoła, po czym władczo skinęła na mercedesa, zaparkowanego po przeciwnej stronie placu.

- Oto drogi Jean-Louis. Powiedz mu, żeby przyszedł po moje torby, dobrze? Sprawdź tylko, czy są dla mnie wiadomości.

Następne piętnaście minut wypełnił gorączkowy rytuał wyjazdu Kamilli na lotnisko: torby przeniesiono i załadowano do mercedesa pod baczynym okiem żandarma; pokojówkę zaangażowano do szukania pod łóżkiem Kamilli zgubionego kolczyka; w ostatniej minucie wysłano faks do Nowego Jorku; zadzwoniono na lotnisko, aby się upewnić, że samolot nie ma opóźnienia; obsypano napiwkami i komplementami. Wreszcie, ze zbiorowym pożegnalnym westchnieniem, pracownicy hotelu obserwowali Kamillę, idącą przez podwórze i zajmującą tylne siedzenie samochodu. Przez otwarte okno spojrzała na Andre.

- Dostarczysz diapozytywy do mojego biura we wtorek, skarbie, prawda? W przyszłym tygodniu oddaję numer do druku. - A potem, nie czekając na odpowiedź, rzuciła: - Ciao.

Szyba się podniosła, Kamilla zaś wyruszyła na podbój Paryża. W nadziei, że portier u „Ritza” zbiera siły przed bliskim już atakiem, Andre obserwował mercedesa, który wąską uliczką ostrożnie wydostawał się z wioski.

Teraz Andre pozwoli sobie na luksus wolnego wieczoru, a cały następny dzień będzie miał dla siebie. Po przysznicu szedł do baru z mapą, z wymiętoszoną, zniszczoną żółtą mapą, Michelin 245, używaną od czasów studenckich. Rozpostarł ją na stoliku obok szklanki z kirem. Ta ulubiona mapa, pamiątka sentymentalnych podróży, była mapą wspomnień. Większość długich letnich wakacji Andre spędził na tych terenach, od Nimes i Camargue na zachodzie po granicę włoską na wschodzie. Piękne to były czasy mimo chronicznego braku gotówki i częstych komplikacji sercowych. Cofnął się myślami do tamtych dni, dni, kiedy słońce zawsze zdawało się świecić, wino po pięć franków smakowało jak latour, tanie hoteliki przy bocznych ulicach świeciły czystością i przyjmowały gościnnie, a on miał przy sobie drugie ciało, opalone, ciemne w białej pościeli. Czy nigdy nie padał deszcz? Czy naprawdę tak było? Zapewne nie. Uczciwie mówiąc, ledwie pamięta imiona niektórych dziewczyn.

Kiedy podniósł kir do ust, skroplona u dołu szklanki para kapnęła na Morze Śródziemne tuż poniżej Nicei. Zrobiła plamę na zaznaczonych kropkami trasach połączeń promowych z Korsyką, rozlała się i sięgnęła

czubka Cap Knai, K> wywołało kolejne wspomnienie, tym razem świeższe. Pod koniec minionego lata Andre

spędził dwa dni robocze na przylądku, w wymyślnej willi - Kamilla szeptem określiła ją jako „bourgeois-sur-mer” - państwa Denoyerów, tych od starych pieniędzy, rodziny od czasów Bonapartego nieostentacyjnie bogatej. Z kontraktu na szycie mundurów dla licznych armii napoleońskich wyrosło po paru pokoleniach olbrzymie przedsiębiorstwo, które z powodzeniem zaopatrywało rozmaite rządy w różne tekstylia. Bernard Denoyer, obecna głowa rodziny, odziedziczywszy dobrze zarządzaną firmę, nie musiał jej poświęcać dużo czasu, z czego w pełni korzystał. Andre pamiętał, że Denoyer przypadł mu do gustu. I że spodobała mu się córka gospodarza.

Co elegantsze czasopisma francuskie regularnie zamieszczały zdjęcia Marie-Laure Denoyer. Zależnie od pory roku ukazywały ją w Longchamps, na pogawędce z jednym z dżokejów taty, na stokach w Courcheval, na balu Czerwonego Krzyża w Monte Carlo, ślicznie ubraną, ładnie uśmiechniętą, nieodmiennie otoczoną przez gromadkę dobrze zapowiadających się młodych ludzi. Wdzięczna, wiotka blondynka tuż po dwudziestce, z wieczystą bladziutką opalenizną, typową dla osób, które nigdy na długo nie rozstają się ze słońcem, pozostała dziwnie normalna jak na córkę bogatego człowieka: pełna życia, przyjazna i chyba z nikim nie związana. Kamilla z miejsca poczuła do niej antypatię.

Andre postanowił zmienić plany. Zamiast rano do Nicei, pojedzie na Cap Ferrat i złoży swoje uszanowanie Denoyerom. Przy odrobinie szczęścia Marie-Laure może pozwoli zaprosić się na lunch. Dokończył kir i przeszedł do restauracji, z apetytem zaostroczonym w przewidywaniu ewentualnych jutrzejszych wydarzeń.

Cap Ferrat, elegancko porośnięty palmami i sosnami, znakomicie utrzymany, wściekle drogi, był od dawna jednym z modniejszych adresów na Lazurowym Wybrzeżu. Cypel wciną się w Morze Śródziemne na wschód od Nicei, a wille ludzi sławnych i znanych są ostojęte wysokimi murami i gęstymi żywopłotami, strzeżone przez żelazne bramy, oddzielone od pospólstwa buforem pieniędzy. Niegdyś mieszkali tu król Belgii Leopold II, Somerset Maugham i dbała o fryzury baronowa Beatrice de Rothschild, która nigdy, przenigdy nie wyszła z domu bez kuferka zawierającego pięćdziesiąt peruk.

Dzisiaj, w czasach bardziej demokratycznych i niebezpiecznych, mieszkańcy wolą na ogół, aby nie wymieniano ich nazwisk, aby nikt ich nie znał i nie zakłócał im spokoju, toteż Cap Ferrat jest jednym

z niewielu miejsc na wybrzeżu, gdzie nie dociera turystyczny zgiełk i ludzie się nie przepychają. Rzeczywiście pierwsza rzecz, jaką zauważa się tutaj po przyjeździe z Nicei, to cisza. Nawet kosiarki do trawy - słyszalne, ale niedostrzegalne zza murów i żywopłotów - warczą niegłośno i z szacunkiem, jakby były wyposażone w tłumiki. Nieliczne samochody poruszają się wolno, wręcz statecznie, nie zdradzają oznak normalnego pośpiechu i chęci wyprzedzania, typowych dla francuskiego kierowcy. Panuje atmosfera spokoju. Ci, co tu mieszkają, chyba nigdy nie muszą się spieszyć.

Za latarnią morską Andre skręcił z bulwaru Generała de Gaulle'a w wąską drogę prywatną, w ślepią

uliczkę, wiodącą na sam cypel. Zamykała ją posiadłość Denoyera, z typowymi kamiennymi murami wysokości dziesięciu stóp i ozdobioną herbem, masywną dwuskrzydłową bramą z grubego żelaza. Za bramą teren opadał ostro, trawniki były tarasowate, a pod dość okazałe drzwi frontowe prowadził z górą stujardowy podjazd, wysadzany palmami, z pętlą do zawracania i ozdobną fontanną na końcu. Spadziłość terenu pozwalała ponad dachem domu patrzeć na srebrzysty pas Morza Śródziemnego. Andre pamiętał, jak poprowadzono go tunelem z ogrodu do hangaru i na prywatną plażę, a Denoyer robił uwagi na temat problemów erozji i dużego kosztu przywożenia co wiosną statkiem dodatkowego piasku na użytek gości.

Andre wysiadł z samochodu, spróbował otworzyć bramę i stwierdził, że jest zamknięta na klucz. Przez żelazne sztaby spojrzął na położoną w dole rezydencję. W tych oknach, które widział, dostrzegł okiennice, toteż musiał pogodzić się z oczywistym faktem: Denoyerów nie ma w domu. Pora roku jest za wczesna; niewątpliwie siedzą jeszcze na hali albo leżą na plaży, a Marie-Laure odświeża swoją opaleniznę.

Z uczuciem bolesnego rozczarowania zawracał do samochodu, kiedy zobaczył, że ktoś otwiera frontowe drzwi. Ukazał się mężczyzna niosący coś przed sobą. Wyglądało to na prostokąt w żywych kolorach; mężczyzna z wielką ostrożnością trzymał to w lekko wyciągniętych rękach, a równocześnie spoglądał wzdłuż ściany domu.

Zaciekawiony Andre mrużył oczy w blasku słońca, lecz nie rozróżniał szczegółów. Wtem przypomniał mu się aparat. Leżał na przednim siedzeniu, zaopatrzone w długi obiektyw; przygotowany do zrobienia zdjęcia, w razie gdyby po drodze trafiło się coś ciekawego. Andre, od lat przywykły mieć go pod ręką! złapał go teraz nastawił i zobaczył postać przy drzwiach frontowych, zarysowaną ostro, wyraźnie. I znajomą.

Rozpoznał Starego Claude'a (nazywanego tak w odróżnieniu od Młodego Claude'a, głównego ogrodnika). Od dwudziestu lat Stary Claude był *homme d tout faire* Denoyera, jego majster-klepką, dozorcą, chłopcem na posyłki, kierowcą, przywożącym gości z lotniska i odwożącym ich z powrotem, przełożonym służby, opiekunem śli-zgacza, ważnym domownikiem. Podczas sesji zdjęciowej okazał się pogodny i przydatny, pomagał przesuwac meble i ustawiac światla. Andre żartował, że zaangażuje go jako asystenta. Ale co on, u licha, robi z obrazem?

I on też był znajomy: Cezanne, rodzinny Cezanne, studium, niegdyś własność Renoira. Andre doskonale pamiętał, że obraz wisiał nad ozdobnym kominkiem w głównym salonie. Kamilla zażądała serii zbliżeń, aby pochwycić fantastyczną technikę malarską, jak powiedziała, lecz w artykule nie wykorzystala żadnego z nich.

Andre, powodowany zarówno instynktem fotografa, jak rozważą, zdążył parę razy pstryknąć Claude'a na progu, nim zza domu wyjechała mała furgonetka, zatrzymała się i zasłoniła służącego. Była zwyczajnym brudnoniebieskim samochodem marki Renault, jakich setki spotyka się w każdym mieście francuskim. Niewielki napis z boku wskazywał, że należy do „Zucarelli Plomberie Chauffage”. Podczas gdy Andre obserwował furgonetkę przez obiektyw, kierowca wysiadł, otworzył tylne drzwiczki, wyjął duży karton i rolkę plastiku z bąbelkami powietrza. Podszedł do niego Claude.

We dwóch starannie owinęli obraz i umieścili w pudle. Pudło wróciło do furgonetki. Drzwiczki się zamknęły. Mężczyźni zniknęli wewnątrz domu. Wszystko to zostało zarejestrowane na filmie.

Andre opuścił aparat. O co tu chodzi? Nie może to przecież być włamanie, w biały dzień i w obecności Claude'a, nieskończenie zaufanego Claude'a, z dwudziestoletnim stażem wiernej służby. Czy obraz jedzie do oczyszczenia? Nowej oprawy? Jeśli tak, to dlaczego furgonetką hydraulika? Dziwne. Bardzo dziwne.

Andre musiał jednak przyznać, że to nie jego interes. Wrócił do samochodu i po raz drugi wolno przejechał przez czysty, szacowny, senny Cap Ferrat do drogi nadmorskiej, wiodącej do Nicei.

Chociaż z początku doznał lekkiego i doprawdy całkiem nieuzasadnionego zawodu - Marie-Laure i tak pewnie by go nie pamiętała; albo przy bliższej znajomości okazałaby się mimo wszystko rozpaskudzoną pannicą - teraz cieszył się wolnym dniem. W przeciwieństwie do Cannes, które po zakończeniu festiwalu i ucieczce turystów pogrąża się w jakimś tęsknym zimowym półśnie, Nicea nie śpi przez cały rok. Restauracje są otwarte, targowiska czynne, na ulicach panuje ruch, na Promenadę des Anglais podskakują głowy amatorów joggingu z widokiem na morze, samochody na jezdniach plużą i warczą, miasto oddycha, poci się, żyje.

Andre po wędrowce uliczkami starówki zatrzymał się na Place Saint-Francois, aby na targu rybnym podziwiać świeżo wyciągniętych z wody mieszkańców Morza Śródziemnego, teraz wyłożonych na kamienne płyty. Usiadł na dworze i napił się piwa w Cours Saleya, znów z aparatu z długim obiektywem pstrykał straganiarzy i ich klientki, godne panie domu z sąsiedztwa, znawczynie sałaty i bobu, specjalistki od zakupów. Na lunch zjadł mule, sałatkę i sery, zużył trzy czy cztery rolki kolorowego filmu u „Auera” i „Alziariego”, kupił olejek lawendowy dla Noela i - uśmiechnięty na myśl, że ona go włoży - prawdziwy, gwarantowany, nieprzemakalny beret pirenejski dla Lucy.

Kiedy wracał do Saint-Paul, rozpadało się i aż do rana mżył drobny, równy deszczyk. Andre z zadowoleniem powitał zmianę pogody, bo zawsze trudno mu było wyjeżdżać z południowej Francji, a tym trudniej, gdy słońce prażyło z wysoka; szare, zapłakane niebo łagodziło ból.

Szpaler drzew palmowych wzdłuż drogi na lotnisko, wilgotnych i posępnych, jakby skulonych na deszczu, doprowadził go na dworzec ze szkła, stali i betonu. Andre oddał wypożyczony w „Avis” samochód, po czym stanął w kolejce razem z biznesmenami (czy to ci sami znużeni cyganie, którzy przylecieli z nim z Nowego Jorku?) i nielicznymi urlopowiczami, którzy mieli zaróżowione od słońca policzki i nosy.

- Cześć! Jak się pan miewa?

Odwrociwszy się, Andre zobaczył swoją uczuloną na okna współtowarzyszkę podróży do Francji. Wpatrywała się w niego z promiennym uśmiechem. Odwzajemnił uśmiech i kiwnął jej głową. To nie wystarczyło.

- No więc. Jak się panu udała wyprawa? Mogę się założyć, że jadł pan przysmaki. Ja poszłam do tego naprawdę czystkiutkiego miejsca w Cannes, może je pan zna, Le Coq Rouge? Proszę zaczekać, mam gdzieś wizytówkę. -- Wyciągnęła pękaty notes z torebki. Kolejka się przesunęła. Andre modlił się, żeby samolot był pełny, a on siedział dostatecznie daleko od nowej przyjaciółki.

Późnym popołudniem na lotnisku Kennedy'ego czerwone słońce gasło, w powietrzu panował przenikliwy chłód, a zwały brudnego śniegu smętnie kontrastowały z nicejskimi rabatami jaskrawych kwiatów. W taksówce Andre oderwał od siedzenia stwardniałą kulkę trupio zielonej gumy do żucia i spróbował przemówić do kierowcy zrozumiałym dla niego językiem. Podróż przeszła gładko, samolot na szczęście był niezbyt pełny, a jedyną rozrywkę stanowił film, w którym typowy hollywoodzki bohater, nafaszerowany sterydami, systematycznie wykańczał resztę obsady. Skłaniało to Andre do rozmyślań z zamkniętymi oczami.

W tej chwili znowu, tak jak kilka razy przedtem w samolocie, przypomniał sobie niepokojącą scenę przed willą Denoyera. Nie potrafił zapomnieć o bezsensownym, choć ostrożnym, ładowaniu bardzo - jak wiedział - cennego obrazu do furgonetki miejscowego robotnika. Wtedy nie zwrócił uwagi na coś jeszcze: że wprawdzie nacisnął dzwonek, ale domofon, zainstalowany w kamiennym słupku bramy, pozostał głuchy. Rzecz całkiem normalna, gdyby dom był zamknięty i nie miał kto odpowiedzieć. Claude jednak znajdował się w środku. Wyglądało to na umyślne odcięcie posiadłości od świata zewnętrznego.

W przypiływie zniecierpliwienia Andre zapragnął zobaczyć fotografie, świadectwo bardziej niezawodne niż pamięć, więc postanowił pojechać prosto do laboratorium i wywołać film. Wychylony do przodu, aby taksówkarz mógł go słyszeć poprzez wiry i potoki muzyki sitar, wykrzyczał adres do turbanu owiniętego wokół głowy.

Drzwi swojego mieszkania otworzył dopiero tuż przed siódmą wieczór. Rzuciwszy torby, podszedł do przeglądarki wmontowanej w blat stołu roboczego. Światło zamigotało i utworzyło czysty biały prostokąt, kiedy układał na szkle barwne rzędy przezroczy. Błyskały

do niego małe obrazki - Claude, Cezanne, furgonetka Zucarellego i zapewne sam Zucarelli. Dla zilustrowania całej historii Andre uszeregował je w porządku chronologicznym. Szczegóły były wyraźne, obraz idealnie ostry, nawet w powiększeniu, pod lupą. Jako dowód musiałby być bardzo przekonujący.

Ale dowód czego? Załatwienia niewinnej sprawy? Andre odchylił się na swym stołku i pokręcił głową. Coś jest nie tak.

Wpatrzył się w tablicę na ścianie nad stołem, w mnóstwo przyczepionych do niej rozmaitych zdjęć, rachunków, wycinków prasowych, numerów telefonów i adresów na świstkach papieru, w menu z „L'Ami Louis”, w formularze rozliczeń kosztów podróży, w zaproszenia pozostawione bez odpowiedzi, nie rozerwane koperty z urzędu skarbowego. Jak promyk słońca w mrokach tej zbieraniny błysnęła mu fotografia, którą zrobił Lucy w biurze, podczas jej rozmowy telefonicznej z Kamillą, w momencie, kiedy trzymała słuchawkę daleko od ucha i patrzyła w obiektyw z twarzą rozjaśnioną szerokim, triumfalnym uśmiechem. Tego dnia wynegocjowała dla niego ostatnią podwyżkę w „KW”, choć Kamilla zgodziła się na nią bardzo niechętnie i po wielu pogróżkach.

Lulu. Jej pokaże zdjęcia, zobaczy, co ona o nich sądzi, ją spyta o zdanie. Podniósł słuchawkę.

- Lulu? Andre. Właśnie wróciłem. Chciałbym ci coś pokazać.

- Masz kłopoty? Dobrze się czujesz?

- Czuję się znakomicie. Co powiesz na obiad?

- Jest sobota, Andre. Wiesz? Tego dnia wieczorem pracujące dziewczyny umawiają się na randki i gdzieś chodzą.

- A na drinka? Szybkiego drinka? To może być ważne. Krótkie milczenie.

- Możesz się ze mną spotkać tam, gdzie będę jeść obiad? Andre dotarł na miejsce w dwadzieścia minut. Usiadł przy dość

pustym barze i rozejrzał się dokoła. Parę miesięcy temu, kiedy ostatni raz tędy przechodził, lokal był podupadającym sklepem z artykułami żelaznymi, który specjalizował się w pokazywaniu na wystawie zakurzonych drobnych przyrządów i zdechłych much. Teraz przerobiono go na restaurację, kolejną restaurację w tej dzielnicy artystycznej bohemy, licząc, że będzie odpowiadać wybrednym gustom - surowy wystrój, twarde powierzchnie i na tyle dobre oświetlenie, aby najmniej znaną osobę bez trudu dało się rozpoznać z drugiego końca sali. Hostessa - jeśli sądzić po szmince, pretendująca do miana aktorki - odznaczała się bezceremonialnym sposobem bycia i uroczystym, rozkołysanym chodem, typowym dla takich jak ona. W karcie pełno było modnych jarzyn, a listę win mocno rozcieńczono kilkunastoma rodzajami wody mineralnej. Właściciele pomyśleli chyba o wszystkim; restauracja powinna co najmniej przez trzy miesiące święcić wielkie sukcesy.

O tej porze, jeszcze trochę za wczesnej na spodziewaną wieczorem inwazję modelek i ich towarzyszy, ci, co teraz kończyli obiady, mieli niepewne miny ludzi całkowicie zastraszonych zarówno przez ceny, jak i przez obsługę. Kamilla nazwałaby ich tunelowcami, którzy przybyli z New Jersey i przedmieść, aby spędzić na Manhattanie upojny wieczór. Ponieważ mało pili i dawali małe napiwki, doznawali ze strony kelnerów chłodnego traktowania, zbliżonego do jawnej pogardy. W drodze powrotnej będą sobie opowiadać z jakąś fałszywą satysfakcją, że Nowy Jork to takie brutalne miasto.

Andre widział w lustrze za barem odbicie drzwi wejściowych, ilekroć więc się otwierały, podnosił wzrok i wypatrywał czarnej, kędzierzawej głowy. Kiedy Lucy wreszcie się pojawiła, musiał spojrzeć dwa razy, bo tak go zaskoczyła brakiem podobieństwa do znanej z biura dziewczyny, którą spodziewał się zobaczyć. Włosy, ściągnięte do tyłu, surowe i lśniące, podkreślały długość gładkiej szyi; oczy i kości policzkowe Lucy delikatnie zaakcentowała makijażem; w uszach miała kolczyki, po dwie małe złote kulki w każdym płątku, a krótką sukienkę z ciemnego jedwabiu skrojoną według najnowszej kusej mody, aby możliwie najbardziej przypominała sztukę drogiej - bielizny.

Andre wstał i ucałował dziewczynę w oba policzki, wdychając jej zapach, świadomy, że dłońmi dotyka nagej skóry na jej ramionach. Radość, wywołaną widokiem Lucy, troszkę mąciło uczucie zazdrości. - Przyszedłbym w krawacie, gdybym wiedział, że tak się wystroisz. - Opuścił ręce. - Czego się napijesz?

Barman uniósł brwi ze zdziwieniem, kiedy zamówiła rum z wodą, bez lodu. Sączyła go wolno, Andre zaś opisywał to, co zobaczył w Cap Ferrat. Pokazał Lucy przezrocza i obserwując grę światła na jej twarzy, gdy unosiła je w górę, zastanawiał się, z kim jest umówiona na obiad. W restauracji robiło się tłoczno, do

baru przypuszczali szturm modni młodzieńcy, w oczekiwaniu na drinki z ukosa, ukradkiem porównujący swój zarost i fryzury. Andre wydało się, że jest za skromnie ubrany i przesadnie wygolony.

- No więc? - powiedział. - Co sądzisz? Ten obraz musi być wart majątek.

Długimi, szkarłatnie zakończonymi palcami Lucy złożyła przezrocza na kupkę. Andre po raz pierwszy widział ją z polakierowanymi paznokciami.

- Nie wiem - odparła. - Gdyby go chcieli ukraść, mogli to zrobić nocą. Dlaczego kręcili się z nim przed drzwiami? - Znów pociągnęła łyk rumu i uśmiechnęła się, widząc zmarszczkę na twarzy Andre. - Słuchaj, jeśli się tym gryziesz, zadzwoń do Denoyera. Wiesz, gdzie jest?

- Mogę się dowiedzieć. Ale to dziwne, prawda? Masz rację... zadzwonię do niego. - Wsunął przezrocza do koperty i zapatrzył się w Lucy, robiąc minę, która miała być sentymentalna. - Całkiem sam w sobotni wieczór - rzekł. - Moja wymarzona dziewczyna obiecała pójść z innym. - Z ciężkim, przeciągłym westchnieniem dorzucił: - Pizza i telewizja, brudne naczynia. Może się wścieknę i umyję głowę. Może powinienem wziąć kota.

- Łamiesz mi serce - uśmiechnęła się Lucy.

- Kim jest ten szczęściarz? Patrzyła w swoją szklanę.

- Zwyczajnym facetem.

- Poznałaś go w siłowni? To było to, miłość wśród maszyn Nautilusa. Wasze oczy spotkały się nad ławeczką do wyciskania. Wystarczyło ci jedno spojrzenie na jego umięśnioną pierś. - Znów westchnął. - Czemu mnie coś takiego nigdy się nie zdarza?

- Bo tu nie bywasz. - Przez chwilę wpatrywała się w niego bez słowa. - Mam rację?

Andre potaknął.

- Owszem. Ale on się spóźnia. Daje plamę. Więc chodźmy za róg, zamówmy coś porządnego do jedzenia, jakieś... - Podniósł wzrok, gdyż zaleciało płynem po goleniu; nagle całą dzielącą ich przestrzeń wypełnił młody człowiek w ciemnym garniturze i w agresywnie krzykliwej, prążkowanej koszuli. Pod jego marynarką niewątpliwie kryją się czerwone filcowe szelki. Cóż za alfons.

Lucy dokonała prezentacji; dwaj mężczyźni podali sobie ręce z wyraźnym brakiem entuzjazmu, po czym Andre odstąpił nowo przybyłemu stołek barowy.

- Zadzwonię do ciebie jutro, Lulu, po rozmowie z Denoyerem. - Zmuszał się do uśmiechu. - Przyjemnego obiadu.

W drodze powrotnej do swego mieszkania, na chodniku zdradliwym, bo powleczonym lodową warstewką, Andre rozmyślał o tym, co wynika z często przytaczanych statystyk, według których na Manhattanie trzy wolne kobiety przypadają na każdego wolnego mężczyznę. Chwilowo nie doznaje z tego powodu wielkiej pociechy; i musiał przyznać, że nie dozna, dopóki większą część życia będzie

spędzał w innych miejscach. Lucy miała rację. Jedząc w delikatesach sandwicza, usiłował nie wyobrazić sobie, jak ona i facet w prążkowanej koszuli wyglądają przy obiedzie.

Później, przy niebiańskich dźwiękach muzyki Mendelssohna w wykonaniu Isaaca Sterna, przeszukiwał szufladę ze służbowymi wizytówkami. Ta od Denoyera, w napuszonym, bogatym stylu francuskim, powinna być większa niż pozostałe. Jest. Wyciągnął ją i przyjrzał się klasycznemu czarnemu pismu kaligraficznemu.

Dwa adresy, zależnie od pór roku: Ete Villa La Pinede, 06230 Saint-Jean-Cap-Ferrat. Hiver, Cooper Cay, New Providence, Wyspy Bahama. Żadnej wzmianki o Paryżu czy Courcheval, więc Denoyer, jeśli nie jeździ na nartach, powinien jeszcze być na Wyspach Bahama.

Andre ziewnął, bo nadal żył według czasu francuskiego i dla niego była już czwarta rano. Zadzwoni nazajutrz.

Głos Denoyera, niewyraźnie dolatujący z Cooper Cay, brzmiał miękko i uprzejmie. Oczywiście, pamięta Andre i te wspaniałe zdjęcia. Wielu przyjaciół gratulowało mu artykułu. Ma nadzieję, że Andre zamierza fotografować na Wyspach Bahama. O tej porze roku są rozkoszne, zwłaszcza kiedy pogoda na Manhattanie jest tak przykra. Denoyer o nic nie pytał wprost, a teraz urwał i czekał.

- Właściwie - powiedział Andre - dzwonię w sprawie Francji. W zeszłym tygodniu byłem w Cap Ferrat i przejeżdżałem koło pańskiego domu.

- Wielka szkoda, że nas tam nie było - odparł Denoyer. - Dom zamykamy na zimę... ale naturalnie sam pan widział. Wracamy dopiero w kwietniu.

- Cóż, rzecz dziwna, ale zobaczyłem pańskiego dozorcę.

- Claude'a? Mam nadzieję. - Denoyer wybuchnął śmiechem. - Nie chciałbym, żeby go nie było pod naszą nieobecność.

- Może należałoby powiedzieć, że robił coś dziwnego. - Och?

- I uznałem, że pan powinien wiedzieć. Z kimś drugim ładował

jeden z pańskich obrazów - tego Cezanne'a - do furgonetki. Furgonetki hydraulika. Obserwowałem ich zza bramy.

Przez moment na linii nie było słyhać nic prócz zakłóceń, po czym rozległ się głos Denoyera, bardziej rozbawiony niż zdziwiony.

- No nie, mój przyjacielu. Furgonetka hydraulika? Stał pan za bramą, prawda? W dość dużej odległości od domu. Coś się panu przywidziało. - Zachichotał. - To nie było po dobrym lunchu, co?

- Było z rana. - Andre głęboko zaczerpnął tchu. - I zrobiłem zdjęcia. Wszystko wyszło bardzo wyraźnie.

Wszystko.

Następna przerwa.

- Ah, bon! Cóż, pewnie Claude robił małe wiosenne porządki. Zadzwońię do niego. - I lekkim, zdawkowym tonem, jakby po namyśle, Denoyer dorzucił: - Ale zabawnie byłoby popatrzeć na te zdjęcia. Zechciałby pan je przestać?

Ton, choć lekki, zdawkowy, nie brzmiał przekonująco. Dawało się w nim wyczuć zainteresowanie, coś więcej niż przelotną ciekawość, i Andre przyłapał się na tym, że chce zobaczyć twarz Denoyera, oglądającego przezrocza.

- To nie będzie konieczne - odrzekł. - Sam je przywiozę. - Skłamał bez trudu. - Po niedzieli muszę obejrzeć jakiś dom w Miami. A stamtąd do Nassau jest już jeden krok.

Denoyer zgodził się po paru zdawkowych słowach sprzeciwu. Andre resztę poranka spędził na szukaniu połączeń lotniczych i próbach skomunikowania się z Lucy. Nie zastał jej w domu. Może facet w prążkowanej koszuli namówił ją na spędzenie rustykalnej niedzieli wśród arktycznych pustkowi Central Parku. Może w ogóle nie wróciła do domu po obiedzie. Cóż za obrzydliwa myśl i jakie marnotrawstwo. Andre musi skończyć z ciągłymi wyjazdami. Pomietą zawartość swej torby wrzucił do kosza na brudną bieliznę, bardzo głośno puścił Wagnera i zaczął się pakować przed podróżą na Wyspy Bahama.

Manhattan tajał. W ciągu nocy ciepły front zakradł się do miasta i zwały śniegu zamienił w szarą breję, sterty nie wywiezionych worków ze śmieciami ukazał blademu słońcu, wzbudził radość w sercach ludzi odpowiedzialnych za strajk. Wkrótce nieczystości dadzą o sobie znać, smród poczuje kilka milionów przechodniów, a z jego potężnym poparciem związkowcy wznowią negocjacje.

Andre brodził w strumieniach i dopływach Zachodniego Broad-wayu, po czym strząsnął najgorszą breję z nóg i wszedł do biura. Zastał Lucy przy telefonie; ze zmarszczonym czołem mówiła coś dobitnie. Podniósłszy wzrok, dała Andre znak oczami. Poszukał w torbie diapozytywów ikon i usiadł na kanapie.

- Nie. - Zmarszczki na czole Lucy się pogłębiły. - Nie, nie mogę. W tym tygodniu jestem uwiązana. Nie wiem kiedy. Posłuchaj, muszę już iść. Ktoś czeka. Tak, mam twój numer. Dobra. I ty. - Odłożyła słuchawkę, odsapnęła z ulgą, wstała i pokręciła głową.

Andre się uśmiechnął.

- Mam nadzieję, że ci nie przeszkodziłem - powiedział w głębokim przekonaniu, że przeszkodził. - Nie był to przypadkiem nasz przyjaciel w prążkowanej koszuli, co?

Po próbie obrzucenia Andre groźnym spojrzeniem Lucy złagodniała.

- Powinnaś pójść z tobą za róg, kiedy miałam szansę. Co za wieczór. A mnie facet wydawał się znośny. - Przeczesła włosy palcami. - Byłeś kiedyś w barze cygarowym?

Andre zaprzeczył gestem.

- Nie idź.

- Za dużo dymu?

- Za dużo prążkowanych koszul.

- I czerwonych szelek? Lucy potaknęła.

- Czerwonych, w prążki, w kwiatki, w monogramy, w byki i niedźwiedzie, w przepisy na koktajle. Jeden gość miał nawet wydrukowany na szelkach indeks Dow-Jonesa. Jak sobie podpisują, zdejmują marynarki. - Znów pokręciła głową i wzruszyła ramionami na to wspomnienie. - Skąd wiedziałeś o szelkach?

- Bez nich nastąpiłby krach na Wall Street. Opadłyby prawie wszystkie spodnie. Facet jest z Wall Street, prawda?

- Powiedzmy, że nie jest przemądrzałym fotografem. - Podeszła i wzięła ze stolika teczkę z przezrociami.

- Czy to te zrobione we Francji?

- Chciałem zapytać, czy mogłabyś je przekazać Kamilli. Muszę złapać samolot.

- Ależ niespodzianka. - Andre widział, jak w trakcie przeglądania diapozytywów twarz Lucy łagodnieje. - Są ładne. Cóż za uroczą starsza pani. Przypomina babcię Walcott bez opalenizny. Czy to jej dom?

- To stary młyn. Spodobałoby ci się we Francji, Lulu.

- Jest piękny. - Lucy włożyła przezrocza z powrotem do teczki, następnie zaś spytała żywo, rzeczowo, jak zwykle w biurze: - No, a dzisiaj gdzie nas niesie?

Andre zrelacjonował telefon na Wyspy Bahama. W miarę jak mówił, zaczynał sobie uświadamiać, że może zbyt wielką wagę przywiązuje do odpowiedzi Denoyera, do pauz i wahań, tonu jego głosu. Człowiek ten nie powiedział właściwie nic podejrzanego; nie wydawał się zaskoczony ani zdziwiony słowami Andre; w rzeczywistości nie zdradził chyba nic prócz grzecznego zainteresowania, dopóki nie usłyszał o fotografiach. Mimo to jednak Andre był pewny, że coś jest trochę nie tak. Prawie pewny. Może, próbując przekonać siebie, zarówno jak Lucy, nieświadomie przybrał pozę konspiratora, z poważną miną wysunął głowę do przodu.

Lucy, odchylona na oparcie kanapy, z brodą wspartą na ręce, uśmiechała się czasami na widok jego ożywionej gestykulacji. W miarę jak się rozpałał, stawał się coraz bardziej francuski, ręk używał jako wizualnych przerywników, dęgał powietrze lub ugniatał je palcami dla podkreślenia każdego zwrotu, każdego ważnego niuansu. Zakończył w pełni galijskim popisem - równoczesnym uniesieniem

ramion i brwi, przyciśnięciem łokci do boków, rozpostarciem dłoni, wysunięciem dolnej wargi - wszystkim prócz stóp podkreślając bezsporną logikę swych wniosków. Jego stary profesor na Sorbonie byłby dumny z ucznia.

- Ja tylko zapytałam, gdzie jedziesz - powiedziała Lucy.

Ci, którzy w zimie udają się na Wyspy Bahama, chętnie przewidują, jaka będzie pogoda, więc liczni pasażerowie już przy wyjściu z samolotu mieli tropikalne upierzenie - słomkowe kapelusze, ciemne okulary, jaskrawą odzież plażową, a paru śmiazków włożyło nawet przedwczesne szorty - i tropikalny nastrój, bo przerzucali się uwagami na temat nurkowania w maskach i płetwach, popularnych nocnych klubów w Nassau i rozkoszy picia w barach na plaży koktajli o dwuznacznych nazwach. Ten tłum, ogarnięty odświeżonym nastrojem, gotów był do ulegania zachciankom i do ekscesów. Za dwadzieścia cztery godziny, myślał Andre, większość tych osób będzie cierpieć na wyspiarską chorobę, wywołaną rumem bacardi i opalaniem.

Sam źle wspominał Morze Karaibskie. Przed paru laty, podczas jego pierwszej nowojorskiej zimy, wciąż go kusiła myśl o tym, że wystarczy krótki lot, aby się znaleźć na białej, piaszczystej plaży. Więc uległ pokusie, pożyczył pieniądze na jakoby szalenie tanią tygodniową wycieczkę na jedną z mniejszych Wysp Dziewiczych i już po czterech dniach gotów był wracać. Ceny uznał za wyśrubowane, jedzenie za zbyt wysmażone, ciężkie i monotonne, a nielicznych poznanych mieszkańców wyspy za uzależnionych od dżinu alkoholików i plotkarzy. Późniejsze służbowe wyjazdy na inne perełki Morza Karaibskiego nie wpłynęły na zmianę jego opinii: on i małe wyspy nie pasowali do siebie nawzajem. Dokuczała mu na nich klaustrofobia i nie-strawność.

Tak więc raczej przekonany o swym posłannictwie niż pełen przyjemnego oczekiwania zapiął pas przy blaszanych dźwiękach samolotowego kalipso, po których rozbrzmiały powitalne słowa pilota. Jak to jest, że głosy wszystkich pilotów wydają się takie głębokie, pewne, nieskończenie uspokajające? Czy tego wymaga ich zawód, podobnie jak umiejętności nawigacyjnych i znakomitego ciśnienia krwi? Czy na kursach podyplomowych uczą się pięknych słówek i dykcji? Samolot osiągnął właściwą wysokość i szybował w bezkresnym błękitcie; po odpięciu pasa Andre spróbował wyciągnąć mokre

nogi, które utapał w nowojorskich kałużach. Przynajmniej tę wilgoć miło będzie pozostawić za sobą na parę dni.

Od światła na lotnisku w Nassau rozbolały go oczy; popołudniowy upał, jak owinięty wokół niego mokry ręcznik, sprawiał, że wilgotna, gruba odzież zimowa lepiała się do piersi i pleców. Wśród wiekowych chevroletów Andre nie znalazł klimatyzowanej taksówki, więc czas przejazdu do Cooper Cay spędził niczym pies, z twarzą wystawioną przez otwarte okno, łapiąc podmuchy wiatru.

Denoyer zarezerwował dla niego pokój w klubie, każdy gość jednak musiał dopełnić drobnych formalności, zanim pozwolono mu się wdrzeć na teren tego soczyście zielonego, silnie bronionego getta. Taksówkarzowi wjazd uniemożliwiła barierka w zielono-białe pasy, toteż nacisnął na klakson. Krzepki, niemrawy mężczyzna w czapce z daszkiem, wojskowym mundurze i lśniących jak lustro butach wychynął ze stróżówki, po czym wolno podszedł do samochodu. Pogwarzyli sobie z kierowcą jak starzy przyjaciele, którzy mają mnóstwo czasu i nigdzie im się nie spieszy w taki przyjemny dzień. Wreszcie, kiedy już każdy z nich doprowadził swoją historię do chwili obecnej, ten w mundurze zauważył Andre,

oklapłego na tylnym siedzeniu, i spytał, z kim się chce widzieć. Wolno odmaszerował do stróżówki, skąd zadzwonił do głównej kwatery, aby potwierdzić informację. Okazało się, że wszystko jest w porządku. Dał znak taksówkarzowi. Szlaban się podniósł. Taksówka jeszcze raz zatrąbiła, ruszyła i Andre wstąpił do ziemskiego raję, zarezerwowanego dla tych, co mają na czysto powyżej dziesięciu milionów dolarów i dobrego doradcę prawnego z Bay Street.

Droga, zrazu szeroka, prosta aleja, wysadzana palmami kokosowymi wysokości pięćdziesięciu stóp, skręcała i rozgałęziała się na podjazdy do olbrzymich białych lub różowych domów. Na dyskretnie wymalowanych tablicach, ukrytych wśród bugenwilli, widniały lakoniczne nazwy: każdy ogromny budynek z równie wielką, fałszywą skromnością określano mianem chaty: Różanej, Koralewej, Winogronowej, Palmowej (oczywiście), Kazuarynowej - ich ogrody były wymuskane, pozamykane okiennice zabezpieczały przed słońcem. Andre przytąpał się na porównywaniu tego miejsca z drugą kryjówką Denoyera, z Cap Ferrat. Choć różniły się roślinnością, rodzajem upału i powietrza, architekturą, uderzało w nich jedno podobieństwo: atmosfera spokojnego, sennego bogactwa, uczucie, że reszta świata znajduje się bardzo daleko. Nie zbliżajcie się, zwykli śmiertelnicy.

Droga znów skręciła, okrążyła szmaragdową zieleń nieodzownego pola golfowego, po którym nikt nie chodził. Od dołka od dołka, od strzału do strzału posuwano się na biało-zielonych wózkach elektrycznych, w barwach Cooper Cay. Pasażerowie zsiadali, uderzali i znów wsiadali. Wysiętek fizyczny ograniczano do minimum.

Taksówkarz zajechał przed szerokie kamienne schody frontowe klubu i tam nagle się ożywił na myśl o napiwku. Wskoczywszy, wyrwał z rąk Andre torbę, po to tylko, aby jemu z kolei wyrwał ją jeden z gońców klubowych, olbrzym błyskający zębami, w kamizelce w zielono-białe pasy. Andre rozdzielił przepocone banknoty między wyciągnięte ręce i skierował się do chłodnego, wysokiego holu.

W pokoju z widokiem na basen pozbył się jeszcze trochę wilgotnych pieniędzy. Nie tracąc czasu na rozpakowywanie, rozebrał się i przez pięć minut stał pod zimnym prysznicem, następnie zaś mokry i nagi przeszedł po kamiennej posadzce, aby wyrzeć przez okno. Długi turkusowy prostokąt basenu świecił pustkami, ale wzdłuż jego jednego boku chwytały promienie przedwieczornego słońca inni goście hotelowi, wysmarowani olejkami i nieruchomi na swoich leżakach. Mężczyźni w średnim wieku, twardzi jak podeszwa, zaokrągleni od dobrego życia; młodsze od nich, szczuplejsze kobiety w basenowej biżuterii i prawie niczym więcej; żadnych dzieci, żadnego hałasu, żadnych oznak życia. Andre odwrócił się od okna.

Na stoliku przy jego łóżku stała oparta o puchar z ketmiami kremowa koperta. Wytarł ręce, po czym ją otworzył: zaproszenie na obiad do Denoyerów, uzupełnione wskazówkami i małą mapką, aby mu ułatwić przebycie we wspaniale przystrzyżonej dżungli czterystu jardów z klubu do ich chaty. Osuszył się ręcznikiem i wysypał zawartość torby na łóżko. Czy Denoyer należy do mężczyzn przebiegających się przed obiadem w tropikach w biały smokę? Czy tego samego oczekuje od swych gości? Z kłębu odzieży Andre wyciągnął białą lnianą koszulę i spodnie khaki, powiesił je w łazience i odkręcił prysznic, aby pod wpływem pary wygładziło się to, co się wymięło w podróży.

Przy wejściu do klubu boy spróbował namówić Andre na jazdę wózkiem golfowym, a kiedy się spotkał z odmową, zamrugał zdziwiony. Tutaj nikt nie chodził. Nie w Cooper Cay; nie wieczorem. Cóż to był zresztą za wieczór: ciepły czarny aksamit, sierp księżycy,

mruganie i skrzeczenie się gwiazd, lekki, słonawy wietrzyk od morza, ostra tropikalna trawa, gęsta i sprężysta pod stopami, niewidzialna orkiestra owadów, furkoczących i cierkających w zaroślach - w tej chwili szczególnie dobrego samopoczucia Andre musiał przyznać, że Morze Karaibskie zimą nie jest aż takie złe.

Dom - awansowany ze zwykłej chaty przez Denoyera, bo nazwany „La Maison Blanche” - prezentował się imponująco i nieskazitelnie, jak inne w sąsiedztwie i jak godny lokaj, który otworzył frontowe drzwi. Zaprowadził Andre szerokim korytarzem, biegnącym przez środek domu, na taras wzdłuż całej ściany zewnętrznej. Stąd oświetlona alejka wiodła obok basenu, przez lasek palmowy na przystań. Dalej ciemność, plusk i szept wody.

- Monsieur Kelly! Bonsoir, bonsoir. Witamy w Cooper Cay. - Denoyer bezszelestnie stąpał po koralowych płytach tarasu. Andre z przyjemnością zauważył jego domowy strój, marynarskie spodnie, koszulę z krótkimi rękawami i espadryle, a jako jedyne świadectwo zamożności duży złoty zegarek - z gatunku tych praktycznych, wodoszczelnych do głębokości pięciuset stóp - na opalonym przegubie. Skóra gospodarza jaśniała zdrowiem i słońcem, ciepły uśmiech łagodził rysy pobrużdżonej, ale jeszcze przystojnej twarzy.

Powiódł Andre do niskiego szklanego stolika i kilku rattanowych foteli.

- Pamięta pan moją żonę Catherine?

- Naturalnie. - Andre uściśnął szczupłą, upierścienioną dłoń. Madame Denoyer była starszą wersją swej córki, elegancka w prostej bluzce z bładoniebieskiego jedwabiu, z blond włosami upiętymi w kok, z rasową, nieco wyniosłą twarzą o delikatnym układzie kostnym. Wdzięczne skinienie głowy.

- Niech pan siada, monsieur Kelly. Czego się pan napije? Lokaj przyniósł wino.

- Pernand-Vergelesses - powiedział Denoyer. - Mam nadzieję, że będzie panu smakować. - Przepraszająco wzruszył ramionami. - Nigdy nie zdołaliśmy przywyknąć do kalifornijskich win białych. Obawiam się, że jesteśmy za starzy na zmianę upodobań. - Podniósł kieliszek. - To bardzo ładnie, że pan przyjechał. - Popijał wino, a jego oczy wybiegały w stronę koperty, którą Andre położył na stole, po czym się cofały, jakby nie interesowała go bardziej niż paczka papierosów.

Andre się uśmiechnął.

- I tak byłem w tych stronach. - Zwrócił się do madame Denoy-er: - Mam nadzieję, że córka państwa dobrze się miewa?

- Marie-Laure? - Zrobiła kwaśną minę. - Kiedy jest tutaj, chce jeździć na nartach; kiedy jeździ na nartach, chce leżeć na plaży. Rozpieszczamy ją. Non - pogroziła palcem mężowi - to Bernard ją rozpieszcza. - Popatrzyła na niego, a jej wzrok wyrażał tyleż miłości, co łagodnej nagany.

- Czemu nie? Robię to z przyjemnością. - A do Andre powiedział: - Właściwie to się minęliście. Wczoraj wróciła do Paryża, potem spędzi zapewne weekend w Cap Ferrat. - Uśmiechnął się do żony. - Claude rozpieszcza ją jeszcze bardziej niż ja. - Wymieniwszy imię stróża, Denoyer jakby sobie przypomniał o powodzie wizyty Andre i pochylony do przodu, z podniesionymi brwiami, od niechcienia wskazał leżącą na stole kopertę. - Czy to te zdjęcia? - Ruch głowy był odrobinę za niedbały, pytanie zadane zbyt bezceremonialnie. Ani jedno, ani drugie nie przekonywało, a przynajmniej tak uważał Andre.

- Ach, mówi pan o tym. Tak. Przypuszczalnie nie zasługują na obejrzenie - odparł Andre z uśmiechem.

Denoyer podniósł obie ręce na znak grzecznego protestu.

- Ale pan tak się fatygował, przyjechał aż tutaj. - Sięgnął po kopertę. - Można?

Lokaj wolno wyszedł na taras i szepnął coś madame Denoyer do ucha. Kiwnęła głową.

- One mogą poczekać, cheri. A niestety suflet nie może.

Mimo położenia geograficznego dom pozostawał francuski, z francuskimi priorytetami. Okropna wizja oklapniętego sufletu, który niczym nie będzie się różnić od żalostnego, zwiędłego naleśnika, zdominowała wszystko inne, toteż madame Denoyer niezwłocznie poprowadziła ich do jadalni. Kiedy siadali, Andre zauważył, że Denoyer zabrał ze sobą kopertę.

Pokój był o wiele za duży i za wspaniały dla nich trojga. Usiedli przy jednym końcu tak olbrzymiego mahoniowego stołu, iż wygodnie mogłoby się przy nim pomieścić dwanaście osób. Andre oczami wyobraźni ujrzał państwa Denoyer, jedzących obiad we dwoje, na dwóch szczytach stołu, lokaja zaś przenoszącego tam i z powrotem sól, pieprz oraz strzępy rozmowy.

- Wyobrażam sobie, że dużo tu państwo przyjmują - zagadnął madame Denoyer.

Znów ta sama mina, podobna do wzruszenia ramionami.

- Staramy się tego nie robić. Ludzie umieją tutaj rozmawiać tylko o golfie, zdradach małżeńskich albo podatku dochodowym. Wolimy gościć przyjaciół z Francji. - Popatrzyła na złocistą kopułę su-fletu, z którym lokaj stał w oczekiwaniu jej aprobaty, i kiwnęła głową. - Gra pan w golfa, monsieur Kelly? Podobno tutejszy tor jest znakomity.

- Nie, nigdy nie grałem. Obawiam się, że gdybym tu mieszkał, sprawiałbym towarzyski zawód. - Wbił z góry tyżkę w swój suflet, wciągnął woń ziół i w puszyste zagłębienie nagarnął czarnej tape-nade. - Nie jestem nawet bardzo dobrym cudzołożnikiem.

Madame Denoyer uśmiechnęła się w odpowiedzi. Młody człowiek ma poczucie humoru i takie niezwykle oczy. Wielka szkoda, że Marie-Laure wyjechała.

- Bon appetit.

Na znak szacunku, należącego aromatycznej, ulotnej lekkości sufletu, milczeli w trakcie jedzenia. Potem dolano wina, Denoyer zaczął wygłaszać poglądy na temat gospodarki francuskiej, na ogół niewesołe, zadał też gościowi parę grzecznych pytań o jego pracę, o to, jak życie w Nowym Jorku wygląda w porównaniu z życiem w Paryżu, o to, jakie ma ulubione restauracje - same miłe banały, klej towarzyski, który w czasie obiadów łączy ludzi obcych, żadnej dociekliwości, nic nazbyt osobistego. I nic o fotografiach, choć Denoyer wciąż powracał wzrokiem do koperty przy swoim talerzu.

Głównym daniem była ryba, lecz ryba, która uniknęła zwykłej na Morzu Karaibskim śmierci przez uduszenie w cieście. Ryba lekko smażona, pokryta panierem z tartego pumperniku, garniowana kawałkami świeżej limonki i podana z pommés allumettes, chrupiącymi w ustach smakowicie i bardzo przyjemnie. Andre uznał, że ta ryba z frytkami godna jest czterech gwiazdek i komunikatów prasowych, toteż pogratulował madame Denoyer kucharza.

- Mimo wszystko kuchnia bahamska nie robi wrażenia beznadziejnej - powiedział.

Madame Denoyer uniosła kryształowy dzwoneczek, który stał przy jej kieliszku z winem, i zadzwoniła na lokaja.

- Miło, że pan to mówi. - Uśmiechnęła się do niego figlarnie, przez co odmłodziła o kilka lat - nagle stała się identyczna jak córka - i postukała się po nosie. - Ale kucharz pochodzi z Martyniki.

Andre nigdy nie jadał deserów, bo wolał zakończyć kieliszkiem wina, teraz zaś Denoyer prędko zaproponował przejście z kawą do salonu, też zaprojektowanego dla mnóstwa ludzi. Usiedli pośrodku, na wyspie foteli pod wolno obracającym się wentylatorem sufitowym, otoczeni ze wszystkich stron przez morze marmurowej podłogi.

- No więc zobaczymy - rzekł Denoyer - co przeskrobał ten stary gałgan Claude.

Rudolf Holtz od kilku lat ściśle przestrzegał poniedziałkowego wieczornego rytuału. Spotkania służbowe kończył punktualnie o szóstej; nie zapraszał gości i sam nie przyjmował zaproszeń. Ten wieczór należał do niego i co tydzień upływał dokładnie tak samo. Po wczesnej, lekkiej kolacji - z niezmiennym menu, na które składał się wędzony łosoś od „Murraya” i pół butelki Montracheta - Holtz z najnowszymi katalogami, ogłoszeniami galerii oraz ze swoją listą obecnych i potencjalnych klientów włożył po stopniach na łóżko z baldachimem. Tam wśród poduszek układał plany. Stało się to nieocenioną częścią jego tygodnia pracy, niczym nie zakłócanym okresem, w którym obmyślił wiele korzystnych posunięć, niekiedy całkiem zgodnych z prawem.

Obok niego Kamilla leżała już pogrążona we śnie, z oczami osłoniętymi przed światłem maseczką z czarnej satyny. Była wyczerpana - dosłownie wykończona - weekendem, który z szaleńczo towarzyskimi przyjaciółmi spędziła w hrabstwie Buckingham. Jej chrapanie, jej ciche, regularne sapnięcia przypominały Holtzowi lubianego niegdyś mopsa, toteż czasami poklepywał ją w roztargnieniu, zagłębiony w katalogach, niekiedy notując nazwisko obok jakiegoś określonego obrazu. Tę część swojej pracy uważał za bezinteresowną przysługę - znalezienie dla dzieła sztuki ciepłego domu - i bardzo lubił; choć

oczywiście nieporównywalnie głębszą satysfakcją sprawiało deponowanie siedmiocyfrowego czeku po dokonaniu sprzedaży.

Zastanawiał się, czy mały, lecz uroczy Corot nie mógłby wypełnić luki w tokijskiej kolekcji Onozuka, kiedy zadzwonił telefon. Kamilla z cichym kwileniem nakryła głowę pościelą. Holtz spojrzął na zegarek przy łóżku. Prawie jedenasta.

- Holtz? Tu Bernard Denoyer.

Holtz znów popatrzył na zegarek i zmarszczył czoło.

- Ranny z pana ptaszek, mój przyjacielu. Którą tam macie? Piątą?

- Nie, jestem na Wyspach Bahama. Holtz, właśnie widziałem coś, co wcale mi się nie podoba. Zdjęcia zrobione w zeszłym tygodniu pod moim domem w Cap Ferrat. Cezanne'a, Holtz, Cezanne'a. Ładowanego do furgonetki hydraulika.

Holtz usiadł raptownie, wyprostowany jak struna, i zapytał głośniejszym głosem:

- Gdzie one są, te zdjęcia? - Kamilla z jękiem nakryła głowę poduszką. - Kto je zrobił? Nie te dranie z „Paris Match”?

- Nie, mam je tutaj. Dostałem od fotografa... faceta nazwiskiem Kelly. Pracuje dla magazynu, gdzie w ubiegłym roku wydrukowano duży artykuł o moim domu. „KW”? Coś w tym guście.

- Taka nazwa nie obita mi się o uszy. - Kamilla wciąż jęczała. Holtz położył drugą poduszkę na jej głowie. - Kelly... czy chce pieniędzy?

- Nie sądzę - odparł Denoyer po krótkim wahaniu. - Mówił, że jutro wraca do Nowego Jorku, więc już go nie zobaczę. Ale co się dzieje? Myślałem, że pan przewozi obraz do Zurychu. Zgodnie z umową. Do Zurychu, stamtąd do Hongkongu i nikt się nie dowie... tak pan powiedział.

Dawniej Holtz radził sobie z wieloma trudnymi klientami. Na ogół w takich jak ta nielegalnych transakcjach zdarzały się okresy zawieszenia - czasami godziny, czasami dni lub tygodnie - i jedna strona musiała wtedy w pełni polegać na tym, że druga dotrzyma zobowiązań. Holtz starał się sam nigdy nie dźwigać brzemienia nieufności, potrafił natomiast zrozumieć, jak niepewnie czuje się ktoś, kto postanowił złożyć swój los czy swoje pieniądze w czyjeś ręce. Rozsiadł się wśród poduszek i przybrał ton lekarza przemawiającego do pacjenta.

Nie ma absolutnie żadnych powodów do obaw, zapewniał De-noyera, pod warunkiem że się wycofa fotografii z obiegu. A to, rzekł i zerknął na uśpione ciało, może zagwarantować. Nie dopuściwszy Denoyera do głosu, ciągnął: Claude nie stanowi problemu. Wypełni polecenia. Będzie milczeć z poczucia lojalności. Furgonetka to prosty kamuflaż. Kierowca, bynajmniej nie hydraulik, jest pracownikiem Holtza, doświadczonym kurierem, i umie transportować różne cenne przedmioty bez zwracania na siebie uwagi. Kto mógłby podejrzewać, że brudnym starym renaultem rzemieślnika przewozi się cenny obraz? Oczywiście nikt. Denoyer może być pewny, że Cezanne bezpiecznie i dyskretnie podróżuje teraz po

Europie. Holtz nie wspomniał, że obraz zrobi postój w Paryżu, ale to nie interes Denoyera.

- Więc jak pan widzi, mój przyjacielu - podsumował Holtz - nie ma się czym niepokoić. Mała niedogodność, i tyle. Wypadek. Proszę się cieszyć słońcem, ja dopilnuję reszty.

Po odłożeniu słuchawki Denoyer zapatrzył się w łagodną baham-ską noc. Pierwszy raz w swym uczciwym, uporządkowanym życiu współpracował z człowiekiem pokroju Holtza, a nie zaliczał tego do przyjemnych doświadczeń: zdawał sobie sprawę z zagrożenia, ryzyka, braku kontroli, czuł się zdenerwowany, nawet winny. Ale było już za późno. Zbyt późno się uwikłał. Nic nie poradzi. Wstał i nalał sobie koniaku. Holtz pewnym głosem mówił o wytropieniu negatywów i odbitek fotografii, jeśli takie istnieją. Młody człowiek wydawał się szczerzy. Może Denoyer za dużą wagę przywiązuje do całkiem niewinnego zbiegu okoliczności. A mimo to z ulgą powita zakończenie sprawy.

W rzeczywistości Holtz wcale nie był taki pewny siebie, na jakiego wyglądał. Jeśli Denoyer mówił prawdę, ma czas tylko do jutra. Pochylił się, zdjął poduszkę z głowy Kamilli, którą obudził potrząśnięciem za ramię. Kamilla zsunęła na czoło maskę do spania. Otworzyła jedno zaćmione oko, a ta wąska szparka była dziwnie naga bez zwykłego makijażu.

- Nie teraz, skarbie. Jestem zmęczona. Może rano, przed gimnastyką. - Jak wielu niskich mężczyzn, Holtz nadrabiał brak postury nienasyconą zmysłowością, którą Kamilla niejednokrotnie uważała za dość nużącą. Poklepała go po ręce. - Dziewczyna musi mieć od czasu do czasu wolną noc, skarbie. Naprawdę.

Holtz jakby nie słyszał.

- Potrzebny mi adres tego twojego fotografa. Kelly'ego. Kamilla z trudem przybrała pozycję siedzącą i zasłoniła piersi

prześcieradłem.

- Co? Nie możesz z tym poczekać? Rudi, wiesz, że niewyspana jestem kompletnie do niczego, a jutro...

- To ważne. Coś nawaliło.

Po jego zaciśniętych wargach Kamilla poznała, że nie ma sensu dyskutować dalej - potrafił przecież być dość nieokrzesanym małym dzikusiem - więc wstała, idąc po torebkę stłukła palec u nogi o komodę w stylu Ludwika XV i wróciła do łóżka na jednej nodze, a jej

podskoki nie miały w sobie nic ładnego. Wyjęła notes z adresami i otworzyła go na literze K.

- Palec mi spuchnie, wiem na pewno. Cholerna komoda. - Podała notes Holtzowi. - Wolno wiedzieć, o co chodzi?

- Śmiem twierdzić, że przeżyjesz, moja droga. Pozwól mi zadzwonić.

Już w pełni rozbudzona i ogromnie ciekawa, Kamilla wyjęła z torebki lusterko. Poprawiając włosy, zaczęła słuchać, co Holtz mówi do jakiegoś Benny'ego. Zaraz zresztą tego pożałowała. Bo na pewno nie była ciekawa tych brudów. Nie tej nocy. Ponownie włożyła maskę, ukryła się w swej norze pod poduszkami i

udawała, że śpi.

Ale sen nie nadchodził. Kamilla mętnie zdawała sobie sprawę, że rozmowa dobiega końca, a następnie poczuła miękkiej, natarczywej dotyk dłoni Holtza, obracającego ją do siebie. Popatrzyła na czubek jego głowy; w jakiś sposób nadal był niski, nawet w pozycji horyzontalnej. Ręce nie dawały za wygraną. Kamilla uległa temu, co nieuniknione, i westchnęła, odsuwając stłuczony palec możliwie najdalej, żeby się nie zderzył z przebiegającymi stopami Holtza.

Andre wyjrzał przez tylne okno taksówki, kiedy pasiasty szlaban opadł, aby strzec Cooper Cay przed inwazją pospólstwa. Był śliczny, roziskrzony poranek, kwiaty malowały się jaskrawo na tle tropikalnej zieleni, ogrodnicy zamiatali i strzygli, zdecydowani oszczędzić mieszkańcom okropnego widoku opadniętego liścia czy zwiędłego kwiatu. Andre oklapł na siedzeniu, zawiedziony, jakby ostatnie dwadzieścia cztery godziny poszły na marne.

Denoyer nie mógłby właściwie być bardziej uroczy albo, przez większą część wieczoru, bardziej odprężony. Wbrew oczekiwaniom Andre bynajmniej nie zdziwił się i nie zmartwił zdjęciami, sprawiał natomiast wrażenie bardziej zainteresowanego stanem swojego ogrodu niż Cezanne'em. Raz tylko się zdradził, a i to jedynie nagłą zmarszczką zdziwienia, kiedy ujrzał furgonetkę, lecz natychmiast się opanował. Hydraulik, stary copain Claude'a, powiedział, niejednokrotnie załatwia polecenia. Cezanne'a czasem pożyczają zaprzyjaźniony właściciel galerii w Cannes. To chyba wyjaśnia sprawę, powiedział Denoyer, ale Claude na pewno dostanie burę za niedbały sposób przewożenia. I na tym koniec. Denoyer wylewnie dziękował za troskę Andre i bardzo chciał opłacić jego pobyt w klubie. Ale wieczór - w rzeczywistości zaś cała wyprawa - sprawił rozczarowanie.

Słabą pociechę przyniosło Andre to, że kiedy po południu dotarł do Nowego Jorku, utrzymywała się odwilż i chodnik przed jego domem przestał być ślizgawką. Na schodach Andre uznał, że potrzebuje rozrywki, więc myśląc o Lucy i o obiedzie przekręcił klucz w zamku. Ruszył do telefonu, ale dopiero w połowie pokoju stanął jak wryty i ogarnął wzrokiem bałagan, który panował dokoła.

Kartony pootwierano, wysypano ich zawartość. Książki, obrazy, odzież, pamiątki z podróży walały się po podłodze i pod ścianą, jakby ze złością rozrzuciły je ręce brutala. Po szkle chrupiącym pod nogami Andre podszedł do stołu roboczego. Szafki kartotekowe, gdzie przechowywał wszystkie swoje przezrocza w porządku chronologicznym i geograficznym, były otwarte i puste. Sąsiednią szafę na sprzęt opróżniono ze wszystkiego prócz składanego trójnożnego statywu i starego aparatu kliszowego, który zamierzał oddać do naprawy. Zniknęły inne aparaty, obiektywy, filtry, urządzenia oświetleniowe, specjalnie szyte torby do ich przenoszenia. Ruszył dalej do kuchni, otworzył lodówkę i bez wielkiego zdziwienia stwierdził, że rolki filmu wygarnięto co do sztuki. Witaj w Nowym Jorku, domu skrupulatnego złodzieja.

W sypialni zobaczył powyciągane szuflady, puste szafy w ścianie, wszędzie porozrzucaną odzież, materac zwleczony z łóżka. Ogłuszyło go to, sparaliżowało. Wściekać się, czuć, że zadano mu gwałt, miał dopiero później. Ostrożnie stąpając po okruchach swego dobytku, dotarł do stołu roboczego, przysiadł na stołku i zaczął prowadzić niezbędne rozmowy przez telefon.

Policja: grzeczna, lecz zmęczona. To jedno z kilkuset przestępstw popełnionych ostatnio w Nowym Jorku, a na liście, na której pierwsze miejsca zajmowały zabójstwa, gwałty, przedawkowania i początek sezonu łowieckiego w metrze, drobna kradzież figurowała gdzieś na końcu. Gdyby Andre zechciał podać szczegóły na komisariacie, oficjalnie zarejestrowano by włamanie. Na policji zaś, jeśli nie nastąpi niezwykle szczęśliwy przełom, teczka będzie się pokrywać kurzem. Andre udzielono rady, że powinien zmienić zamki.

Towarzystwo ubezpieczeniowe: z miejsca w defensywie, z zawodowym sceptycyzmem i ogniem zaporowym szczegółowych pytań, które przynoszą taką pociechę w czasach kryzysu i nieszczęścia. Czy wszystkie drzwi i okna były dobrze pozamykane? Czy Andre włączył system alarmowy? Czy ma wszystkie wymagane papierki - kwity, daty zakupu, numery serii, szacunkowy koszt nowego sprzętu? Bez tych ważnych informacji nie mogą podjąć żadnych kroków. Tym-

czasem radzą mu zmienić zamki. Kiedy odkładał słuchawkę, przypomniał sobie slogan towarzystwa, wypowiedziany pod koniec każdej reklamówki głosem ociekającym przesłodzoną szczerością: coś o przyjacielu w biedzie.

Lucy: wreszcie odrobina współczucia. Obiecała zjawić się zaraz po zamknięciu biura.

Stała w salonie i oglądała zniszczenia z twarzą ściągniętą przerażeniem i gniewem. Na głowie miała beret, który jej kupił w Nicei. To najlepsze, co widział od rana, więc się uśmiechnął.

- Dobrze ci w nim, Lulu. Chyba kupię ci rower i warkocz cebuli, bo będą do niego pasować.

Zdjęła beret i potrząsnęła włosami.

- Jeśli będziesz taki męski i dzielny, nie wezmę cię na obiad. Mój Boże, co za bałagan.

Zaczęli od sypialni; Lucy prędko i zgrabnie składała części garderoby, wieszala je lub wrzucała do kosza na brudną bieliznę. Widząc, ile wysiłku kosztuje Andre złożenie swetra, wysłała go do salonu, gdyż liczyła, że z robót domowych opanował przynajmniej sztukę posługiwania się szczotką. Bez namysłu wybrał i nastawił płytę kompaktową z Marleyem, a dopiero kiedy odwracał się od stereo, coś bardzo go zaskoczyło: nie powinno być odtwarzacza. Dlaczego nie zniknął wraz z całą resztą? Andre wziął się do zmiatania okruchów potłuczonego szkła, a równocześnie dokonywał przeglądu skradzionych rzeczy; albo raczej nie skradzionych: złodziej zostawił stereo, telewizor, radio przy łóżku, przenośny telefon, a nawet kilka srebrnych ramek na fotografie, w stylu Art Nouveau, obecnie rozrzuconych na podłodze pod półką, gdzie zazwyczaj stały. Nie miało to sensu, chyba że włamywacze zamierzali zostać zawodowymi fotografami. Ale jeśli chodziło im wyłącznie o sprzęt, dlaczego zabrali przezrocza? Dlaczego wzięli zapas filmów z lodówki? Dlaczego narobili takiego bałaganu? Czego szukali?

Po dwóch godzinach i doprowadzeniu mieszkania do jakiegoś takiego ładu Lucy wcale nie zwolniła tempa; nie zdradzała też oznak głodu ani pragnienia, które zaczynały odwracać uwagę Andre od zajęć domowych. Zatrzymał ją pośrodku pokoju, kiedy niosła stos książek, sięgający jej do brody.

- Dość, Lulu, dość. - Andre zabrał książki i położył na podłodze. - Mówiłaś coś o obiedzie, ale może za

dobrze się bawisz, więc nie chcesz przestać?

Lucy wzięła się pod boki i wyprostowała kręgosłup.

- No, na dzisiaj starczy. Masz sprzątaczkę?

- Co?

- Zdawało mi się, że nie. Jutro ci kogoś przyślę. Nie zaszkodzi wyszorować mieszkanie. I umyć okna. Czy w ogóle były kiedyś myte? I Andre? Jogurtu nie można trzymać wiecznie, nawet w lodówce. Kiedy zaczyna się jarzyć w ciemnościach, należy go wyrzucić, okay?

Andre ogarnęło nagłe uczucie - dziwne, lecz przyjemne - że część jego prywatnego życia przechodzi pod nowe kierownictwo. Podał Lucy płaszcz. Wzięła beret i rozejrzała się po pokoju.

- Nie masz tu luster, co? - Wepchnęła włosy pod beret, który naciągnęła na jedno oko, i przyłapała Andre na tym, że się do niej uśmiecha. - Tak się je nosi we Francji?

- Nie. Ale należałoby.

Lucy zabrała go do swojej miejscowej knajpki, jak nazywała ciepłą, gwarną restauracyjkę na ulicy Duane. Rum mount gay, piwo red stripe, jamajski szef kuchni i jego włoska żona. Para małżeńska figurowała w krótkim menu.

Lucy popijała swój rum.

- Przykro mi, że tak się stało.

Czegoś tu nie rozumiem. - Andre, pochylony do przodu, wpatrywał się w kieliszek. - Nie interesowali się tym, co mogliby sprzedać na ulicy w pięć minut. Tylko aparatami... aparatami i moimi kartotekami. Moją pracą. Jedynie tego chcieli. A byli to fachowcy. Nie musieli wyważać drzwi, potrafili wyłączyć alarm. - Podniósł wzrok. - Fachowcy, Lulu. Ale dlaczego ja? Przecież fotografuję domy, meble, obrazy... chyba nie mogliby sprzedać tego „Enquirerowi”. Golizna jest wyłącznie na obrazach.

Obfitych kształtów szefowa przecisnęła się między stolikami, aby przyjąć od nich zamówienie. Ucałowała czubki swych palców, kiedy Lucy zdecydowała się na wędzone kawałki kurczaka, kiwnęła głową na znak aprobaty, gdy Andre poprosił o risotto z owoców morza.

- Ja wybiorę dla państwa wino, dobrze? Smaczne jamajskie orwieto. - Z chichotem, kołysząc się w biodrach, odeszła do kuchni.

Lucy się uśmiechnęła.

- Nie bądź taki pełen dezaprobaty i francuski. Angelika wie najlepiej. A teraz trochę cofnij się w czasie i opowiedz mi o swojej podróży.

Andre starał się mówić rzeczowo, jednocześnie zaś obserwował reakcje Lucy. Jako słuchaczka odznaczała

się czymś niesłychanie miłym, bo skupiała na rozmówcy wyłączną uwagę, toteż nic dziwnego, że ledwie zauważył przybycie Angeliki z daniami i winem. Odchylili się do tyłu, aby mogła postawić talerze.

- Basta - powiedziała Angelika. - Dość romansowania. Jedzcie. Przez parę pierwszych minut zajadali w milczeniu. Lucy oderwała się od talerza i pociągnęła łyk wina.

- Masz rację - przyznała. - To bez sensu, chyba że ktoś chciał ci zaszkodzić w pracy. - Pokręciła głową. - Wiesz o kimś, kto ci zazdrości? Rozumiesz, sukcesów zawodowych?

- Nikt taki nie przychodzi mi do głowy. Ale na co im moje stare przezrocza? Tego nie można sprzedać. I dlaczego miałiby wywracać do góry nogami całe mieszkanie?

- Może czegoś szukali. Nie wiem... czegoś, co schowałeś. Zamajaczyła nad nimi Angelika.

- Jak smakuje? - Wzięła butelkę i dołała im wina. - Pan tu pierwszy raz? - zagadnęła Andre.

Potaknął z uśmiechem.

- Bardzo dobre.

- Bene. Niech pan dopilnuje, żeby zjadła. Jest za chuda. - Angelika odsunęła się do tyłu, masując brzuch pulchną dłonią. Jedli i rozmawiali, ale już nie snuli teorii na temat włamania i stopniowo przechodzili od plotek biurowych do tego, co lubią, a czego nie lubią, opowiadali o swoich nadziejach i ambicjach, dokonywali małych odkryć, jak zawsze dwoje ludzi, którzy po omacku próbują się poznać. Kawę skończyli w prawie opustoszałej restauracji, kiedy zaś wyszli na ulicę, w powietrzu panował wilgotny chłód. Lucy zadygotała, wzięła Andre pod ramię i razem poszli do skrzyżowania Duane z Zachodnim Broadwayem. Andre przywołał taksówkę; po raz pierwszy tego wieczora przez chwilę czuli niepewność, lekkie skrępowanie.

Lucy otworzyła drzwiczki.

- Obiecuj mi, że po powrocie nie będziesz robić domowych porządków.

- Dzięki za wszystko, Lulu. Obiad był przemiły. Właściwie nie żałuję, że mnie obrabowali.

Wspięła się na palce i ucałowała czubek jego nosa.

- Zmień zamki, dobra? - Po tych słowach zniknęła.

Stał zapatrzony w tylne światła taksówki, zlewające się z setkami innych świateł, dziwnie szczęśliwy jak na ofiarę niedawnego włamania.

W redakcji „KW” przy alei Madisonsa panował rozgardiasz, wszyscy byli jeszcze bardziej zapracowani niż zwykle, bo oddawali najnowszy numer do druku. Plany Kamilli zostały pokrzyżowane - kompletnie boulevenses, jak to określiła - przez artykuł o ozdobnych bidetach sławnych ludzi, którego nie zamawiała,

z wprost prześlicznymi zdjęciami autorstwa obiecującego młodego fotografika paryskiego. Porcelana sanitarna z rzadka prezentowała się tak bogato, tak rzeźbiarsko, tak była związana z współczesną, dobrze wyposażoną łazienką - a koniec zimy to dla czytelników idealny okres na zastanowienie się, czego im w tej dziedzinie potrzeba. Podczas konferencji wydawniczej wszyscy się zgodzili, że materiał jest przełomowy, pewnie nawet pierwszy w dziejach czasopiśmiennictwa. A także, czego nie omieszkała wskazać Kamilla, nosi piętno sławnych właścicieli bidetów. Na zdjęciach z przyczyn oczywistych pozostawali niewidoczni. Wyrazili jednak zgodę na wykorzystanie ich nazwisk. Tekstu tak dobrego nie sposób odrzucić.

Ale numer był już zamknięty i należało usunąć któryś z zaplanowanych felietonów. Kamilla dumnie przechadzała się po sali konferencyjnej, wzdłuż stołu, na którym leżały porozkładane makiety. Za nią jak zawsze podążała nieodłączna młodsza sekretarka z naszykowanym notesem, biegły za nią spojrzenia kierownika artystycznego, redaktorów z działu tkanin, mebli, akcesoriów oraz całej sfery ich asystentów, przypominających rząd poważnych chochlików w czerni.

Kamilla przystanęła, zagryzła dolną wargę. Nie mogła się zdobyć na wycofanie artykułu o pseudośredniowiecznej umbryjskiej ruinie księżny Pignolata-Strufoli albo o gruntownej adaptacji klasztoru żeńskiego w Dordogne na dom, której dokonał kochany miliarder szwajcarski. Opóźnienie tych publikacji mogłoby być krępujące z towarzyskiego punktu widzenia i zagrozić odwołaniem już obiecanych

zaproszeń na lato. W końcu Kamilla podjęła decyzję. Z gestem czarodziejki, która wykorzystuje słabnącą moc swej różdżki, dotknęła trzech stron makiety piórem montblanc.

- Strasznie mi ich żal - oznajmiła - lecz ikony są absolutnie ponadczasowe, a bidety jakoś kojarzą się z wiosną. Zamieścimy ikony w następnym numerze.

Zebranie zakończono wśród potakiwania i notowania, ale nie bez rytualnych dąsów i protestów dyrektora artystycznego, zmuszonego inaczej rozplanować numer. Kamilla w drodze do swojego gabinetu zastała przy telefonie bardzo strapionego Noela.

- Ach, ty biedaku, biedaku - mówił. - Skarby zrabowane przez tych okropnych ludzi. Ja zalewałbym się łzami. To fatalne. Och, właśnie weszła. Przełączę cię. - Podniósł wzrok na Kamillę. - Stała się rzecz straszna... obrabowano Andre. Chyba musi się przed kimś wyplakać.

Kamilla podeszła do własnego biurka i usiadła. Andre - sam dźwięk jego imienia wywoływał dziwne, całkiem niezwykle uczucie. Mogłaby to być wina? Tak czy inaczej, właśnie z nim Kamilla najmniej chciała rozmawiać, więc próbowała wymyślić coś wiarygodnego, co mogłoby się wydarzyć na odcinku między biurkiem jej a Noela i co pozwoliłoby nie odebrać telefonu. Aparat mrugał do niej czerwonym okiem. Podniosła słuchawkę, przygotowując się do udawania zaskoczonej i pełnej współczucia.

- Skarbie! Cóż się stało?

Kiedy Andre zaczął opowiadać, zsunęła pantofel, aby zmniejszyć ucisk i bolesne pulsowanie palca. Przyniosło jej to natychmiastową ulgę, więc podsunęło myśl, że zamiast dzielnie wpychać stopę w

najlepsze obuwie Chanel, mogłaby się zastanowić nad przywdzianiem kostiumu okaleczonej redaktorki - oczywiście spodni i tych mięciutkich aksamitnych rannych pantofli z monogramem. Może weźmie laskę z gałką z kości słoniowej. Czyż sama Coco w podeszłym wieku nie chodziła o lasce? Tak, bezwzględnie laska. Zabrała się do notowania.

- Kamillo? Jesteś tam?

- Naturalnie, skarbie. Po prostu mowę mi odjęło. Jestem całkowicie oszołomiona.

- Przeżyję. Przynajmniej nie wzięli przezroczy z ikonami. Co o nich sądzisz?

- Są wspaniałe, skarbie. Znakomite. - Kamilla odetchnęła głęboko. Andre dowie się prędzej czy później. - Ale skoro już o tym mowa, troszkę zmienił się plan, bo w ostatniej chwili nadeszły reklamy i zabrakło nam paru stron. Jest mi niewypowiedziane przykro. To oznacza konieczność usunięcia ikon z najbliższego numeru. Nie potrafię opisać mojego strapienia.

Kamilla przerwała ciszę, nabrzmiała rozczarowaniem, aby zawołać do wymyślanego służalca: - Prześnij się tam kręcić. Idę. -A potem do Andre: - Muszę lecieć, skarbie. Wkrótce się odezwę. Na razie ciao. - Odłożyła słuchawkę, nim zdążył odpowiedzieć, i zadzwoniła na młodszą sekretarkę; zapomniała już o wszelkich śladach winy, pochłonięta myślą o swych wyjściowych strojach.

Dla Andre tydzień źle się zaczął, a upływał mu jeszcze gorzej. Towarzystwa ubezpieczeniowe mają uświęcony zwyczajem sposób traktowania klientów jak kłamliwych oszustów, ilekroć więc zadzwonił, przyjaciele w biedzie wynajdywali kolejne trudności z wypłatą odszkodowania. Andre zamawiał nowy sprzęt, którego koszt sięgał tysięcy dolarów. Kamilla nie wspominała o następnych zleceniach. A chociaż Lucy rozglądała się dla niego za jakąś robotą, na razie nic z tego nie wychodziło.

W czasie między jednym a drugim telefonem starał się wpaść na trop włamywaczy. Ze sterty starych czasopism wyciągnął numer „KW” z domem Denoyera i zaczął przerzucać kartki. Ciekawość odżyła, kiedy zobaczył zdjęcie głównego salonu. Oto Cezanne nad kominkiem, rozjarzony barwami Prowansji, centralny punkt pokoju. Gdzie znajduje się teraz? Według Denoyera wisi w galerii w Cannes. Andre wpatrywał się w obraz, a równocześnie próbował sobie przypomnieć, czy widział kiedyś w Cannes galerię sztuki. Nie może ich być wiele. Łatwo byłoby sprawdzić i miałby przynajmniej z tego jakąś satysfakcję. Jeśli obraz jest tam, gdzie mówił Denoyer, całe zdarzenie ma jakiś sens i Andre może je puścić w niepamięć.

Nazajutrz wczesnym rankiem zadzwonił do przyjaciela w Paryżu. Po dwuminutowych poszukiwaniach w Minitelu, francuskiej elektronicznej książce telefonicznej, przyjaciel zdołał podać nazwiska właścicieli i numery telefonów paru galerii w Cannes. Andre dzwonił do nich kolejno, w każdej zaś, z mniejszym lub większym ubolewaniem, jacyś ludzie informowali go, że nie mają u siebie Cezanne'a i nie znają żadnego monsieur Denoyera.

Więc kłamał.

- Kłamał, Lulu. Jeśli nie kombinował, to niby dlaczego? - Andre przysiadł na brzegu biurka i patrzył, jak Lucy zajada jabłko. Kończąc żuć, szeroko otwierała oczy i kręciła głową.

- Andre, to jego obraz. Może z nim robić, co mu się podoba.

- Ale dlaczego miałby kłamać? Właściwie jestem zadowolony, że to zrobił. Nie wyszedłem na takiego kompletnego idiotę. Dzieje się coś podejrzanego.

Lucy podniosła obie ręce na znak, że się poddaje.

- Okay. Może masz rację. Ale to jego zmartwienie. My mamy własne. - Wzięła kartkę papieru z biurka. - Patrz, do tych czasopism dzwoniłam z zapytaniem, czy czegoś dla nas nie mają. Żadne nie odpowiedziało. Nawiasem mówiąc, czy rozmawiałeś z Kamillą? Czy ona coś ma?

Andre pokręcił głową.

- Wiesz, jaka jest, kiedy oddaje numer do druku: nie potrafi myśleć o czymś, co będzie po lunchu. - Bez wielkiego zainteresowania spojrzął na listę Lucy. - Ale powiedziała, że wyrzuca artykuł o ikonach. Za dużo reklam. Więc tak czy inaczej tydzień był niezły. - Miał żalostną minę psa gończego w klatce.

- Andre, wszyscy miewamy parszywe tygodnie. Słuchaj, czemu nie pójdziesz odebrać nowego sprzętu? Będzie ci potrzebny, nim zakończę starania. - Popatrzyła na niego, przekrzywiwszy głowę. - Moglibyśmy nie być aż tacy ponurzy? Proszę.

Po wyjściu z biura, na Zachodnim Broadwayu, uwagę jego przykuła boczna wystawa „Rizzolego”. Leżała na niej nowa biografia Gauguina, gruba, erudycyjna, a za schludnymi stosami książek wisiał plakat z reprodukcją „Kobiety z kwiatem”, pędzla artysty. Coś w pozie kobiety i w kącie, pod jakim ją namalowano, wydało się znajome. Mimo różnic w kolorach i technice pobrzmiewało w niej echo starszej, tęższej kobiety Cezanne'a, należącego do Denoyera.

Andre wszedł do środka i przewertował wszelkie możliwe książki o impresjonistach, aż natrafił na to, czego szukał. Na całej stronie, z krótkim podpisem: „«Kobieta z melonami». Paul Cezanne, około 1873. Ongiś własność Pierre-Auguste Renoira, obecnie w kolekcji prywatnej”. Cóż, może jest w niej nadal, pomyślał Andre. Albo w furgonetce hydraulika. Ale na pewno nie w galerii w Cannes. Zapłacił za książkę i piechotą wrócił do swojego mieszkania, szykując się na kolejną utarczkę z niewiernym Tomaszem, mężczyzną, który

ma setki wymówek, jest Nemezis poszkodowanego w towarzystwie ubezpieczeniowym.

Po zniknięciu ostatniej bladej pozołoty zachodu ze szczytów budowli śródmieście Manhattanu rozjarzyło się wieczornym blaskiem. Andre wyrzucił ostatnie rupiecie do śmieci i nalał sobie kieliszek czerwonego wina. Rozejrzał się po mieszkaniu; od czasu przeprowadzki nigdy nie było tu tak czysto i porządkie. Właśnie myślał, że dobre włamanie najskuteczniej upraszcza życie, kiedy zadzwonił telefon.

- Cóż za ulga. Jeszcze nie popełniłeś samobójstwa. - Lucy się śmiała i Andre też się uśmiechnął. - Myślałam o twoim tajemniczym obrazie. Nadal nie daje ci spokoju?

- No... tak, chyba tak. Dlaczego pytasz?

- Mam przyjaciela, który prowadzi galerię za rogiem. Wiesz, gdybyś chciał pogadać z kimś z branży. - Zawahała się. - Moglibyśmy wpaść do niego wieczorem.

- Bardzo jesteś miła, Lulu, ale już to wszystko słyszałaś. Nie znudzisz się?

- Nudno będzie później. Z Barbadosu przyjechali moi kuzynostwo i umówili mnie ze swoim przyjacielem na randkę w ciemno. To agent, kupuje komputery dla rządu, pierwszy raz jest w Nowym Jorku, a odznacza się ogromną nieśmiałością. Czy zanosi się na dobrą zabawę?

- Nigdy nic nie wiadomo, Lulu. My, ludzie nieśmiali, mamy ukryte głębie. Będę u ciebie za dziesięć minut. - Wskoczył pod prysznic, włożył czystą koszulę, wychlapał za dużo płynu po goleniu i pogwizdując wyszedł z mieszkania.

Galeria mieściła się na półpiętrze ładnego starego budynku przy ulicy Broome; jasne drewniane podłogi, sufit z cynowanej blachy, przy-gaszone światła i zadziwiająco młody właściciel.

- Ma bogatego tatusia - powiedziała Lucy na schodach - ale niech cię to nie zraża. Dawid jest miłym facetem i zna się na swojej robocie.

Dawid pomachał im z drugiego końca galerii; szczupły, blady, w ciemnym garniturze i białej trykotowej koszulce, stał za malutkim biurkiem i ramieniem przyciskał do ucha słuchawkę. Dwaj młodzi ludzie opierali płótna o gołe ściany. Dźwięki kolońskiego koncertu Keitha Jarretta kaskadą spływały z ukrytych głośników.

Dawid zakończył rozmowę, podszedł i na powitanie musnął wargami policzek Lucy, lekko ucisnął rękę Andre.

- Przepraszam za ten bałagan. - Gestem objął dużą, nieskazitelną przestrzeń. - Przygotowujemy się do nowej wystawy. - Poprowadził ich w głąb galerii, do bardziej ludzkiego, nieporządnego pomieszczenia, umeblowanego skąpo, bo stały tam tylko dwa biurowe krzesła, zdarta skórzana kanapa, komputer i faks, wciśnięte między stosy książek z zakresu sztuki.

- Lucy mówiła, że szuka pan Cezanne'a - rzekł Dawid z uśmiechem. - Ja także.

Andre powtórzył swoją opowieść, młody handlarz zaś słuchał w milczeniu, z uwagą, od czasu do czasu sięgając ręką do srebrnego kolczyka. Uniósł brwi zdziwiony, kiedy Andre opisał serię telefonów do Cannes.

- Traktuje pan to dość poważnie, prawda?

- Wiem. - Andre pokręcił głową. - I wiem, że to nie mój interes, ale chyba nie potrafię tak tego zostawić.

Dawid wessał powietrze przez zęby.

- Chętnie bym pomógł, ale takie sprawy mnie przerastają. Jestem początkującym dealerem. - Podrapał się w głowę i zmarszczył czoło; w zadumie kolejny raz dotknął palcami klawiszy. - Zastanówmy się. Potrzebny panu ktoś... ach, chwileczkę. - Okręcił się na krześle w stronę komputera. - Wiem, kto jest panu potrzebny. - Nie przestając mówić, stuknął w klawisze, aby otworzyć plik. - Jest jednym z tutejszych dealerów, przyjacielem mojego taty. Ma taki drogi dom na którejś z Sześćdziesiątych ulic wschodnich. - Przejrzał spis adresów na monitorze. - Proszę, jest. Nazywa się Pine, Cyrus Pine. - Dawid zanotował na kartce adres i numer telefonu. - Spotykałem się z nim parę razy. To znana postać, handluje impresjonistami, ma powiązania z wszystkimi wielkimi kolekcjonerami. - Dawid wstał, podsunął kartkę gościowi i spojrzął na zegarek. - Słuchajcie, muszę już iść. Jutro otwarcie nowej wystawy. Pozdróćcie Cyrusa.

Kiedy znaleźli się na ulicy, Andre wziął Lucy pod rękę i prędkim krokiem poprowadził w stronę Zachodniego Broadwayu.

- Jesteś nieoceniona, Lulu, i zasługujesz na to, co w życiu najlepsze. Zdążysz wypić kieliszek szampana?

Lucy się uśmiechnęła. Cieszyła się, że znów jest wesoło.

- Raczej nie.

- Znakomicie. Pójdziemy do „Feliksa”. Chciałbym, żeby zobaczyli twój берет.

Siedzieli przy końcu małego bufetu, a dookoła rozbrzmiewał gwar francuskich głosów. Cierpliwy, utrudzony egzystencją pies, przywiązany do krzesła w kącie obok męskiej toalety, wciągał kuchenne zapachy rozedrganym nosem. Palenie odbywało się jawnie. W taki wieczór człowiek mógł nieomal uwierzyć, że jest w Paryżu. Między innymi dlatego Andre lubił tu wstępować.

Lucy z wyrazem zakłopotania usiłowała wyłowić znajomy dźwięk z ogłuszającej wrzawy.

- Czy oni zawsze mówią tak szybko?

- Zawsze. W jednym z listów Czechow napisał cudowne zdanie: „Francuz aż do zgrzybiałości bywa podniecony”.

- Co się dzieje, kiedy już jest zgrzybiały?

- Och, dalej lata za spódniczkami. Ale powoli, żeby nie rozlewać trunków.

Przyniesiono szampana i Andre uniósł kieliszek.

- Jeszcze raz dzięki, Lulu. To zapewne strata czasu, ale naprawdę strasznie chciałbym wiedzieć, co się stało z tym obrazem.

O sto przecznic dalej na północ Rudolf Holtz i Kamilla też pili szampana. Z paru ostatnich dni byli zadowoleni. Spanikowany De-noyer przestał wydzwaniać, Cezanne bezpiecznie dotarł do Paryża. W

czasie dokładnego sprawdzania rzeczy, które wynieśli włamywacze, obyło się bez przykrych niespodzianek. Przezroczą spalono, upłynnienie sprzętu w Queens wzięt w swe lepkie, lecz wprawne ręce wuj Benny'ego.

- Tak więc nie mamy się czym martwić - stwierdził Holtz. - Gdyby Kelly mógł coś zrobić, już byśmy wiedzieli. Nawiązałby kontakt z Denoyerem.

Kamilla kręciła palcem wewnątrz aksamitnego kokonu. Choć ból ustąpił, lubiła zwracać na siebie uwagę laską i nauczyła się utykać w sposób, jej zdaniem, dość ponętny.

- Nic mi o tym nie wiadomo, ale codziennie wydzwania do biura.

- Oczywiście, że wydzwania. Szuka pracy. - Holtz strzepnął nitkę z rękawa swego smokingu. - Przez jakiś czas jednak mądrze byłoby nie mieć z nim do czynienia. Na pewno możesz znaleźć innego fotografa. - Odstawił kieliszek. - Musimy iść.

Przed domem czekała limuzyna, aby ich zawieźć o cztery przecznice dalej, na prywatny obiad, wydany w celu zebrania funduszy. Holtz wcale się nie cieszył; te charytatywne wieczory mogą człowieka zrujnować, jeśli nie będzie się miał na baczności. Poklepał się po kieszeniach, bo chciał być pewny, że zapomniał o książeczce czekowej.

Ulice górnej manhattańskiej East Side jakby potwierdzają słuszność poglądu tych, dla których miasto jest pograniczną placówką w przededniu wojny. Budynki czynszowe to garnizony, a patrolują je przez dwadzieścia cztery godziny na dobę umundurowani mężczyźni o imionach Jer-ry, Pat czy Juan. Prywatne domy są obwarowane na wypadek inwazji: drzwi o trzech zamkach, gąszcz stalowych krat, systemy alarmowe, zasłony tak grube, że mogłyby być kuloodporne - wyraźnie pokazuje się lub sygnalizuje wszelkie zabezpieczenia prócz domowych wyrzutni rakietowych i min przeciwpiechotnych. A jest to bezpieczna część miasta. Te bunkry są siedliskami bogactwa i przywilejów, mają bardzo pożądaną lokalizację, z rąk do rąk przechodzą za sumy siedmiocyfrowe.

Andre skręcił z alei Parkowej w Sześćdziesiątą Trzecią ulicę, zastanawiając się, jak by to było, gdyby trwał w wieczystym stanie oblężenia. Czy z czasem zaczyna się ten stan traktować jak rzecz oczywistą i w końcu nawet przestaje zauważać? Andre przerażała myśl o domu-więzieniu, dla niektórych ludzi natomiast była czymś normalnym. Na przykład Denoyer, czy to we Francji, czy na Wyspach Bahama, spędzał życie za barykadami. Podobnie jak Cyrus Pine, sądząc po wyglądzie jego domu.

Ten dom był dość typowy, trzypiętrowy, z piaskowca, może trochę szerszy niż większość innych i zdecydowanie dobrze utrzymany. Krótkie schody, wyszorowane i nieskazitelne, drzwi frontowe i kraty w dolnych oknach lśniące świeżą czarną farbą, mosiężny przycisk dzwonka, roziskrzony w blasku południa. Nic nie wskazywało tu na firmę handlową, ale przecież tego rodzaju interes nie opiera się na przechodniach ani na zakupach robionych pod wpływem impulsu.

Andre nacisnął dzwonek i przedstawił się przez domofon. Po upływie sześćdziesięciu sekund drzwi

otworzyła zabląkana przybyszka z Piątej alei - smukła młoda kobieta, która wyglądała tak, jakby większą część poranka i sporo ojcowskich pieniędzy straciła na zakup stroju na ten dzień. Kaszmirowy sweter, jedwabna chustka, kusa, lecz zbyt kłowna flanelowa spódnica i szalenie drogie pantofle - na wysokich obcasach, o podeszwach cieniutkich jak papier. Uśmiech; przestany Andre mógłby świadczyć, że czekała na niego przez całe życie.

- Proszę za mną - powiedziała, on zaś usłuchał z przyjemnością i korytarzem o podłodze z czarno-białych płyt został zaprowadzony do małego gabinetu.

- Pan Pine zejdzie za chwilę. Napije się pan kawy z ekspresu? Herbaty? Wina?

Andre poprosił o białe wino, nieco skrępowany okazywanymi mu względami. Przez telefon rozmawiał z Pine'em krótko; choć wymienił nazwisko młodego handlarza dziełami sztuki i magiczne słowo Cezanne, nie wdawał się w szczegóły dotyczące celu jego wizyty. Pine wziął go widocznie za potencjalnego klienta. Andre przyglądał marynarce, popatrzył na swoje buty, pozbawione blasku na tle kasztanowego, błyszczącego parkietu, i stanął na jednej nodze, aby wytrzeć zakurzony nos o tył nogawki. W tym momencie wróciła dziewczyna.

- Proszę. - Znowu się uśmiechnęła, podając mu kryształowy kieliszek, zamglony od pary. - Właśnie kończy rozmowę przez telefon. Zechce pan usiąść i czuć się swobodnie. - Zamknęła za sobą drzwi, a w powietrzu pozostawiła smugę woni.

Andre dał spokój swoim butom i rozejrzał się po pokoju. Sprawiał on wrażenie cichego kącika w wygodnym, starym klubie dla dżentelmenów - ściany wyłożone boazerią, fotele pokryte pożytko-waną, spękaną skórą, piękny, choć spłowiały wschodni dywan, dwa dobre osiemnastowieczne stoliki, lekki zapach wosku. Zaskakiwał tu brak obrazów; a właściwie czegokolwiek, co wskazywałoby na zajęcie Pine'a. Jedynymi obrazkami były dwie duże czarno-białe fotografie, zawieszane obok siebie nad małym kominkiem. Andre podszedł bliżej.

Żółty odcień zdjęć, świadczący o ich wieku, kontrastował z wyraźną młodością sfotografowanych osób. Na lewym grupą wyrostków w przepisowych czarnych marynarkach i wysokich nakrochmalonych kołnierzykach, z rękami w kieszeniach, demonstrowała przed aparatem rozmaite strojne kamizelki. Twarze pod ulizanymi włosami były okrągłe i poważne, miny niemal harde, oczy zapatrzona w przestrzeń, jakby nie dostrzegały fotografa. A poniżej podpis: Eton 1954.

Na drugim zdjęciu grupa inna, mniej oficjalna. Znow młodzi mężczyźni, tym razem w strojach tenisowych, ze swetrami zarzuconymi na ramiona, niedbale trzymający przed sobą rakiety, z wyglądu zdecydowanie staroświeckie. Młodzieńcy opaleni i weseli, uśmiechnięci do słońca. Harvard 1958. Andre przenosił wzrok z jednej fotografii na drugą, ciekaw, czy na obu odnajdzie tę samą twarz, kiedy drzwi się otworzyły.

- Ja to ten nadęty z lewego końca, z taką miną, jakby mi coś śmierdziało. Jak się pan miewa, panie Kelly? Przepraszam, że musiał pan czekać. - Odwróciwszy się, Andre zobaczył rozpromienioną twarz i wyciągniętą rękę Cyrusa Pine'a.

Pine był wysoki, lekko przygarbiony, miał bujną srebrzystą czuprynę, zaczesaną do tyłu nad szerokim czołem, i bystre brązowe oczy pod imponującymi, długimi brwiami. W szarym tweedowym garniturze, po europejsku skrojonym, w jasnoniebieskiej koszuli i jedwabnej muszce maślanego koloru sprawiał wrażenie znakomicie utrzymanego, podobnie jak jego dom. Andre na oko dał mu sześćdziesiątkę. Uścisnął jego rękę, mocną i suchą.

- Dziękuję, że zechciał się pan ze mną zobaczyć - powiedział. - Mam nadzieję, że nie straci pan czasu na próżno.

- Skądże znowu. Zawsze miło mi poznać kogoś zaprzyjaźnionego z Dawidem. To niesłychanie inteligentny młody człowiek. Jego ojciec jest moim serdecznym przyjacielem. Razem byliśmy w college'u.

Andre ruchem głowy wskazał fotografie.

- Odebrał pan interesujące wykształcenie. Pine się roześmiał.

- Moi rodzice prowadzili życie wędrowne... nigdy nie wiedzieli, po której stronie Atlantyku chcą się znajdować. - Podszedł do fotografii i pokazał jednego z tenisistów. - To ja na Harvardzie. Widzi pan, że tam nic mi już nie śmierdziało. Pewnie zostawiłem ten zapach w Eton.

Andre próbował określić, skąd pochodzi jego akcent, urocza, kulturalna krzyżówka, coś pośredniego między Bostonem a dworem Świętego Jakuba.

- Ale jest pan Anglikiem, prawda?

- Cóż, nadal mam paszport, choć od czterdziestu lat tam nie mieszkam. - Spojrzał na zegarek. - No, nie chciałbym pana popędzać, ale dużą część mojej pracy wykonuję nożem i widelcem, a niestety jestem umówiony na wczesny lunch za pół godziny. Usiądźmy.

Andre wychylił się ze swojego fotela.

- Na pewno zna pan „Kobietę z melonami” Cezanne'a. Pine potaknął.

- Nie znam tej pani bliżej, choć bardzo bym pragnął. Obraz nie pokazuje się na rynku od co najmniej siedemdziesięciu lat. - Kiedy się uśmiechnął, Andre rozpoznał w nim nagle młodego mężczyznę z fotografii. - Kupuje pan czy sprzedaje?

Andre odpowiedział uśmiechem, bo zdążył już polubić handlarza.

- Nie kupuję ani nie sprzedaję - odparł. - A chciałbym. Niech pan pozwoli, że opowiem, co się wydarzyło.

Pine siedział bez ruchu, z brodą wspartą na złożonych dłoniach, i nie przerywał Andre. Nieraz już słyszał podobne historie o obrazach, które zniknęły z obiegu, a potem nie potwierdzone pogłoski o ich pojawieniu się w Szwajcarii, Arabii Saudyjskiej, Kalifornii, Japonii. Sam parokrotnie pomagał w dyskretnych zabiegach, zmierzających do zmniejszenia podatku spadkowego. Zatrzymanie obrazów milionowej wartości kosztowało niekiedy zbyt drogo. Dzisiaj człowiek musi bardzo uważać, kiedy, gdzie i jak umiera. W miarę jak Andre mówił, Pine odczuwał przyływ zainteresowania. Podobne do tego

dziwne, błahe zdarzenia należało poważnie traktować w branży, w której - jak to ktoś kiedyś powiedział - ciemne typy handlują jasnymi kolorami.

Andre skończył i wziął swój kieliszek.

- Proszę pana, niech mi pan pozwoli zadać jedno pytanie. Ile pańskim zdaniem wart jest ten obraz? Tak na oko.

- Ach. To samo pytanie nasuwało mi się, kiedy pan mówił. Zacznijmy od rzeczy wiadomych. - Pine w zadumie pocierał szczękę. -Mniej więcej rok temu Muzeum Getty'ego zakupiło ładnego Cezanne'a - „Martwą naturę z jabłkami" - za ponad trzydzieści milionów dolarów. Taką podano cenę. No, więc gdyby „Kobieta z melonami" spełniała pewne oczywiste warunki, miała potwierdzoną autentyczność i była w dobrym stanie, według mnie mogłaby kosztować tyle samo lub więcej. Oczywiście nie szkodzi, że kiedyś należała do Renoira; i że długo nie pokazywała się na rynku. Dla kolekcjonerów jest to czasem niesłychanie atrakcyjne. Trudno określić cenę takich rzeczy. - Z figlarnym uśmiechem uniósł brwi. - Ale bardzo bym chciał to zrobić. Bądźmy jednak ostrożni i pozostajmy przy trzydziestu milionach.

- Merde - powiedział Andre.

- Rzeczywiście. - Pine wstał. - Proszę mi podać swój numer telefonu. Popytam. Moja branża to międzynarodowa wioska, zamieszкана przez plotkarzy. Ktoś na pewno będzie coś wiedział. - Jeszcze raz brwi się uniosły. - Jeśli jest co wiedzieć.

Rozległo się ciche stukanie do drzwi i stanęła w nich panna Piąta Aleja.

- Niestety, musi pan już iść.

- Dziękuję, Courtney. Wrócę o wpół do trzeciej. Dopilnuj, żeby przedtem wynieśli się wszyscy twoi wielbiciele, dobrze? - Courtney zachichotała, otwierając frontowe drzwi, a jej policzki zabarwił leciutki rumieniec.

Mężczyźni wyszli razem; na schodach Andre szeptem pogratulował Pine'owi dziewczyny. Ten zapiął marynarkę i błysnął mankietami koszuli.

- Prowadzenie interesu, w którym liczą się pozory, ma tę zaletę, że z absolutnie czystym sumieniem można zawsze angażować ładne dziewczyny. I odliczać to od podatku. Kocham ładne dziewczyny, a pan?

- Ilekroć mam okazję - odparł Andre.

Rozstali się na rogu ulicy Sześćdziesiątej Trzeciej i alei Madisona. Będąc w tej okolicy, Andre postanowił spacerkiem zajść do redakcji „KW" i zobaczyć, czy przypadkiem nie złapie Kamilli. W czasie ostatniej rozmowy zbyła go, po czym przestała odpowiadać na jego telefony. To uporczywe milczenie zaczynało go zastanawiać. Nie było w jej stylu; nie lubiła, kiedy pracował dla kogoś innego, i zazwyczaj dzwoniła często, nawet bez żadnego interesu. - Po prostu cię rozgrzewam, skarbie - wyznała któregoś razu.

Ocieplenie sprawiło, że życie uliczne na alei Madisonsa ukazało się w całej swojej różnorodności: turyści w dżinsach, butach do biegania i z zalęknionymi minami osób, którym zaraz ktoś zwędzi pieniądze; biznesmeni, porykujący do telefonów komórkowych, aby zagłuszyć zgiełk; sępy butikowe, z włosami usztywnionymi lakierem, twarzami po liftingu i wypchanymi torbami na zakupy; żebracy, łyż-worolkarze, naganiacze klienteli do salonów masażu, sprzedawcy wszystkiego, począwszy od precli, a na kradzionych roleksach po

pięćdziesiąt dolarów skończywszy - ponadto, uniemożliwiająca rozmowę, a nawet klarowne myślenie, ciągła kakofonia trąbienia i pisków, klaksonów i syren, pneumatycznego pochrząkiwania autobusów, pisku opon, wystrzałów z gaźnika, mechaniczna wrzawa wieczyście zagonionego miasta.

W szczytowej godzinie południowego exodusu Andre dotarł do budynku „KW”, z którego ludzki strumień przez hol wypływał na lunch. Andre postanowił nie wjeżdżać windą na górę, gdyż nie chciał się rozminąć ze zjeżdżającą na dół Kamillą; czekał, twarzą zwrócony do setek postaci, a one przepychały się obok niego, aby galopem wypaść za drzwi. Dlaczego w Nowym Jorku nikt nie spaceruje? Przecież wszyscy nie mogą być spóźnieni.

Rozsunęły się drzwi innej windy. Andre dostrzegł za duże ciemne okulary Kamilli i gwałtowny ruch lśniących włosów, kiedy wysiadała, otoczona lotnym klinem zespołu redakcyjnego, z młodszą sekretarką na oficjalnym stanowisku tuż za swymi plecami. Ruszył w tę stronę, bo natychmiast się zorientował, że to jedno z ruchomych zebrań Kamilli. Były one w magazynie częstym zjawiskiem, po trosze dlatego, iż w jej przekonaniu człowiek chodzący myśli prędko i nerwowo, ale głównie dlatego, że odznaczała się wrodzonym brakiem punktualności. Zebrania, o czym wiedziano, trwały dalej w samochodzie, który uwoził Kamillę na lunch lub do Bergdorfa. Składały się na przedstawienie: zapracowana wybitna redaktorka nie marnuje ani sekundy w służbie magazynu.

Znakomicie zabezpieczały też przed niepożądanymi spotkaniami z ludźmi, z którymi Kamilla - tak jak w tym przypadku - nie chciała rozmawiać. Zobaczyła Andre - musiała zobaczyć; dzieliło ich zaledwie pięć stóp, kiedy ją zawołał - i przez chwilę patrzyła mu prosto w oczy, a następnie gwałtownym ruchem odwróciła głowę. Później minęła go, bezpieczna za murem ciał. Nie zdążył zawrócić i pośpieszyć za nią, bo tuż za drzwiami wsiadła do czekającego samochodu.

Pełen niedowierzania, a równocześnie coraz większej irytacji, obserwował samochód na zatłoczonej alei Madisonsa. Współpracował z Kamillą już z górą dwa lata. Nie był jej bliskim przyjacielem i nigdy nie będzie, ale ją polubił i zawsze sądził, że z wzajemnością. Jak w-idać, nie. Już nie oddzwaniała na jego telefony, a teraz jeszcze ten rozmyślny, oczywisty afront. Ale dlaczego? Co złego zrobił?

Wahał się przed wejściem do budynku i zastanawiał, czy pojechać na górę do Noela, który zazwyczaj potrafił coś wynioskować

z sygnałów Kamilli. Przeważała jednak mieszanina dumy i złości: skoro ona zamierza go unikać, niech go diabli wezmą, jeśli będzie ją ścigał. Do licha z nią, do licha z „KW”. Jest mnóstwo innych czasopism. Idąc w stronę alei Parkowej, wstąpił do hotelu „Drakę”, aby w barze oblać małe zwycięstwo niezależności nad pilną potrzebą. Potrzeba istotnie była pilna, musiał to przyznać, kiedy podliczył na serwetce wydatki na

nowy sprzęt. Jeśli faceci od ubezpieczeń zawiodą - wszystko zaś wskazywało, że próbują zwlekać z wypłatą do początków dwudziestego pierwszego wieku - wkrótce odczuje niedostatek. Praca, oto odpowiedź. W milczeniu wychylił toast za następną pracę. Na pewno Lucy coś mu niebawem zaproponuje.

- Dobra, więc to za mało, aby żyć z oszczędności, nic lepszego się tu jednak nie trafia. - Lucy miną wyrażała zdziwienie i jakby chęć obrony. - Martwa cisza. - Zajrzała do notesu. - Próbowałam prawie wszędzie, z wyjątkiem „Gazety Hydraulika”, a prócz tego umieli mi zaproponować jedynie katalog. - Zmarszczyła nos. Niechętnie załatwiała swoim fotografom katalogi, chyba że mieli prawdziwe trudności z płaceniem alimentów i byli doprowadzeni do ostateczności. Wzruszyła ramionami. - Nigdy nic nie wiadomo. To może być zabawne.

Zlecenie było od magazynu angielskiego i honorarium angielskie, zdecydowanie niższe niż amerykańskie stawki, jakie otrzymywał An-dre. Ale Lucy miała rację. Na pewno lepiej fotografować tapiserie we wspaniałym domu niż zaharowywać się i robić zdjęcia dekoracji kilkunastu pokoi pod okiem kierownika artystycznego, który chce wszystko ukazywać w świetle reflektorów. Andre od tego zaczynał i wołał do tego nie wracać.

- Świetnie, Lulu. Jestem szczery. Nie mam w tej chwili wielkiego wyboru. Na kiedy to ma być?

Lucy zajrzała do notatek.

- Na wczoraj? Sytuacja jest krytyczna. Mieli wszystko załatwione, swojego stałego fotografa na miejscu, ale spadł z konia i złamał rękę.

Andre się skrzywił.

- Nie oczekuj, że będę jeździć konno, prawda? Co on robił na końskim grzbiecie, u licha?

- Skąd mogę wiedzieć? Ściskaj kolanami, a nic ci się nie stanie. - Twarda z siebie kobieta, Lulu. Szkoda, że nie byłaś ze mną dziś

rano. - Kiedy opisał swoje nieudane spotkanie z Kamillą, zobaczył, jak na czole Lucy pojawia się zmarszczka. - No, więc byłem tam - powiedział - stałem w holu jak connard...

- Jak co?

- Jak dureń... a ona patrzyła przeze mnie jak przez szybę. Widziała mnie jednak, wiem, że widziała.

Lucy wstała z krzesła.

- Andre, ona zachowuje się głupio. Wciąż powtarzasz, że nie jest taka zła, że ma śmieszne zagrania, ale zna się na robocie, wydaje dobre czasopismo. To może i prawda - Lucy ostrzegawczo pokiwała palcem - choć nie zmienia faktu, że ona głupio się zachowuje. Kiedy kogoś lubi, staje się namolna; kiedy nie lubi, ten ktoś nie istnieje. A z jakiegoś względu teraz nie lubi ciebie. - Lucy złożyła ręce na piersi i przekrzywiła głowę. - Na pewno wtedy we Francji nic między wami nie było?

Andre cofnął się myślą do wieczora w „Colombe d'Or" i zaprzeczył.

- Nie. Nic.

Zmarszczka na czole Lucy się wygładziła, na jej twarzy zaś pojawił się domyślny uśmiezek.

- Może o to jej chodzi.

Na użytek klientów Cyrus Pine starannie zachowywał pozory uprzejmości i niedbałego uroku, lecz w głębi duszy zawsze pragnął zwyciężyć. Chęć wygrywania leżała w jego naturze od czasów Eton, gdzie odkrył, że będąc „najlepszy" - czy to w sportach, czy w nauce - jest jakoś mniej narażony na drobne przejawy szkolnej brutalności. To w Eton nauczył się nie zdradzać ze zdolnościami, bo zbyt usilne starania uchodziły tam za bardzo niewłaściwe. Sukces, który wyglądał na dzieło przypadku lub szczęśliwy traf, dawało się zaakceptować; nikt nie akceptował sukcesu, który człowiek zawdzięczał wyraźnej determinacji i ciężkiej pracy. Przed ukończeniem Harvarda Cyrus wypracował szablon: sprawiał wrażenie szczęśliwego amatora. Przywdziewanie tej maski pomagało też w interesach, choć w rzeczywistości pracował równie ciężko jak inni i tak samo lubił ubić interes.

Transakcje w świecie sztuki - lub w Cyrusowej wyrafinowanej dziedzinie świata sztuki - niejednokrotnie zależą od wcześniejszego zdobycia informacji. Czasami po latach cierpliwego podtrzymywania dawnych kontaktów długotrwałe usługi zostaną nagrodzone.

Częściej nagradzane bywa wysłuchiwanie i sprawdzanie pogłosek i plotek, nieuchronnie krążących tam, gdzie miliony dolarów gonią za kilkuset obrazami. Cyrus Pine lubił żartować, że idealny handlarz dziełami sztuki to akrobata, z nosem w górze, uchem przy ziemi, a okiem wpatrzonym w główną szansę, istotnie też podążał każdym najślabszym nawet tropem.

Zjadł przyzwoity, nie zakropiony winem lunch z leciwą klientką, która nieodmiennie oznajmiała, że jest znudzona swoją kolekcją Pis-sarrów i Sisleyów (i z taką samą regularnością zmieniała zdanie), po czym wrócił do domu i zasiadł przy telefonie. Młody człowiek opowiedział mu być może tylko o dziwnym, błahym zdarzeniu, ale nigdy nic nie wiadomo. Popijając koniak dla zabicia smaku wody mineralnej, Cyrus zaczął przerzucać numery telefonów.

W mieszkaniu znów zapanował bałagan, jakby włamywacze wrócili po dalsze łupy. Kartony większe i mniejsze, pasy podartego plastiku z bąbelkami powietrza, styropian w całym swym zróżnicowanym bogactwie, formy, klocki, kliny, niezliczone okruchy, ulatujące w górę przy każdym najlżejszym podmuchu: podłoga stanowiła dowód amerykańskiej przesady w pakowaniu.

Przeciwnie niż na podłodze, na długim stole roboczym w końcu pokoju wszystko leżało we wzorowym porządku. Uszeregowane korpusy aparatów, obiektywy, kasety do polaroidu, filmy, filtry czekały na swoją kolej i ułożenie w wyściełanych przegródkach ciemnoniebieskich nylonowych toreb. Był to widok

podnoszący na duchu. Bez narzędzi pracy Andre czuł się bezbronny, jakby wraz ze sprzętem postradał oko i umiejętności zawodowe. Ale teraz, gdy palcami przebiegał po przyciskach i pokrętkach, gdy słuchał, jak obiektyw cicho wsuwa się do futerału, nabierał ducha i odzyskiwał pewność siebie. Może z Anglii wyskoczy na parę dni do Paryża i postara się dostać zamówienie z redakcji któregoś z czasopism francuskich. Z tydzień na południu, fotografowanie dla „Côte Sud” to idealna odtrutka na doznane ostatnio zawody. Wziął do rąk nikon. Nie był to jego stary, wysłużony, dobry przyjaciel, lecz miał przyjemną wagę i kształt dopasowany do dłoni. Andre podszedł z nim do okna, przez celownik przyjrzał się przedwieczornej mozaice półcienia i głębokiego cienia, zapalającym się powoli światłom. Pieprzyć „KW” i pieprzyć Kamillę. Poradzi sobie bez nich.

Po drugim dzwonku podniósł słuchawkę; spodziewał się usłyszeć głos Lucy i jej zwykłe przed każdą podróżą, troskliwe pytania, czy ma bilety, paszport i dużo czystych skarpetek, toteż na chwilę go zatkało, gdy rozpoznał charakterystyczne przeciąganie zgłosek.

- Drogi chłopcze, tu Cyrus. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Pewnie jesteś zajęty, ale dzwonię na wypadek, gdybyś znalazł czas na wypicie ze mną drinka. Przeprowadziłem mały wywiad. Uznałem, że to mogłoby cię zainteresować.

- Bardzo jesteś miły, Cyrus. - Andre rozejrzał się po zaśmieconej podłodze. - Jeśli chodzi o ścisłość, miałem randkę z pokojem pełnym śmieci, ale już ją odwołałem. Gdzie się spotkamy?

- Znasz „Klub Harvardzki”? Czterdziesta Czwarta, między Piątą a Szóstą, numer 27. Jest tam cicho i człowiek widzi swojego rozmówcę. Robię się za stary na barowe mroki. Powiedzmy o szóstej trzydzieści? Och, niestety będziesz musiał być w krawacie. Oni lubią krawaty.

- Stawię się.

Andre dopiero po jakimś czasie znalazł dyżurny krawat, zwinięty i włożony do bocznej kieszeni jednej z marynarek. Tyrania krawata często bywała kłopotliwa i drażniąca, a już najbardziej w horrendalnie drogim, okropnie pretensjonalnym hotelu w Dallas. Po całodziennym sesji zdjęciowej w teksaskim palazzo zawędrował do baru hotelowego trzeźwy i przyzwoicie ubrany w swój odświętny blezer, lecz nie został wpuszczony, bo na śnieżnym gorsie jego świeżo upranej koszuli nie było krawata. Kierownictwo pożyczyło mu zalany whisky kawałek jedwabiu w krzykliwy wzór - krawat barowy - i dopiero wtedy pozwoliło się napić, jakby z pariasa nagle awansował na człowieka mile widzianego w towarzystwie. Przy bufecie siedziało prócz niego dwóch hałaśliwych facetów ze sznurowadłami zawiązanymi na szyjach i kobieta obwieszona biżuterią, a poza tym od pasa w górę właściwie naga. Jeden z mężczyzn miał też na głowie duży kapelusz, przypomniał sobie Andre, element stroju, na który w wielu częściach cywilizowanego świata spoglądano by krzywym okiem. Po tym doświadczeniu Andre zawsze już podróżował z uniwersalnym krawatem w kieszeni: czarnym, z jedwabnej dzianiny, nie mnącym, nie plamiącym się i dobrym na pogrzeby. Zawiązał go i pełen oczekiwań ruszył w kierunku przystani, gdzie wielcy i dobrzy harwardczycy chodzą się odświeżyć po kontuzjach odniesionych między zwyczajami a zniżkami kursów giełdowych i w sądach korporacyjnej Ameryki.

Po oddaniu płaszcza do szatni znalazł Cyrusa Pine'a w korytarzu przed tablicą ogłoszeń, plecami w

dobrze skrojonej marynarce zwróconego do holu. Podszedł i stanął przy nim.

- Mam nadzieję, że nie zabronili wpuszczać fotografów. Pine odwrócił się z uśmiechem.

- Chciałem sprawdzić, czy któregoś z członków nie przyłapano na próbie zwabiania młodych kobiet do łaźni parowych. To były czasy. - Ruchem głowy wskazał okólnik przypięty do czerwonego filcu. - Ale się zmieniły. Teraz podczas specjalnych lunchów mówi się po japońsku. Jak się miewasz, drogi chłopcze? - Ujął Andre pod łokieć. - Do baru idzie się tędy.

Bar w „Klubie Harvardzkim” jest pozbawiony ozdóbek, taki, jakie bywały bary, nim wiszące paprocie zastąpiły dym papierosów, a ryk szaf grających i komentarze sportowe zagłuszyły ciche rozmowy. To prawda, że niedawno, ku widocznej irytacji Pine’a, wstawiono tu dwa telewizory, lecz tego właśnie wieczora były ciemne i nieme. Panował spokój; tylko przy jednym z czterech stolików siedział samotny mężczyzna, pochylony nad gazetą. Inny członek klubu sterczał przy bufecie, zatopiony w myślach. Żadne głupstwa nie utrudniały rozkoszowania się trunkiem.

Nowo przybyli zajęli miejsca w kącie, aby nie słyszeć hałaśliwego przewracania kartek „Wall Street Journal”. Pine, nie śpiesząc się, pociągnął pierwszy długi łyk scotcha, westchnął z uznaniem i usiadł na stołku. Andre wsłuchiwał się w dźwięki, spośród których najdonośniej zabrzmiał brzęk potrąconych przez barmana butelek z bourbonem i wódką.

- Mam wrażenie - rzekł przyciszonym głosem - że powinniśmy się porozumiewać za pomocą kartek lub szeptów.

- Skądże znowu - zaprotestował Pine. - Klub tętni życiem w porównaniu z tym, do którego niekiedy wstępuję w Londynie. Wiesz? Takim naprawdę starym klubem. Należał do niego Disraeli... i śmiem twierdzić, że wciąż należy. Pozwól sobie opowiedzieć historyjkę krótką i jakoby prawdziwą. - Z błyskiem rozbawienia w oczach pochylił się do przodu. - Tam w czytelni obowiązuje bardzo surowa zasada milczenia, a w fotelach z obu stron kominka tradycyjnie oddają się popołudniowym medytacjom dwaj najstarsi członkowie. No więc pewnego dnia truchcikiem wchodzi stary Carruthers i zastaje równie sędziwego Smythe'a już w fotelu, pogrążonego w głębokim śnie, z twarzą jak zawsze zasłoniętą „Financial Timesem”. Carruthers czyta swoją gazetę, ucina drzemkę, w porze picia dzinu wychodzi z czytelni. Smythe zostaje i ani drgnie. Po paru godzinach Carruthers wraca. Historia nie wspomina dlaczego - pewnie zostawił protezę pod poduszką. Tak czy owak, Smythe siedzi w dokładnie tej samej pozycji co poprzednio. W ogóle się nie poruszył. Dziwne, myśli Carruthers i klepie Smythe'a po ramieniu. Nic. Trzęsie nim. Nic. Podnosi

gazetę, widzi nieruchomo zapatrzona oczy, szeroko otwarte usta i kojarzy jedno z drugim. „Mój Boże! - mówi. - Jeden z członków nie żyje! Wezwać lekarza!” Dolatuje surowy głos innego członka, który drzemie w mrokach gdzieś w głębi pokoju: „Cisza, gaduło!”

Pine, trzęsąc się ze śmiechu i kiwając głową, obserwował rozbawionego Andre.

- Widzisz? W porównaniu z tym u nas panuje harmider. - Znow pociągnął łyk, po czym otarł wargi. - A teraz do rzeczy. Powiedz mi coś. Czy, będąc ostatnio u tego Denoyera, odniosłeś wrażenie, iż zamierza

sprzedać Cezanne'a? Błysnęła mu łezka w oku, kiedy oglądał fotografie? Wymknęła się jakaś nieopatrna uwaga? Szybko zadzwonił do Christie'go? Coś w tym rodzaju?

Andre cofnął się myślą do nieudanego wieczora w Cooper Cay.

- Nie. Jak mówiłem, zastanowił mnie tylko u niego brak zdziwienia. Albo jeśli się zdziwił, to nie pokazał tego po sobie.

- Nie uderza cię jego powściągliwość? - Krzaczaste brwi unosiły się i opadały. - Bez obrazy dla Francuzów, nie słyną oni z umiejętności ukrywania uczuć. Są impulsywni, owszem. Często dramatyczni. Z rzadka tajemniczy. To po części istota ich uroku.

- Można by to raczej nazwać opanowaniem - odrzekł Andre. - Zapewne jako człowiek obcy wyczuwałem, że zawsze odpowiada na pytanie albo na coś reaguje dopiero po chwili, po jednej, dwóch sekundach. Myślał, zanim udzielił odpowiedzi.

- Mój Boże - zauważył Pine - to niezwykle. Do czego doszedłby ten świat, gdyby wszyscy byli tacy? Na szczęście nie mają tego zwyczaju liczni przedstawiciele mojej branży. - Podniósł wzrok na barmana i zataczając palcem kółko, zasygnalizował, że chce whisky. - Po południu zadzwoniłem w parę miejsc i muszę przyznać, że niekoniecznie mówiłem prawdę. Twierdziłem, że występuję w imieniu poważnego zbieracza... oczywiście nazwiska nie podawałem z uwagi na moją prowizję... zainteresowanego Cezanne'em, klienta nieposzlakowanej uczciwości, z dużymi sumami do dyspozycji, płatnymi wszędzie na świecie. Opowiadałem te same głupstwa co zwykle. Ach, dziękuję, Tom. - Pine urwał i pociągnął scotcha. - A oto rzecz interesująca. Zazwyczaj, kiedy się tak wymachuje robakiem w wodzie, ryba nie bierze natychmiast. Ale nie tym razem.

Pine urwał, przekrzywił głowę i przez parę sekund w milczeniu wpatrywał się w zasłuchanego Andre. Uspokoił się chyba na jego widok.

- Będę z tobą całkiem szczerzy. Jeśli ma dojść do transakcji, chciałbym w niej uczestniczyć. Przybywa mi lat, a coś takiego nie trafia się codziennie. Skoro jednak z tym do mnie przyszedłeś, słuszne i właściwe jest, abyś dostał swoją część. - W czasie kolejnej przerwy dwaj mężczyźni przypatrywali się sobie nawzajem.

Andre nie wiedział, co powiedzieć, więc zajął się winem, a równocześnie próbował zebrać myśli. Od początku nawet nie pomyślał o pieniądzach; pragnął jedynie zaspokoić ciekawość.

- Naprawdę sądzisz, że się na nią zanosi? Na transakcję?

- Kto wie? Jutro mógłbym znaleźć trzech kupców, gdyby obraz był na sprzedaż... i gdyby Denoyer mnie ją zlecił.

- Uważasz, że jest na sprzedaż?

Pine się roześmiał, co wywołało zmarszczkę na czole członka, nabożnie wpatrzonego w swoją szklankę martini.

- Robisz uniki, drogi chłopcze. Tego nie będziemy wiedzieć na pewno, dopóki nie odrobimy zadanej lekcji.

-My?

- Czemu nie? Ja znam się na handlu dziełami sztuki, ty znasz De-noyera. Odnoszę wrażenie, że jesteś młodzieńcem prawym, podobnie jak ja absolutnym wcieleniem uczciwości, choć sam to o sobie mówię. W tej sprawie co dwie głowy, to nie jedna. W sumie wydaje się to rozsądną podstawą współpracy. Napij się jeszcze wina. - Pine, nie spuszczać wzroku z twarzy Andre, palcem znowu zataczał kółko. -No? Spółka? Mogłoby być zabawnie.

Andre nie potrafił się oprzeć Pine'owi i nie umiał na poczekaniu wymyślić powodu do odmowy.

- Nie robiłbym tego dla pieniędzy - uprzedził. - One nie są ważne.

Pine zareagował ściągnięciem brwi - tak gwałtownym, że niemal się ze sobą zderzyły.

- Nie bądź śmieszny. Pieniądze zawsze są ważne. Pieniądze to wolność. - Brwi powróciły do swego normalnego położenia, a uśmiech złagodził twarz Pine'a. - Ale jeśli dzięki temu będziesz się czuł lepiej, możesz to robić w szlachetnym celu.

- Jakim?

- Zapewnienia mi spokojnej starości.

Andre popatrzył na srebrzyste włosy, roziskrzone oczy, wesołą, lekko przekrzywioną muszkę. Mogłoby być zabawnie, powiedział Pine, i Andre czuł, że zapewne będzie.

- Dobrze. Zrobię, co będę mógł - obiecał. - Ale jak wiesz, muszę również pracować.

- Doskonale. Ogromnie się cieszę. Znajdziemy czas i na pracę, nic się nie martw. A teraz posłuchaj, czego dowiedziałem się dziś po południu. - Pine zaczekał, aż barman postawi przed Andre kieliszek i odpłynie z powrotem do swoich butelek.

- Nie powinniśmy zanadto się podniecać - podjął Pine - bo to nawet nie jest dojrzała plotka; raczej błysk w oku niż cokolwiek innego. Ale jak mówiłem, reakcja nastąpiła błyskawicznie, w parę godzin po zarzuceniu przeze mnie przynęty. Pewna droga staruszka z Metropolitan... stawiam jej lunch dwa, trzy razy do roku... która ma uszy najdłuższe w tym mieście, musiała widocznie podsłuchać czyjąś rozmowę albo do góry nogami przeczytać leżącą na cudzym biurku notatkę i widzi cień możliwości, że w ciągu najbliższych dwóch, trzech miesięcy na rynku pojawi się ważny Cezanne. Nic pewnego, naturalnie, i żadnych szczegółów. - Pine dla podkreślenia tego, co mówi, pochylił się do przodu. - Tylko ten jeden: obraz jest własnością prywatną, nie ma żadnego związku z muzeami i od dawna nigdzie nie był wystawiany. Co nam pasuje, prawda?

Andre instynktownie też się nachylił i przyłapał się na tym, że spogląda do tyłu.

- Przecież mogą być inne. Chodzi mi o to, że Cezanne był płodnym artystą.

- Na pewno. Zaczął od namalowania ze sześćdziesięciu obrazów Mont Sainte-Victoire i właściwie umarł z pędzlem w ręku. Ale byłby to zbyt wielki zbieg okoliczności. - Pine popatrzył na pusty kieliszek i szklanę, później na zegarek. - Możesz zostać na obiedzie? Znośne wino, dobre, zdrowe jedzenie. Chyba że już się z kimś umówiłeś?

- Cyrus, usnąłbyś, gdybym ci opowiedział, jak w tej chwili wygląda moje życie towarzyskie. Ostatnio spędzam czas wyłącznie z dziewczynami, które mi każą zapinać pasy.

- Naprawdę? Powinieneś zakręcić się koło Courtney. Smakowity kąsek, ale nie ma szczęścia do młodych ludzi. Poznałem paru... w wieku dwudziestu pięciu lat już starzy duchem i zachwyceni sobą. Niewiarygodnie nudni. - Pine podpisał kwitek barowy i wstał.

- Szelki i prążkowane koszule?

- I rękę, że bielizna pod kolor. Chodźmy do jadalni.

Przeszli do dwupoziomowej sali, zdolnej pomieścić trzystu najwybitniejszych harvardczyków i małą armię służących. Wystrojem

przypominała ni to salę w magnackiej rezydencji, ni domek myśliwski, a liczne z wypchanych czy oprawionych trofeów, wyjaśnił Pine, pochodziły z polowań Teddy'ego Roosevelta - łby słoni i bizonów, rogi i kły, olbrzymi stelaż z porożami łosi. Ludzkie trofea przybrały postać portretów ludzi majątnych i godnych.

- Albo prezydenci klubu, albo prezydenci USA - wyjaśnił Pine, kiedy przechodzili przez główną salę. Nad nimi, na szerokiej galerii, też były stoliki i Andre zauważył przy nich kilka kobiet, nieco zaskakujących w tak męskim otoczeniu. - Nasz klub jako ostatni z klubów uniwersyteckich dopuścił je, bodaj w roku 73. I dobrze zrobił. Są miłą odmianą po tej zwierzynie na ścianach.

Pine pozdrowił znajomego przy pobliskim stoliku - wysokiego, eleganckiego mężczyznę z wyraźnie podkreślonymi wąsami.

- To Chapman, błyskotliwy prawnik, gra na klawirze. Jego towarzysz, ten z gęstą czupryną, jest dyrektorem hollywoodzkiego studia. Ledwie go poznałem, bo zdjął ciemne okulary. Podejrzewam ich o złe zamysły. No więc co weźmiesz?

Andre wybrał ślimaki i siekanego łososia z listy prostych, bezpretensjonalnych dań i patrzył, jak Pine wypisuje zamówienie na formularzu. Po raz pierwszy miał okazję jeść obiad w amerykańskim klubie uniwersyteckim, który wydał mu się staromodny i niesłychanie kojący. Nie krążył tutaj żaden bezrobotny aktor i nie recytował jednym tchem specjalności polecanych na ten dzień, co w wielu nowojorskich restauracjach wydaje się obowiązkowe. Kelnerzy w czerwonych marynarkach, jeśli w ogóle się odzywali, to szeptem. Byli zręczni i dyskretni. Dobrze wyszkoleni. Andre pożałował, że nie jest harvardczykiem, bo mógłby się tu chronić, ilekroć zgiełk Manhattanu stałby się nie do zniesienia.

Kiedy stępli ostrze apetytu pierwszym daniem, Pine podjął rozmowę w tym punkcie, w którym ją

przerwał przy barze.

- Najpierw - rzekł - albo tak mi się zdaje, należy stwierdzić, gdzie jest obraz. Jak sądzisz?

- Cóż, wiemy, że nie tam, gdzie mówił Denoyer, nie w galerii w Cannes. Chyba mógł zostać wysłany gdzieś do oczyszczenia.

- To najmniej prawdopodobne - odparł Pine. - Nie jest aż taki stary, a dama i jej melony wyglądały bardzo zdrowo na twoim zdjęciu dla „KW”. Zgaduj dalej.

- Wysłany do oprawy? Nie miał ramy, kiedy go wkładali do furgonetki. Przewieziony do paryskiego domu Denoyera? Wsadzony do

skarbcza w banku? Bóg raczy wiedzieć. Równie dobrze mógł już wrócić do Cap Ferrat.

- Istotnie. - Pine kiwnął głową. - Mógł wrócić. Albo nie wrócić. To wszystko, co na razie wiemy, i moim zdaniem musimy tam pojechać. O ile pamiętam, o tej porze roku jest tam bardzo przyjemnie.

- Pojechać do Cap Ferrat? Mówisz serio?

- A gdzież by indziej, drogi chłopcze? Jeżeli obrazu nie ma tam, gdzie być powinien, może wpadliśmy na trop. A jeśli jest tam, gdzie być powinien, pojedziemy do Beaulieu i utopimy troski w „La Rese-rve”. Nie byłem tam dwadzieścia lat. - Pine przypominał ucznia pod koniec semestru w szkole. - Mówiłem ci, że byłoby zabawnie.

Andre nie mógł i bynajmniej nie chciał kwestionować logiki tego twierdzenia. Zabawnie byłoby wybrać się w podróż z tym sympatycznym starym szelmą; zresztą jutro i tak odlatuje do Europy. Ustalili więc, że spotkają się w Nicei, kiedy Andre wykona zlecenie w angielskiej rezydencji. Przez resztę wieczora, na który składało się picie niezapomnianego, bardzo starego koniaku, obmyślali sposób dostania się do domu w Cap Ferrat, tak aby francuska policja nie zechciała się do nich przyłączyć.

Heathrow rankiem w pierwszych dniach wiosny. Drobny deszczyk wytrwale siąpiący z nawisłego szarego nieba; fryz niedospanych twarzy wokół pasa, oczy obserwujące pełzanie cudzych bagaży; zapowiedzi niezrozumiałe, bo zniekształcone przez urządzenia szyfrujące, które wmontowuje się na lotniskach w system nagłośnieniowy; opóźnienia; brak połączeń; napady niepokoju - początek kolejnego dnia, poświęconego rozkoszom podróżowania.

Andre czuł się dziwnie świeżo, bo zdołał nie pić i przespać sześć godzin. Jeśli na drogach nie będzie zbyt wielkiego ruchu, może uda mu się dotrzeć do Wiltshire przed lunchem, fotografować po południu i następnego dnia rano, wrócić na Heathrow i zdążyć na wieczorny samolot do Nicei. Ośmielony tą wesołą myślą, popełnił błąd, bo uśmiechnął się do celnika w przejściu z zielonym oznakowaniem. A ten oczywiście go zatrzymał.

- Zechce pan to otworzyć, sir.

Celnik popatrzył na sprzęt, porządnie ułożony w torbie, i uniósł brew.

- Jesteśmy fotografem-amatorem, co, sir?

- Zawodowcem. Robię zdjęcia do czasopism.

- Rozumiem. - Głos matowy, pełen niedowierzania. - Od jak dawna?

- Od paru lat.

- Ale nie posługiwał się pan tym sprzętem.

- Nie. - Dlaczego czuje się winny? - Moje rzeczy skradziono. Kupiłem to wszystko tydzień temu w Nowym Jorku.

Chłodny uśmiezek i zezwolenie na przejście.

Andre przysiągł sobie, że już nigdy nie nawiąże kontaktu wzrokowego z celnikami, po czym ruszył na zachód wynajętym foldem w strumieniu wozów, które wyglądały jak zabawki w porównaniu

z potworami na szosach amerykańskich. Zastanawiał się, ilu przemytników wpada na cle i z czym. Z paczuszkami czystej heroiny? Rzeczami zagrażającymi bezpieczeństwu publicznemu? Czy też, co bardziej prawdopodobne, z niedozwoloną dodatkową butelką wolnoctwowej brandy i szmuglowanym laptopem? Jak przemycałoby się coś większego, na przykład obraz? Zwiększył prędkość do osiemdziesiątki, bo chciał szybko uporać się z pracą i wyruszyć na spotkanie z Cyrusem Pine'em.

Mżawka zamieniła się w rzęsy, siekący deszcz, kiedy zostawił za sobą przedmieścia i wjechał na teren Wiltshire, pokryty łagodnymi zielonymi pagórkami i porządnymi poletkami. Jakim pięknym krajem byłaby Anglia, gdyby ktoś zakręcił kurek z wodą. Andre patrzył przez wycieraczki, miarowo omiatające szybę, i szukał bocznej drogi do wsi, gdzie miał zapytać o dojazd do ostatecznego celu podróży.

O mało nie przegapił Nether Trollope, tak małą była ulicówką. Trochę chat z belkowaniem, ponurych, ociekających deszczem, mała poczta, sklep ogólny i pub.

Pub „Lamprey Arms” przyciągał uwagę przejezdnego wypełzłym szyldem, na którym minóg, stworzenie podobne do robaka - w pozycji stojącej i z wyszczerzonymi zębiskami - wił się nad złuszczoną, nieczytelną łacińską dewizą. Do wejścia dodatkowo zachęcała wywieszona pod szyldem zapowiedź wyżerki w pubie. Andre zajechał na parking i ruszył po żwirze tak nasiąkniętym wodą, że odciski jego stóp natychmiast zamieniały się w kałuże.

Jeśli w pubie w ogóle prowadzono rozmowę, to się urwała, ledwie pchnął i otworzył drzwi, a kilku bywalców zwróciło się w jego stronę. Milcząco powitała go też silna woń piwa i zwietrzałego tytoniu, zmieszana z zapaszkiem wilgotnej odzieży. Węgle z sykiem walczyły na ruszcie o to, aby nie zgasnąć, wszelkie ciepło z kominka zaś pochłaniał wielki, szacowny czarny pies myśliwski, któremu szary pysk drgał we śnie. Za bufetem tęga ciemnowłosa kobieta płonęła niewiarygodnym blaskiem, osiągniętym przez zbyt grubo zrobiony makijaż.

- Dzień dobry, kochany - powiedziała. - Ładny mamy dzień. Co podać?

Andre zamówił piwo. Szmer głosów rozległ się znowu, cichy, tajemniczy, jakby ogrodnictwo i piłka nożna były tematami zakazanymi.

- Masz, kochany. - Barmanka postawiła przed Andre piwo.

- Tylko przejazdem, co? - Popatrzyła na niego ciekawie, oczami jasnymi na tle sadzawek granatowego cienia.

- Może pani potrafiłaby mi pomóc - powiedział Andre. - Szukam Throttle Hall.

- Jedzie pan do jego lordowskiej mości, prawda? - Zaciągnęła się papierosem, też kosmetycznie upiękaszonym smugą szminki na filtrze. - To tylko pięć minut tą drogą. Duża żelazna brama z takim szkaradzieństwem na wierzchu. Nie sposób przeoczyć.

- Szkaradzieństwem?

- Nazywa się minóg, prawda? Taki jak ten na szyldzie. Rodzaj węgorza z zębami, ciarki przechodzą mnie z obrzydzenia, ale cóż? Wolałabym ładnego psa i kaczkę, może dąb, ale pub należy do lorda Lampreya, zatem musi być minóg, od jego nazwiska, musimy się na to godzić z uśmiechem.

- To stworzenie historyczne, Rito - włączył się jeden z gości. - Pochodzi z dawnych czasów. Należy do tradycji.

- Wszystko mi jedno. - Rita zapaliła nowego papierosa od peta.

- Ciarki mnie przechodzą - powtórzyła. - Przez te zęby.

Andre zdjął łokieć z plamy piwa na bufecie.

- Czy lord Lamprey często tu przychodzi? Rita prychnęła.

- Nie tak często, żeby go człowiek zauważył. Ale przychodzi Dafne. Jego córka. - Parę razy kiwnęła głową i mrugnęła okiem. - W sobotę wieczór. - Spod spuszczonej powiek przestała mu znaczące spojrzenie. - Dafne lubi się zabawić. O tak.

Andre nie skorzystał z ukrytej w tych słowach zachęty i nie spytał, co właściwie Dafne robi w sobotnie wieczory.

- A lady Lamprey? Często ją widujecie?

Rita porzuciła swoje stanowisko za pompami do piwa i przysunęła się bliżej.

- Lady L. - odrzekła głosem ledwie donośniejszym od szeptu - zwiata, no nie? Uciekła z akwizytorem z Salisbury. - Więcej szminki zostało na papierosie. - Był od niej grubo młodszy. Ale wie pan, co opowiadają?

Andre nie wiedział i chyba nie chciał wiedzieć. Przeszkodził Ricie w wyjawianiu dalszych szczegółów, bo zamówił coś, co na tablicy reklamowano jako lunch oracza. Okazało się, że jest to kawał chleba, zawinięta w folię grudka świeżego masła, plaster sera i dwie duże, za

mocno umarynowane cebule. Na papierowej serwetce widniała podobizna tłuściocha w kucharskiej czapce, wymachującego transparentem „Obfity posiłek”. Andre przykrył serwetką cebule, aby przytłumić ich kwaskowaty zapach. Żał mu się zrobiło oraczy.

Pół godziny później, z lunchem bezlitośnie zalegającym w żołądku, wysiadł z samochodu i otworzył bramę, za którą szeroki zwirowany podjazd wił się przez park wśród kęp wspaniałych starych kasztanów i dębów. Wjechał za ogrodzenie, po czym wrócił i zamknął bramę. Stadko przemoczonych owiec obejrzało się na niego. Jedna z nich zabeczła, a ten cienki, żałosny głos ledwie się przebił przez bębnienie deszczu o żwir. Andre zadygotał, po czym ruszył podjazdem.

Przewodnik Pringle'a po wielkich domach angielskich nazywa Throttle Hall „imponującym szesnastowiecznym dworem z późniejszymi dodatkami”, w ten życzliwy sposób upiększając architektoniczne okaleczenia, dokonywane w ciągu czterystu lat. Poprzedni lordowie Lampreyowie, ilekroć dysponowali gotówką, pozwalali sobie na dodawanie skrzydeł, oficyn, przypór - niekiedy na krótko - krenelaży, frontonów i gotyckich ozdób, aż całkowicie zakryli elż-bietańską symetrię pierwotnego budynku. Teraz, u progu trzeciego tysiąclecia, Throttle Hall był obszernym, koszarowym budynkiem niezwyklej szpetoty. Andre parkował i wysiadał z uczuciem wdzięczności, że zlecenie nie obejmuje fasady.

Jedynym efektem pierwszego pociągnięcia za dzwonek, wiszący obok nabijanych ćwiekami dwuskrzydłowych drzwi, był zgrzyt żelaza o kamień. Andre szarpnął mocniej i w nagrodę usłyszał dalekie szczekanie, które szybko się przybliżyło i w którym wyczuł większe podniecenie. Dobiegło go drapanie łapami o wewnętrzną stronę drzwi, potem przekleństwo, wreszcie chrobot nie naoliwionego zamka. Odstąpił na bok, kiedy drzwi się otwały, a na dwór wytoczyła się gromadka chudych, rudawych psów; skomlały i wierciły się w ekscytacji, podskakując przygważdżały go do ściany.

- Pan pewnie jest fotografem.

Andre odepchnął jednego psa od swojej pachwiny, kiedy zaś podniósł wzrok, ujrzał niemłodego jegomościa w długim fartuchu nałożonym na czarne spodnie i kamizelkę, z chudymi, cętkowanymi ramionami, widocznymi spod zawiniętych rękawów koszuli, i w brudnych, białych, bawełnianych rękawiczkach. Twarz, pod przyklepionymi do czaszki kosmykami włosów, była wąska i blada,

z jedynym barwnym akcentem w postaci siatki popękanych żyłek na policzkach.

Andre potaknął.

- Zgadza się. Lord Lamprey?

- Ogląda wyścigi. - Kustosz pociągnął nosem i wykonał gwałtowny ruch głową. - Proszę tędy. - Pod eskortą rozbieganych psów poprowadził Andre w mroki wnętrza, robiąc krótkie, ostrożne kroki,

wychylony do przodu, jakby podłogę pokrywał lód. Po kamiennej posadzce przeszli przez ciemną salę, na oczach dawno zmarłych Lampreyów w ich splekanych złożonych ramach, i dalej wyłożonym boazerią korytarzem. Panował tu chłód, większy niż na dworze, ten szczególnie wilgotny angielski chłód, który podnosi się z ziemi i przenika ciało, za sobą zaś zostawia odmrożenia, reumatyzm i bronchit. Andre na próżno szukał wzrokiem grzejników.

Już w pobliżu otwartych drzwi przy końcu korytarza usłyszał szybkobieżny trajkot komentatora telewizyjnego, przerywany bardziej tubalnym, bardziej patrycjuszowskim rykiem.

- Batem go, ty cholerny durniu. Batem go! - A potem jęk rozczarowania.

Zatrzymali się w drzwiach. Staruch kaszlnął głośno.

- Fotograf, wasza lordowska mość.

- Co? Ach, fotograf. - Lord Lamprey nie przestawał wpatrywać się w telewizor, podczas gdy konie cwałem wracały na okólnik. -No, idź po niego, Spink. Przyrowadź go tutaj.

Spink wzniósł oczy.

- Jest tutaj, wasza lordowska mość Lord Lamprey rozejrzał się dokoła.

- Mój Boże, naprawdę. - Odstawił szklankę na boczny stolik i dźwignął się z fotela, wysoki, tęgi, o zniszczonej, niegdyś przystojnej twarzy i czerstwej cerze człowieka dużo przebywającego na świeżym powietrzu. Andre widział zdarte zamszowe buty i brązowe sztruksowe spodnie pod długim tweedowym płaszczem, którego nastawiony kołnierz miał bronić przed ukąszeniami chłodu.

- Lamprey. Jak się pan miewa? - W dotyku ręka wyciągnięta do Andre przypominała płat mrożonej skóry.

- Kelly. - Andre ruchem głowy wskazał telewizor. - Nie chcę przeszkadzać w...

- Jest pół godziny do następnej gonitwy... aż nadto czasu na filiżankę herbaty. Spink, co z filiżanką herbaty?

Spink mruknął pod adresem Andre:

- Najpierw mi każe czyścić srebro. Teraz chce herbaty. Mam tylko jedną parę cholernych rąk, prawda? - A potem: - Darjeeling czy chińska, wasza lordowska mość?

- Chyba darjeeling. Zabierzemy ją do długiej galerii, żeby pan Kelly mógł zerknąć na tapiserie.

Lamprey poprowadził gościa korytarzem. Mijali kolejne duże pokoje, z meblami w pokrowcach, nim przystanęli u stóp szerokich dębowych schodów. Zatrzymał się na pierwszym stopniu i poklepał rzeźbioną poręcz.

- Elżbietańska - powiedział. - To miejsce trochę przypomina magazyn, jak może pan zauważyć. Moi przodkowie byli srokami, zawsze z czymś wracali do domu - z posągami, obrazami, nieodpowiednimi

żonami. - Weszli na górę i Lamprey ręką wskazał tapiserie. - Z nimi oczywiście też.

Galeria ciągnęła się po obu stronach klatki schodowej, miała ze sześćdziesiąt stóp długości i obwieszona była tapiseriami, na prętach lub oprawionymi w profilowane ramy.

- Większość z nich to gobeliny - rzekł Lamprey. - Dość wspaniałe, nie uważa pan?

Andre zgodził się szeptem, idąc wolno i patrząc na piękne, przygaszone kolory, zaprzątnięty myślą o trudnościach technicznych, jakie nastroczało fotografowanie w wąskiej, źle oświetlonej galerii. Mimo zmian wprowadzanych w Throttle Hall na przestrzeni wieków, urządzenia elektryczne pozostały te same co w początkach dwudziestego wieku, jedno gniazdko przypadało na ścianę. Z oświetleniem będą kłopoty.

Spink podał herbatę, ciemnobrązową, starannie zaparzoną. Nie zdradzał najmniejszej chęci powrotu do sreber, lecz stał z założonymi rękami i cmokał. Andre ogrzewał dłonie zaciśnięte na filiżance, a kiedy odwrócił się od tapiserii, przytąpał lorda Lampreya na tym, że patrzy na zegarek.

- Są wspaniałe - stwierdził Andre. - Od jak dawna stanowią własność rodziny?

- Zostały przywiezione z Francji w osiemnastym wieku. - Lamprey podszedł i przeciągnął po jednej palcami. - Naturalnie teraz są bezcenne.

Spink podsuwał się bokiem, dopóki Andre nie znalazł się w zasięgu jego zaprawionego dżinem szeptu.

- Zwędzone. Zwędzone wszystkie, co do sztuki. Nigdy nie zapłacono za nie ani pensa. - Wierzchem dłoni otarł z czubka nosa kropelkę wilgoci i prychnął. - Można mówić o rozboju w biały dzień.

- Cóż - rzekł Lamprey - nie powinienem się tu kręcić i wchodzić panu w paradę.

- Nie powinienem opuścić startu o wpół do trzeciej - wymamrotał Spink.

Po irytującej godzinie, która upłynęła na regulowaniu oświetlenia, wymienianiu przepalonych korków i walce z dziwacznymi przewodami, które dawno już osiągnęły wiek emerytalny, Andre mógł się zabrać do robienia zdjęć. Od czasu do czasu Spink pojawiał się u stóp schodów i ze ściągniętymi wargami spoglądał w górę, po czym wracał do pomieszczeń dla służby, by na osłode pociągnąć dżinu. Lord Lamprey nie dawał znaku życia. Przed siódmą, kiedy Spink poprosił o przebranie się do obiadu, Andre stwierdził z satysfakcją, że odwalił więcej niż połowę roboty; jeśli instalacja elektryczna wytrzyma, jeszcze trzy godziny rano i będzie gotowy.

Noc miał spędzić w czymś, co Spink nazywał Pokojem Niebieskim, a ta stosowna nazwa pasowała nie tylko do zastan, lecz także do koloru, jaki skóra gości przybierała pod wpływem temperatury. W oczekiwaniu, aż niechętna strużka gorącej wody pokryje dno wanny, Andre zwiedzał swoją sypialnię. Zanosilo się, że w umeblowanym dobrymi, choć obdartymi antykami pokoju czekają go przykre nocne niewygody. Sprężyny dużego łóżka dały za wygraną i pośrodku utworzyły zakłębienie. Lampka rzucała szczątkowy blask na jeden z nocnych stolików. Na drugim stała szklanka do zębów i do połowy opróżniona karafka whisky, która niewątpliwie miała spowodować odrętwienie, rekompensujące brak

ciepła. Był grzejnik gazowy, lecz badania wykazały brak gazu. Andre wykąpał się po kawałku w letniej wodzie, głębokiej na trzy cale, włożył możliwie najcieplejsze ubranie i zszedł na dół.

W Throttle Hall porę koktajlową obchodzono w jednym z mniejszych saloników, w mrocznej pieczarze ozdobionej, podobnie jak „Klub Harvardzki”, przez zapalonego wypychacza zwierząt. W jej głębi lord Lamprey stał, plecami zwrócony do płonących na kominku kłoców, z marynarką podciągniętą do góry, aby nie utrudniać dostępu ciepłego powietrza do szlachetnego zadu. W kącie Spink udawał zajętego przy stoliku z trunkami, podnosił szklanki do światła i przecierał je rękawem. Kiedy Andre przechodził przez pokój, psy podbiegły do niego w powitalnym paroksyzmie.

- Niech je pan kopnie, jeśli przeszkadzają - rzekł lord Lamprey. - Setery irlandzkie to wspaniali ludzie, ale nie przestrzegają form towarzyskich. - Fitz! Fitz! Leżeć!

Psy nie zwracały na niego uwagi.

- Który to Fitz? - zapytał Andre.

- Wszystkie. Leżeć, do cholery! Nigdy nie potrafiłem ich rozróżnić, więc łatwiej było im nadać jedno imię. Co pan pije?

Wyglądało na to, że Spink już zdecydował. Podetknął kubek na srebrnej tacy pod nos Andre.

- Whisky. - Słowo to wypowiedział kącikiem ust, swoim poufnym szeptem. - Nie miałbym zaufania do sherry, a dżin się skończył.

Andre z radością zobaczył, że nie ma lodu. Przepchał się między psami do stojącego przy kominku gospodarza.

- Mam nadzieję, że dobrze się pstryka - odezwał się Lamprey. - Słyszał pan chyba o tym ostatnim facecie, co? Obawiam się, że moja córka sprowadziła go na manowce i spadł z konia.

- Doszły mnie takie słuchy.

- Kłopot polega na tym, że według Dafne każdy potrafi jeździć tak jak ona, ale ona to robi od trzeciego roku życia. Jeździ jak mężczyzna. Znakomicie trzyma się w siodle.

W milczeniu dzielili się ogniem i po raz pierwszy od swego przyjazdu Andre zaczął odczuwać ciepło. Nie miało to trwać długo. Spink podszedł do nich z miną człowieka przytłoczonego brzemieniem poważnych problemów organizacyjnych, stukając po drodze w zegarek.

- Kucharka powiedziała: siódma trzydzieści albo się zepsuje. Lamprey westchnął.

- Gdzie jest Dafne? Przeklęte kobiety. Dlaczego zawsze się spóźniają? Co, Spink?

Spink złośliwie łypnął okiem.

- Śmiem twierdzić, wasza lordowska mość, że się elegantuje.

- Będziemy musieli pójść bez niej. Nie należy denerwować kucharki. - Lamprey opróżnił swoją szklanę, wręczył ją Spinkowi i odsunął psa, leżącego mu na stopach. Poprowadził Andre do drzwi i dalej korytarzem, a po drodze utyskiwał na lekceważenie przez córkę czasu - nie kazałaby czekać swoim cholernym koniom, dom traktuje jak hotel, wszyscy młodzi są dziś tacy sami, punktualność należy

do przeszłości. Nadal rozwijał ten najwyraźniej ulubiony temat, kiedy weszli do stołowego.

Tu także wisiały portrety, tym razem kobiet z rodu Lampreyów. Niektóre, ze swymi spiczastymi twarzami i szklistymi oczami, zdradzały duże rodzinne podobieństwo do olbrzymiego borsuka, którego łeb na drewnianym kartuszu szczyrzył zęby nad kominkiem. Długi dębowy stół pod ciężkim żyrandolem nakryto na trzy osoby i Andre niemal oczekiwał, że małe żarówki w kształcie świeczek zaczną topnieć w powiewach silnego wiatru, wciskającego się przez szpary w oknach, oprawionych w ołów.

Lord Lamprey zasiadł na szczycie stołu, energicznie potrząsnął srebrnym dzwoneczkiem, następnie sięgnął po butelkę wina. Spojrzał na nalepkę i chrząknął.

- Mamy szczęście. To latour '69. Myślałem, że Spink wypił wszystko. - Nalał sobie trochę wina i powąchał je. - Świetne. Lubi pan wina, Kelly?

- Oczywiście.

- Szkoda. - Lamprey nalał Andre pół kieliszka.

- Czy Spink jest u pana od dawna?

- Od trzydziestu lat, może dłużej. Zaczął pomagać pod pokładem, jako pomywacz. - Lamprey smakował swoje wino. - Zabawny stary dziwak, ale już do siebie przywykliśmy i nieźle prowadzi dom. Właściwie dosyć go lubię. Wie pan, jak to jest ze służbą.

Od konieczności udzielenia odpowiedzi uchroniło Andre równoczesne pojawienie się dwóch osób: jednymi drzwiami wszedł Spink z wazą zupy, wlokąc za sobą nogi, drugimi, z żołnierskim tupotem butów, rośła młoda kobieta, córka tego domu, w bryczesach, golfie i grubej puchowej kamizelce z rodzaju tych, które tak lubią mieszkanki wsi angielskiej.

- Przepraszam za spóźnienie, tato. Percy dostała kolki. - Głos dziewczyny, donośny i lekko stłumiony, rozbrzmiał echem w pokoju; w orkiestrze ludzkich głosów jej był trąbką.

Odwróciła się, aby popatrzeć na Andre, kiedy wstawał. Lord Lamprey oderwał wzrok od zupy.

- Panie Kelly, to moja córka Dafne.

Spink, który stał obok Andre z wazą w rękach, wyszeptał: - Szlachetnie urodzona Dafne - a nacisk, położony na pierwsze dwa słowa, zmusił Andre do zastanowienia się, czy ma złożyć głęboki ukłon, czy przyklęknąć na jedno kolano. Ona wpatrywała się w niego tak

uporczywie, że wzbudziło to jego niepokój. Oczy miała bardzo szeroko otwarte i bardzo niebieskie na tle rumianej twarzy, brązowe włosy ściągnięte do tyłu i przewiązane czarną wstążką, na czole lekki ślad po

zdjętej niedawno dżokejce. Za piętnaście lat przypuszczalnie zgrubieje, od ciągłego przebywania na wietrze i deszczu skóra jej nabierze szorstkości. Ale teraz, tuż po dwudziestce, Dafne promieniowała zdrowiem dobrze wytrenowanego zwierzęcia w znakomitej formie.

Lord Lamprey machnięciem łyżki wskazał mały gumowy ochraniacz, podskakujący na powierzchni jego zupy.

- Spink, co to, u diabła, takiego?

Spink pośpieszył na pomoc i chochłą wyciągnął ochraniacz.

- Ach, szukała go kucharka. Musiał jej się zsunąć z oparzonego palca. - Zręcznym ruchem umieścił ochraniacz w swojej chustce do nosa. - Bardzo będzie zadowolona. To był jej ostatni.

Andre pochylił głowę nad zupą, wypatrując innych zagubionych przedmiotów w gęstej brązowej cieczy. Z pewnym zaskoczeniem stwierdził, że jest smaczna - mocno przyprawiona sherry, ciepła, krzepiąca. Z uczuciem, że ktoś go obserwuje, podniósł wzrok i zobaczył wpatrzoną w niego Dafne.

- Jeździ pan konno? - spytała.

- Niestety nie. No, zrobiłem to raz - powiedział. - Dawno temu rodzice zabrali mnie nad morze w Arcachon, niedaleko od Bordeaux. Trzymano tam osły na plaży. Chyba przez jakieś dziesięć minut zdołałem usiedzieć na grzbiecie. - Uśmiechnął się do niej. - Ale to był bardzo spokojny stary osiołek.

Na wzmiankę o Francji lord Lamprey oderwał się od zupy i wygłosił wykład o złym charakterze Francuzów - ich strasznej interesowności, bucie i samozadowoleniu, ich snobizmie, zaabsorbowaniu jedzeniem. Żaby, na litość boską, i ślimaki. A teraz kurs tego cholernego franka jest tak przesadnie wysoki, że człowiek nie może tam pojechać. Tę wyświechtaną opinię niejednokrotnie już głosili angielscy znajomi Andre. Zdawali się żywić głęboką niechęć do swoich sąsiadów, jakby los lepiej potraktował Francuzów. Mimo to miliony Anglików co roku przeprawiały się przez Kanał, aby po powrocie opowiadać okropne historie o filizance kawy, która kosztowała pięć funtów, i o legendarnym grubiaństwie paryskich kelnerów.

Andre czekał, aż lordowi Lampreyowi wyczerpie się zapas goryczy.

- Rzecz zabawna - powiedział - że Francuzi mówią mniej więcej to samo o Anglikach... oczywiście pominiawszy jedzenie. Nie chciałbym powtarzać ich uwag o jedzeniu. Ale buta, snobizm - zwłaszcza snobizm - usłyszysz pan zupełnie to samo po drugiej stronie Kanału. Chyba lubimy irytować się nawzajem. - Uśmiechnął się do Dafne. - Właściwie sam jestem na pół Francuzem - dodał - i muszę stwierdzić, że nie jesteśmy tacy najgorsi.

Dafne parsknęła.

- Francuzi mają bardzo zdrowe podejście do koni - oznajmiła. - Nie powinien pan traktować taty zbyt poważnie. Nie cierpi wszystkich. Żeby pan posłuchał, co mówi o Niemcach. Albo o Anglikach, jeśli już o to chodzi. Niech go pan wciągnie w rozmowę o politykach - wystarczy rzucić nazwisko Blair - a przesiedzimy

tu całą noc.

- Jedno da się powiedzieć o Francuzach. - Lamprey napełnił swój kieliszek i z wyraźnym ociąganiem, zazdrośnie pochylił butelkę nad dwoma pozostałymi kieliszkami. - Robią bardzo przyzwoite wino. - Uśmiechnął się do Andre i wznosił toast: - Za pański wspañały kraj. - A półgłosem dodał: - Chciałbym, żeby był naszym krajem.

W trakcie tej wymiany zdań Spink zebrał talerze i teraz zjawił się z głównym daniem, zwęglonym kadłubem w morzu pieczonych kartofli i brukselki. Po wypróbowaniu ostrza kciukiem podał Lampreyowi nóż i widelec o kościanych trzonkach.

- Nie masz to jak ptak żyjący na swobodzie - z tymi słowy Lamprey wstał, aby zrobić pierwsze nacięcie. Przypuścił gwałtowny atak widelcem, lecz zbroja poczerniałej skóry oparła się zębom, a kurczak ześliznął się z półmiska i zjechał na środek stołu, rozrzucając po drodze kapustę i kartofle. Lamprey niespokojnie podążał za nim wzrokiem.

- Mój Boże, to draństwo jeszcze żyje, Spink!

- Może trochę za prędko wykonaliśmy pierwszy ruch, wasza lordowska mość. - Spink wziął ptaka przez serwetkę i z powrotem ułożył na półmisku. - Czy mógłbym zaproponować mniej gwałtowne posługiwanie się widelcem? A potem po rogach nożem. - Zaczął zbierać zbiegłe jarzyny, jednocześnie zaś spod oka obserwował Lam-preya.

- Rogach? Jakich rogach? To cholerny kurczak.

- Stary zwrot, używany w walkach byków, wasza lordowska mość.

Lamprey chrząknął, zdołał nadziąć kurczaka na widelec i zaczął piłować go nożem.

Spink uśmiechnął się z afektacją.

- Ole, wasza lordowska mość.

Andre nie potrafił rozstrzygnąć, co jest twardsze, brukselka czy ptak, lecz tamci zajadali z bezkrytycznym wiejskim apetytem i widocznym zadowoleniem, brali sobie dokładki. Kiedy na półmisku pozostała tylko oczyszczona z mięsa klatka piersiowa, Lamprey ogłosił rozejm. Po wyniesieniu szkieletu jego miejsce zajęła karafka porto i resztki dużego stiltona.

Rozmowa toczyła się leniwie, Dafne i jej ojciec dyskutowali o koniach, niedawnym biegu terenowym i widokach na przyszłoroczne polowanie na bażanty. Całkowicie pochłonięci własnym światem, nie zdradzali żadnego zainteresowania gościem ani jego pracą, co pod koniec długiego dnia bardzo mu odpowiadało. Po filiżance letniej kawy w salonie lord Lamprey oznajmił, że zamierza obejrzeć najświeższe katastrofy, jak nazywał wiadomości o godzinie dziesiątej. Andre skorzystał z okazji, przeprosił i poszedł na górę.

Usiadł na brzegu łóżka, z odrobiną whisky w ręce, odwlekając chwilę zrzucenia odzieży i wślizgnięcia się

między prześcieradła, które w dotyku bardziej przypominały lodowate szkło niż bawełnę. Alkohol przegrywał bitwę z temperaturą i rozebranie się urosło do rangi czynu niebezpiecznego dla zdrowia. Andre próbował się zdecydować, czy postąpi po męsku, czy też rozbierze się w łóżku, kiedy usłyszał energiczne stukanie do drzwi. W nadziei, że ujrzy Spinka z nagrzaną cegłą czy termoforem, poszedł otworzyć.

Zobaczył szlachetnie urodzoną Dafne.

- Masz ochotę na galop?

- Co? - zdziwił się Andre. - Po ciemku?

- Możemy zostawić światło, jeśli wolisz. - Położyła mu stanowczą rękę na piersi, pchnęła go do tyłu i zatrzasnęła za sobą drzwi nogą w bucie do konnej jazdy.

W przeciwieństwie do poprzedniego dnia nie padało, ciepłe tchnienie wiosny unosiło się w powietrzu, a blask popołudniowego słońca sprawiał, że nawet paskudna fasada Throttle Hall robiła nieco mniej przykre wrażenie. Andre, po wypełnieniu swej misji i pożegnaniu domowników, załadował ostatnie torby i zamknął bagażnik. Spink czytał na frontowych schodach, stronił od wszelkich prac, dopóki nie nadeszła stosowna chwila, aby się rzucić na ofiarę i upomnieć

o napiwek. Andre przeszedł na przód samochodu, Spink jednak w zadziwiającym tempie prześcignął go o głowę i otworzył drzwiczki po stronie kierowcy z pełnym szacunku uśmiechem. Wziął w łapę dwudziestofuntowy banknot, wręczony mu przez Andre, lecz najpierw zerknął na nominał, aby sprawdzić, jaka należy się wdzięczność.

- Bardzo pan łaskawy, sir, bardzo łaskawy. - Z pieniędzmi bezpiecznie wepchniętymi do kieszeni uznał, że może sobie pozwolić na zaspokojenie ciekawości. - Dobrze się spało, sir? Było dość ciepło? Skorzystał pan z wygód, mam nadzieję. - Twarz wykrzywiło mu coś, co uważał za subtelne mrugnięcie.

Andre musiał się uśmiechnąć do starego gargulca. Zapiął pas

i uruchomił silnik.

- W życiu nie spało mi się lepiej, Spink. Dziękuję.

Spink zdawał się mówić do siebie: wiedziałem. Poznałem po tym, jak na niego patrzyła przy obiedzie, oceniała go. Szelmutka. Wdała się w matkę. Spojrzał na zegarek, najwyraźniej niepewny, czy zdąży pójść do wsi i kupić u Rity butelkę dżinu, zanim lord Lamprey wychynie po popołudniowej sjeście, której zwykł zażywać w dni, kiedy w telewizji nie pokazywali wyścigów.

W drodze powrotnej na lotnisko Andre kiwał głową, wspominając całonocny uderzeniowy aerobik ze szlachetnie urodzoną Dafne.

Po wstępnym powitaniu ograniczyła swe uwagi do technicznych wskazówek i żądań zwiększonego

wysiłku podczas skoków. W przerwach na odpoczynek między jedną rundą a drugą popijała whisky, stojąc na nocnym stoliku, i drzemała, a podejmowane przez niego próby nawiązania konwersacji całkowicie ignorowała. Było jasne, że on ma tu raczej wyświadczać usługi niż prowadzić zdawkową rozmowę, więc je wyświadczał, jak umiał najlepiej. O brzasku zostawiła go z twarzą w poduszce, wyczerpanego, na pożegnanie zaś walnęła w pośladki i zauważyła, że miewała gorszych.

Na Heathrow Andre przekazał wysłannikowi angielskiego czasopisma rolki ze zdjęciami tapiserii, po czym klapnął w hali odlotów. Bolały go mięśnie, o których istnieniu zdążył zapomnieć; po jeszcze jednej takiej nocy potrzebowałby kul i fizjoterapeuty. Sięgając po słuchawkę, aby zadzwonić do Lucy, zobaczył, że drżą mu ręce.

- Andre! Gdzie jesteś?

- Na Heathrow. Czekam na samolot do Nicei. Z redakcji przystali kogoś po film, więc możesz w dowolnej chwili wystawić rachunek. - Ziewnął. - Przepraszam. Przez parę ostatnich dni byłem taki zagoniony.

- Jak było?

- Zimno. Wilgotno. Przedziwnie. Kucharka, lokaj, portrety przodków, podłoga zastana psami, setki akrów falistych pól i brak ogrzewania. Lord Lamprey narzeka, że nie można już nająć chłopców, którzy wleżą na dach i oczyszczą kominy. Nie wiedziałem, że ludzie jeszcze tak

żyją-

Chichot Lucy doleciał z odległości trzech tysięcy mil.

- To wygląda na miejsce w sam raz dla ciebie. Miałeś czas na konne przejażdżki?

- Lulu, nie miałem dla siebie ani minuty. Słowo daję. - Co jest absolutnie zgodne z prawdą, pomyślał Andre. - A jak wam leci?

- Dobrze. Jeszcze mały ruch, ale Stephen wrócił z Florydy, więc teraz wychodzę z biura na lunch.

- Zarezerwuj jeden dla mnie, zgoda? Dziś wieczór spotykam się z Cyrusem Pine'em, ale powinniśmy wrócić za parę dni. Zabiorę cię do „Royaltona”, gdzie będziemy mogli pomachać Kamilli.

- Znakomicie - odparła Lucy. - Wezmę ze sobą broń.

Andre usłyszał zniekształcony skrzek, wzywający pasażerów jego samolotu.

- Zadzwonię z Nicei, Lulu.

- No, w takim miejscu powinno się jeść lunch. Szczęśliwej podróży.

Andre ulokował się w tylnej części samolotu. Zasnął przed startem, a jego ostatnia świadoma myśl krążyła wokół Lucy; widział, jak siedzi naprzeciw niego w restauracji pod gołym niebem, z widokiem na Morze Śródziemne. Kiedy stewardesa przyszła go obudzić tuż przed lądowaniem, na jego twarzy

dostrzegła uśmiech.

Tak jak zaproponował Cyrus Pine, zatrzymali się w „Beau Rivage”, małym, przyjemnym hoteliku za Promenadę des Anglais, niedaleko od opery. Mieszkają tu przejezdne diwy, powiedział Cyrus, a on ma słabość do nich i specjalny sentyment, jak twierdził, do posągowych biustów. Przyleciał nocą do Paryża, stamtąd zaś do Nicei, gdzie zameldował się parę godzin wcześniej niż Andre i zostawił dla niego wiadomość w recepcji: „Wyszedłem na rybę z frytkami. Spotkamy się w barze o dziesiątej”.

Andre przestawił zegarek na czas francuski i zobaczył, że zostało mu jeszcze pół godziny. Rozpakował się, wszedł pod prysznic, sprawdził, czy nie ma na ciele śladów i siniaków, doznał ulgi w obfitym strumieniu gorącej wody. Przysięgł sobie nigdy więcej nie ob-mawiać francuskich instalacji wodno-kanalizacyjnych i w barze po raz pierwszy tego dnia poczuł się człowiekiem.

Pine zjawił się tuż po dziesiątej, elegancki i nieco teatralny w garniturze w drobną kratkę i śliwkowej muszce; przepęniał go, w każdym znaczeniu tego słowa, zjedzony przed chwilą posiłek.

- Zapomniałem, jak cudownie gotują we Francji - powiedział. - Na pewno zalatuję czosnkiem. Jadłeś kiedyś ravioli z homarem?

Andre przypomniał sobie swój ostatni posiłek, lunch na wynos z kuchni w Throttle Hall.

- Myślałem, że poszedłeś na rybę z frytkami.

- Miałem mnóstwo dobrych zamiarów, ale ta ładna dziewczyna za ladą poleciła mi knajpkę o nazwie „L'Esquinade”, blisko portu, i uległem pokusie. Niestety to mój stary zwyczaj. - Pine przerwał, aby poprosić barmana o koniak. - Tak czy owak, ucieszy cię wiadomość, że droga jest wolna. Zadzwońtem zgodnie z naszymi ustaleniami i okazało się, że Denoyer wciąż przebywa na Wyspach Bahama. Rozmawiałem z nim. Sprawiał dość miłe wrażenie.

- Co powiedziałaś?

- Że jestem wiceprezesem międzynarodowej obsługi klientów w AT&T i chcę mu przesłać platynową kartę, uprawniającą do siedemdziesięciopięcioprocentowej zniżki na wszystkie telefony międzymiastowe. - Pine uśmiechnął się do swego kieliszka. - Był zachwycony. Bogacze za niczym tak nie przepadają, jak za oszczędzaniem pieniędzy. Prosił mnie o przesłanie karty do Cap Ferrat - przyjeżdża na przyszły tydzień. Więc jutro będziemy tylko my i dozorca. Andre z uśmiechem uchylił wymagowanego kapelusza.

- Przywiozłeś próbki?

- Dziesiątki, chłopcze. Jesteśmy przygotowani.

Nazajutrz o dziewiątej rano jechali samochodem pod słońce, drogą prowadzącą wzdłuż wybrzeża na Cap Ferrat. Na tę okazję Pine zmienił strój i zamiast garnituru włożył blezer i marynarskie spodnie

łososiowego koloru, a zwyczajową muszkę zastąpił jedwabnym krawatem w turecki wzorek.

- Jak sądzisz? - zwrócił się do Andre. - Mógłbym ujść za dekoratora? Może trochę przesadziłem ze spodniami. Są pamiątką weekendu na Fire Island.

- Prawdę powiedziawszy, Cyrus, jedynym dekoratorem, jakiego w życiu poznałem, była kobieta - wielki, muskularny babsztyl, szalenie zadowolony z siebie. Pamiętam, że robiła poduszki. Parę z nich chyba naprawdę nosiła, kiedy ją poznałem. - Andre zjechał z szosy nr 98, na wąską drogę do Cap. - Nic się nie martw. Strój masz wyśmienity. Wielkim błędem jest chodzić tutaj w ubraniu od Armanie-go. Jeśli ktoś to robi, wszyscy biorą go za szofera.

- Odrobiłem trochę lekcji w samolocie - rzekł Cyrus. - Przeczytałem książkę o Riwierze. Król Belgii Leopold miał dom w Cap Ferrat i zwyczaj pływania z brodą upchaną do gumowej koperty. Fascynujące. Jesteśmy już prawie na miejscu?

- Będziemy za dwie minuty - odparł Andre. Przewidywał, że będzie zdenerwowany. Miał przecież pod fałszywymi pozorami wkręcić się do cudzego domu. Ale jego wesoły towarzysz chyba dobrze się bawił - tak zarażał pewnością siebie - że Andre ogarnął nastrój raczej wyczekiwania i optymizmu. Na pewno zdołają się dostać do środka. A tam w najgorszym razie stwierdzą, że Cezanne jednak wisi na swoim miejscu. Rozczarowanie, później dobry lunch. Ze wzruszeniem ramion zwrócił się do Cyrusa i zaczął zwalniać.

- To tu, za tym zakrętem. Czy musimy się zatrzymać i zrobić jeszcze jedną próbę?

- Skądże - odpowiedział Cyrus. - W moim przekonaniu znamy

zasadniczy wątek. Spontaniczność to tchnienie życia, drogi chłopcze. Wprowadź nas tylko, resztę mnie zostaw.

- Pamiętaj, że Claude zapewne trochę zna angielski.

- Będę szalenie dyskretny.

- Nie w tych spodniach - uśmiechnął się Andre. Zatrzymał samochód przed żelazną bramą i nacisnął dzwonek.

W domofonie rozległ się głos, blaszany i szorstki:

- Oui?

- Bonjour, Claude. Tu Andre Kelly... pamięta pan. Fotograf. Pan Denoyer prosił, żebym wprowadził do domu przyjaciela. Popracuje w salonie.

- Attends. - Coś pstryknęło i brama powoli się otworzyła. Andre zwrócił się do Cyrusa olśniony nagłą myślą.

- Nie powinniśmy używać twojego prawdziwego nazwiska.

- Masz absolutną rację, drogi chłopcze. - Cyrus poprawił krawat. - Może Paisley? Frederick Paisley* - dodał. - Trzeci. Stara rodzina z Palm Beach. Szkoccy przodkowie.

- Niech cię znanadto nie ponosi. - Andre zdjął nogę z hamulca i pozwolił, aby samochód wolno potoczył się podjazdem. Ogrodnicy najwyraźniej szykowali się na powrót Denoyera. Skosili trawniki, przycięli cyprysy i palmy, zasadzili kwiaty na rabatach. Pył wodny z niewidocznego systemu zraszania tęczowo lśnił w słońcu, za domem migotało roziskrzone w oddali Morze Śródziemne.

- Denoyer nieźle się urządził - powiedział Cyrus. - Sam chętnie spędziłbym tu lato. Czy to wiernego służę widzę na progę?

- Tak, jego. - Andre podjechał, a zanim wysiedli, na ich spotkanie wyszedł Claude, krępy, w bawełnianych spodniach i starej koszulce polo, z twarzą już opaloną, z błyskiem złota w uśmiechu. Uścisnął wyciągniętą rękę Andre i pokiwał głową.

- Dobrze się pan miewa, monsieur Kelly?

- Za dużo pracuję, Claude. Wciąż w podróży. Szkoda, że nie mogę więcej czasu spędzać tutaj. A pan?

- Uff. Robię się coraz starszy. - Claude zwrócił oczy na Cyrusa, który stał z boku, a w rękach trzymał książki z próbkami tkanin, plik kartek z próbkami kolorów i notatnik.

- Claude, to jest monsieur Paisley z Nowego Jorku. - Dwaj mężczyźni kiwnęli sobie głowami. - Będzie zmieniać wystrój salonu,

* Gra słów, bo jego krawat ma wzorek „paisley”.

więc musi dobrać kolory i wszystko wymierzyć, zanim coś zaproponuje Denoyerom.

- Ah, borP. - Na sympatycznej twarzy Claude'a odmalowało się zaskoczenie. - Nic mi o tym nie mówili.

- Nie? Dziwne. - Andre przez chwilę udawał, że się zastanawia, po czym wzruszył ramionami. - No, to łatwe. Czemu nie mielibyśmy do nich zadzwonić? - Odwrócił się do Cyrusa i powtórzył to, co powiedział, tym razem po angielsku.

Cyrus podchwycił jego słowa.

- Uważasz, że powinniśmy? - Żonglował tym, co miał w rękach, żeby móc spojrzeć na zegarek. - Tam jest trzecia rano, a wiesz, jak Bernard lubi sobie pospać.

Andre wyjaśnił Claude'owi, na czym polega trudność.

- A niestety - dodał - monsieur Paisley ma po południu spotkanie w Paryżu. Tylko teraz dysponuje czasem.

Zapadło milczenie. Andre próbował nie wstrzymywać tchu. Clau-de się zastanawiał, szukał natchnienia we własnym zegarku, na koniec wzruszył ramionami.

- C'est pas grave - powiedział. Podniósł niewidzialną słuchawkę i przyłożył ją do ucha. - Porozmawiam z monsieur Denoyerem później. - Kiwnął głową. Znaleźli się w środku.

Claude poprowadził ich przez wyłożony płytami hol i otworzył dwuskrzydłowe drzwi salonu. W długim, wysokim pokoju panował mrok, więc musieli czekać, aż Claude rozsunie ciężkie zasłony i powoli, z namysłem otworzy okiennice. Kiedy światło słoneczne wlało się przez okna, udręczony tym brakiem pośpiechu Andre zobaczył ozdobne kinkiety, ściany o spłowiałej brzoskwińowej barwie, wyszukane, porządnie ustawione meble, dywan z Aubusson, książki i bibeloty na niskich stolikach. Było tu dokładnie tak, jak na jego fotografiach. Dokładnie.

- Ależ to bajeczne. - Cyrus wszedł do pokoju, położył swoje próbki materiałów i kolorów na kanapie, po czym szeroko rozpostarł ramiona. - Proporcje są nieziemskie, światło znakomite, a niektóre meble rzeczywiście całkiem wyjątkowe. - Wziął się pod boki i stał, stukając nogą o marmurową podłogę. - Wiesz, nie przepadam za kinkietami, a im mniej się powie na temat tych zasłon, tym lepiej. Widzę jednak możliwości. Widzę ogromne możliwości.

Andre prawie go nie słyszał. Oklapł, stracił cały optymizm. Wpatrywał się w obraz nad kominkiem, a „Kobieta z melonami” Cezanne'a odwzajemniała spojrzenie z tego właśnie miejsca, gdzie powinna wisieć. Nawet rama, zauważył ponuro, jest ta sama co przedtem. Wszystko okazało się stratą czasu.

Claude, ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, zajął miejsce przy drzwiach. Nie ulegało wątpliwości, że postanowił z nimi zostać. Andre starał się nie okazać rozczarowania.

- Mogę w czymś pomóc? Cyrus podał mu bloczek i pióro.

- Czy zechciałbyś notować, kiedy ja będę biegał po pokoju? Dzięki. - Głosem nie zdradzał niczego. Jeżeli odczuwał zawód, bardzo przekonująco to ukrywał. - No, więc według mnie - rzekł - punktem centralnym salonu jest Cezanne, absolutnie znakomity. Toteż nic nie powinno się z nim kłócić, prawda? Kolory, wykończenie, tkaniny... wszystko musi współgrać z obrazem. Cezanne wie najlepiej. Zatem od niego zaczniemy. Chodź.

Z pękiem próbek podszedł do kominka; bacznie wpatrywał się w obraz, czasami podnosząc do niego kawałek materiału, a następnie głośno podawał numer, który Andre skrupulatnie notował. To samo powtarzało się z kolorami farb, potem drugi i trzeci raz, kiedy Cyrus, jakby zahipnotyzowany widokiem obrazu, wpadał na kolejny pomysł. Trwało to dwie godziny. W tle majaczył milczący, znudzony Claude, Andre zaś podupadał na duchu po każdej bezsensownej notatce.

Tuż przed południem Cyrus pomierzył to i owo i obrzucił obraz ostatnim długim spojrzeniem.

- Chyba dosyć się napatrzyłem - powiedział. - Czy na pewno wszystko zapisałeś? - Nie czekając na odpowiedź Andre, podszedł do Claude'a i energicznie potrząsnął jego ręką. - Desole, że tak długo musiał pan czekać, mój drogi. To z pańskiej strony szalona uprzejmość. Bardzo dziękuję. Merci, merci. Vive la France.

Claude zwrócił błędny wzrok na Andre, który dorzucił swoje podziękowania w drodze do samochodu. Za

bramę wyjechali bez słowa. Kiedy domu nie było już widać, Andre zatrzymał się na poboczu.

- Nie wiem, co powiedzieć, Cyrus. Nie wiem, jak mogłeś wypłatać takie brednie. - Kręcąc głową, patrzył przez okno. - Przepraszam, byłeś wspaniały, a to tylko pogarsza sprawę.

- Ty nie mógłbyś tego wiedzieć, drogi chłopcze. Ale obraz to falsyfikat.

-Co?

- Znakomity, doskonały falsyfikat. Jestem o tym przekonany.

- Cyrus z rozbawieniem patrzył na Andre, którego usta prawie od ucha do ucha rozciągnęły się w uśmiechu. - No, nie siedź tak. Jazda.

- Dokąd?

- Na lunch, drogi chłopcze. Na lunch.

Trudno o lepszą scenerię lunchu w promieniach słońca niż taras „Voile d'Or", z mnóstwem pelargonii, zawieszony wysoko nad portem Saint-Jean-Cap-Ferrat. Cyrus nucił z zadowoleniem, kiedy sadzano ich przy stoliku, w cieniu starej oliwki. Zamówili butelkę różowego wina i Andre nie zakłócał mu spokoju podczas studiowania karty. W końcu ciekawość wzięła górę.

- Skąd wiesz, że to falsyfikat?

- Mhm? Pieczone krewetki brzmią dość dobrze, nie uważasz?

- Daj spokój, Cyrus. Skąd wiesz?

- Cóż - odparł starszy mężczyzna - moim zdaniem to w dużej mierze rezultat bardzo uważnego przyglądania się całymi latami rzeczom prawdziwym, a odkąd prowadzę interes, przez moje ręce przeszło parę Cezanne'ów. Z czasem oko się wyrabia. Czy byłeś w zeszłym roku na wystawie Cezanne'a w Filadelfii? Ja przez dwa dni patrzyłem i patrzyłem. Absolutne cuda. Ach, dobry człowiek.

Kelner wyciągnął korek, mrucząc coś o cerze młodej dziewczyny, kiedy nalewał im do kieliszków delikatnego, przydymionego rosę. Przyjął zamówienie, skinął głową na znak aprobaty i powędrował do kuchni.

Cyrus podniósł swój kieliszek do słońca, zanim skosztował wina.

- Nie masz to jak Francja, co? No, więc na czym skończyłem?

- Na Filadelfii.

- Istotnie. Chodziło mi o to, że oko musi przywyknąć do sposobu, w jaki maluje artysta, do tego, jak posługuje się kolorem, światłem, perspektywą, do jego chwytów kompozycyjnych, do techniki malarskiej, która może być pośpieszna lub powolna - jest niekiedy tak wyraźna jak sygnatura. Niewątpliwie to samo odnosi się do was, do fotografów. To znaczy, można dostrzec różnicę między

prawdziwym Avedonem a naśladownictwem. - Uśmiechnął się. - Albo prawdziwym Kellym, jeśli już o to idzie.

- Nie jest aż taki dobry, Cyrus.

- Ale mnie rozumiesz. Nie ma recepty na wykrywanie fałszerstw. To twoje oko, doświadczenie, instynkt... albo głos wewnętrzny, jak się to czasem nazywa. Można przeprowadzić badania, aby ustalić

wiek płótna i farby, blejtramu i gwoździ, nawet na nich jednak nie można w stu procentach polegać. Weźmy na przykład płótno czy drewno. Wszędzie są tysiące starych, nijakich obrazów. Fachowy fałszerz może kupić taki za parę dolarów - oczywiście z odpowiedniego okresu - i użyć do swoich celów. Im nowszy obraz, tym łatwiej

o materiały z tego samego stulecia, a Cezanne zmarł zaledwie dziewięćdziesiąt lat temu. - Cyrus wypił trochę wina. - Pomyśleć, że fałszerz bez wątplenia dostał o wiele więcej, niż Cezanne'owi kiedykolwiek zapłacono za oryginał! Podły jest ten świat.

Nadszedł kelner, gotów wyrecytować. „Les crevettes pour mon-sieur, et le Saint-Pierre avec la sauce gaspacho. Voild. Bon appetit, messieurs”.

Andre musiał się wstrzymać z dalszymi pytaniami, bo uwagę ich obu zaprzętnęło jedzenie. Na tarasie oprócz nich siedziało kilka par, a na podstawie tego, jaki wybrały stolik, można było określić, skąd pochodzą: miejscowi woleli cień, mieszkańcy północy pełne słońce, jako rekompensatę za długą, szarą zimę. W porcie poniżej panował spokój, rzędy jachtów i łódek stały puste, ich właściciele harowali w dalekich biurach, aby zarobić na opłacenie cumowiska. W lipcu

i sierpniu ci dwutygodniowi żeglarze zjadą tutaj i spędzą wakacje, przyciśnięci kadłubem do kadłuba, wśród tysięcy takich jak oni. Ale dzisiaj łodzie należą do mew.

Andre wytarł chlebem resztki sosu i zobaczył, że Cyrus taksuje wzrokiem deskę z serami.

- Powoli dochodzę do wniosku, że za długo już mieszkam w Ameryce - rzekł Cyrus. - Stałem się podatny na wpływ propagandy: ser ci szkodzi, słońce ci szkodzi i nawet nie myśl o alkoholu czy o tytoniu. Zadziwiająco, jak Francuzi potrafią osiągnąć podeszły wiek, prawda? Muszą coś robić tak jak trzeba.

- Nie przychodzi ci do głowy, żeby się tu przenieść?

- Zrobiłbym to z rozkoszą, drogi chłopcze, ale pozostaje kwestia pieniędzy. Na nowojorskim domu ciąży dług hipoteczny i jeszcze spłacam ostatnią żonę. Choć nigdy nic nie wiadomo... jedna duża transakcja, a wszystko mogłoby się zmienić.

- Uważasz, że właśnie ta?

- Kto wie? Ale przed nami daleka droga. Musimy najpierw mieć w rękach obraz.

- Mówiłeś, że ten w domu Denoyera nie jest zwykłym falsyfikatem, lecz falsyfikatem znakomitym. Czy to naprowadza cię na jakiś trop?

- Och, wiem, kto go musiał namalować. Tylko jeden człowiek tak dobrze podrabia impresjonistów. Gdybym tyle czasu nie spędził z nosem dosłownie przytkniętym do płótna, nigdy bym na to nie wpadł. Świetna, doskonała robota. A jednak, mimo iż wiem, kto ją wykonał, trudność polega na znalezieniu łajdaka. - Cyrus skinął na kelnera przy desce z serami. - Nie będzie figurował w książce telefonicznej z numerami firm.

- Czy z odnalezienia go coś by przyszło? Mało prawdopodobne, że udzieliliby nam informacji. To oszust.

- Właśnie - przyznał Cyrus - a oszusta zawsze da się przekupić. Może być do tego potrzebna odrobina przebiegłości, a na nią niewątpliwie potrafimy się zdobyć. Pomyśl o tym. Jak wiemy, prócz niego zamieszany jest w to tylko Denoyer, on zaś się nie przyzna. Już raz skłamał. Słowo daję, spójrz na te sery. Sądzisz, że mógłbym zaryzykować camemberta? Wygląda, jakby lada chwila miał się rzucić do ataku.

Wskazał na dojrzały, miękki i tłusty ser. Kelner uciął mu kawałek.

- Avec ça, monsieur!

Cyrus wziął trochę cantala i mały chevre, zamówił kieliszek czerwonego wina, żeby je popić, i z zainteresowaniem patrzył, jak Andre dokonuje wyboru.

- A ty? - zapytał Cyrus. - Chyba ci się tu podoba, znasz język. Widzę cię w małym studio w Paryżu. Albo nawet w Nicei. Przecież nie musisz codziennie chodzić do biura.

Andre popatrzył nad kieliszkiem porto.

- W ostatnich czasach dużo o tym myślałem - odparł. - Ale to w Nowym Jorku są dobre prace. - Wzruszył ramionami. - Albo były jeszcze parę tygodni temu. - I opowiedział Cyrusowi, jak go unika Kamilla. - Zmiana zaszła w ciągu jednej nocy - mówił. - Ledwie wróciłem z Wysp Bahama, przestała przyjmować moje telefony.

Cyrus zmarszczył się nad swoim camembertem.

- To ciekawe. Ona nie zna Denoyera, co?

- No, zna. Przyjechała tu ze mną w zeszłym roku i poznała go, kiedy robiłem zdjęcia. Ale od tej pory ani razu o nim nie wspomniała.

- Nie wydaje ci się to dziwne... mam na myśli zbieżność w czasie? Widzisz coś, czego nie powinienesz widzieć, i wtedy... - Cyrus przeciągnął palcem po gardle.

- Nie wiem. Przypuszczalnie zwykły zbieg okoliczności. Cyrus chrząknął,

- Im się robię starszy, tym trudniej mi uwierzyć w zbiegi okoliczności.

W Cooper Cay strapiiony Bernard Denoyer z poczucia obowiązku pięćdziesiąt razy pokonywał długość

basenu kąpielowego. Claude zbudził go telefonem z Cap Ferrat o szóstej, a to, co powiedział, stanowiło niepokojący początek dnia. Zrazu Denoyer sądził - miał nadzieję - że może Catherine szykuje mu niespodziankę i zmienia wystrój salonu. Ale kiedy zapytał żonę, okazało się, że nic na ten temat nie wie; i nie zna nikogo nazwiskiem Paisley.

Dotarł do końca basenu i zawrócił, odbił się z głową zanurzoną w chłodnej wodzie i oczami wpatrzonymi we własny cień, który powoli sunął po dnie. Nawarzy sobie piwa, jeśli ten plan Holtza spali na niczym. A wydawał się taki pewny. Polegał na prostym zastąpieniu obrazu cudownym falsyfikatem, na dyskretnej sprzedaży oryginału, ukryciu zysków w Szwajcarii. Żadnych podatków spadkowych i mnóstwo gotówki na pokrycie bolesnych strat, jakie Denoyer poniósł w następstwie krachu Credit Lyonnais. No i masz. Dlaczego młody fotograf zdradza takie zainteresowanie i kim, u diabła, jest ten Paisley? Denoyer wyszedł z wody, włożył płaszcz kąpielowy, udał się do gabinetu, zamknął za sobą drzwi i podniósł słuchawkę.

Przynajmniej raz Rudolf Holtz nie miał nic uspokajającego do powiedzenia. On też był strapiony, kiedy po rozmowie z Denoyerem zszedł po schodkach z łóżka. Fotograf staje się nieznośny. Gorzej: niebezpieczny. Holtz po ogoleniu się i po prysznicu dumął w kuchni nad filiżanką kawy. Wymyślił szwindel na pozór bezpieczny i rzeczywiście przez dwa lata wszystko szło jak po maśle. Jak zawsze najlepsze szwindle i ten odznaczał się względną prostotą. Kamilla poprzez „KW” miała zapewniony wstęp do domów bogaczy. Mogła tam spędzać całe godziny, nawet dni, włóczyć się po pokojach pełnych dzieł sztuki, zaskarbiać sobie względy właścicieli i służby, robić zdjęcia, notatki. Na koniec miała za każdym razem zebrany materiał do wa-zeliniarskiego, jak dało się przewidzieć, artykułu. Ale to była tylko fasada.

Jej badaniom przyświecały inne cele - o tym naturalnie nikt nigdy nie pisał - a mianowicie ustalenie dwóch rzeczy. Po pierwsze, kiedy właściciele bywają nieobecni, w jakich terminach zwykli opuszczać swe główne rezydencje, aby się rozkoszować Morzem Karaibskim czy stokami narciarskimi. Po drugie, jaki jest zasięg i stopień skomplikowania ich systemów zabezpieczeń, często przestarzałych, dziwnie prymitywnych.

Uzbrojony w te informacje, Holtz pouczał następnie specjalistów: swojego fałszerza i transportowców. Sporządzano kopię wybranego obrazu (a Holender bez wątpienia był geniuszem), gdy zaś właściciele znajdowali się w bezpiecznej odległości na jakiejś hali czy plaży, transportowcy - też artyści na swój własny ukradkowy sposób - wchodzili na palcach i wieszali falsyfikat zamiast oryginału. Tylko najbardziej doświadczone i podejrzliwe oko mogłoby dostrzec różnicę. Oryginał znajdował nowy dom w skarbcu miłośnika albo w tokijskim mieszkaniu na najwyższym piętrze drapacza chmur. Pieniądzy na szwajcarskich kontach Holtza i Kamilli dyskretnie przybywało. Działo się to bez niczyjej wiedzy. A w tym szczególnym przypadku, przy chętnym współudziale Denoyera, nie powinno grozić żadne ryzyko, żadne niepowodzenie. W teorii.

Holtza wyrwało z zadumy nadejście Kamilli, która wróciła z sali gimnastycznej w ciemnych okólarach, trykocie i szynszylach do tydek, będących premią za ostatni duży wpływ do kasy. Kamilla schyliła się, aby pocałować Holtza w czoło.

- Skarbie, a skąd ta zmarszczka? Wyglądasz, jakby pokojówka uciekła z Renoirem. - Kamilla wyjęła z

lodówki butelkę wody evian na śniadanie, wrzuciła do szklanki plasterki cytryny, zdjęła futro i usiadła.

Zwyczaj w trykocie wydawała się Holtzowi podniecająca, co niejednokrotnie skłaniało go do odbycia z nią drugiego treningu, dzisiaj jednak nie to mu było w głowie i jej promienny nastrój szalenie go zirytował.

- Ten twój cholerny fotograf - powiedział. - Znow wtyka nos. Kamilla zdjęła ciemne okulary, jak zawsze na znak zatroskania.

- Nie mam z tym nic wspólnego, skarbie. Nie rozmawiam z nim już od paru tygodni, jak kazałeś. Co znow zrobił?

- Był w domu Denoyera z kimś, kto nazywa się Paisley i podaje za dekoratora. Znasz go?

Mina Kamilli zdradzała zakłopotanie.

- Nazwisko z nikim mi się nie kojarzy. On nie może być z pierwszej czterdziestki. Znam ich wszystkich.

Holtz machnięciem ręki skwitował pierwszą czterdziestkę.

- Banda sprzedawców tkanin. Kamilla zapanowała nad sobą.

- Bardzo się nam przydają, Rudi, wiesz o tym. A niektórzy są moimi najlepszymi przyjaciółmi. Na przykład Gianni i ten rozkoszny facet o trudnym nazwisku, którego nigdy nie mogę zapamiętać.

- Pieprzyć Gianniego. - Holtz pochylił się do przodu i postukał w stół serdelkowatym palcem. - Musisz coś zrobić z tym fotografem, zanim przysporzy nam większych kłopotów.

Kamilla, która naprawdę pieprzyła się z Giannim (i miała bardzo miłe wspomnienia) po szczególnie przyjemnym lunchu, zrozumiała, że tego ranka nie powinna być lekkomyślna. Spojrzała na zegarek, używany podczas treningów, odporny na pot, za co ręczył sprzedawca u „Cartiera”.

- Robi się późno, skarbie. Co, według ciebie, mam z nim zrobić?

- Wycofaj dupka z obiegu. Wymyśl coś. Jeśli nie potrafisz, ja się tym zajmę. Nie życzę sobie żadnych więcej niespodzianek.

Jadąc do redakcji „KW”, Kamilla wpatrywała się w tył głowy szofera. Zastanów się dobrze, skarbie, mówiła sama do siebie. Niezależnie od boskich zielonych oczu Andre, trzeba się będzie z nim rozprawić.

We Francji nie mieli już nic pożytecznego do zrobienia. Cyrus zmienił rezerwację, aby razem z Andre wrócić bezpośrednim samolotem z Nicei do Nowego Jorku. Żaden nie chciał wyjeżdżać, lecz obaj śpieszyli się do domu.

Zgodnie z sugestią Cyrusa postanowili zrezygnować z usług podniebnej kuchni, więc przed wyruszeniem na lotnisko spędzili przyjemne pół godziny na nicejskim targu, po którym włączyli się, gromadząc

produkty niezbędne do urządzenia pikniku. Ledwie skorzystali ze skromnych wygód klasy dla biznesmenów, Cyrus wezwał stewardesę i wręczył jej plastikową torbę z wędzonym łososiem, różnymi serami, świeżymi bagietkami i butelką białego burgunda.

- W stosownej chwili - zwrócił się do niej - proszę o zrobienie honorów domu. To nasz lunch.

Wzięła torbę z niepewnym uśmiechem, lecz Cyrus nie pozwolił jej udzielić odpowiedzi.

- Bardzo pani miła - rzekł rozpromieniony. - Mamy dość delikatne żołądki. Och... czy mogłaby pani dopilnować, żeby wino nie było za zimne. Powinno być schłodzone, ale nie zanadto.

- Nie zanadto - powtórzyła z powagą. - Dobrze.

Patrząc, jak idzie z torbą do kuchni, Andre próbował odgadnąć, dlaczego sam nigdy nie wpadł na taki pomysł. Kucharze linii lotniczych mogli w dobrej wierze strasznie się wysilać, nigdy jednak nic z tego nie wychodziło, chociaż w karcie dania opisywano płomiennymi słowami. Jagnię, wołowina, owoce morza, cielęcina, to pieczone, tamto duszone - jedzenie na pokładzie linii lotniczych zawsze miało ten sam smak: było tajemnicze, skrzepnięte, pozbawione wyrazu. A wina, nawet jeśli „specjalnie je wybrał nasz latający kiper”, rzadko spełniały zapowiedź z etykiety.

- Często tak robisz, Cyrus?

- Zawsze. Zdumiewa mnie, że więcej osób tak nie postępuje. W samolocie znoszę wyłącznie brandy i szampana. Tego nie daje się zepsuć. Widzę, że zbliża się w naszą stronę butelka. Wypijemy?

Boeing 707 spręzał się do lotu i pomrukiwał, grzebiąc kołami ziemię przed startem. Dwaj mężczyźni pieczołowicie trzymali swoje kieliszki szampana i przez okno patrzyli na gromadkę postaci machających z tarasu widokowego na pożegnanie. Dla Andre towarzysz podróży stanowił odmianę bardzo przyjemną - i przypomnienie, że ostatnio dużą część życia spędzał sam. Z własnej winy, przyznawał. Jest Lucy, miła, z nikim nie związana Lucy, a jak się o nią do tej pory starał? Dzwonił do niej z lotnisk i zostawiał ją na łasce facetów w czerwonych szelkach. Właśnie postanawiał podjąć usilniejsze zabiegi o względy Lucy - rozpocząć je zaraz po powrocie - kiedy Cyrus zagadnął, jakby czytał w jego myślach.

- Byłeś kiedyś żonaty, Andre?

- Prawie. - Andre ze zdziwieniem stwierdził, że jej twarz zamazała się w pamięci. - Jakieś pięć lat temu. Potem zacząłem dostawać zlecenia, z którymi łączyły się wyjazdy, i chyba znudziło ją wyczekiwanie na mój powrót. Wyszła za dentystę, przeniosła się do Scarsdale. To zapewne było nieuniknione. Zbyt częste podróże, oto historia mojego życia.

Cyrus westchnął.

- Ja nie dość się starałem. Podobno najlepszą gwarancją trwałości małżeństwa jest odległość. Podjąłem dwie próby; obie skończyły się łzami. - Z filozoficznym ściągnięciem brwi łyknął szampana.

- Nadal lubisz kobiety?

- Oczywiście. Rzecz w tym, że nigdy nie potrafiłem rozpoznać falsyfikatu.

Po raz pierwszy Andre zobaczył Cyrusa z miną bynajmniej nie wesołą, toteż dyskusję o tym, co zagraża związkom małżeńskim, postanowił odłożyć na kiedy indziej.

- Opowiedz mi o tym fałszerzu. Mówiłeś, że wiesz, kto to taki. Znasz go?

- Skądże znowu, na Boga. Stara się nie zwracać niczyjej uwagi, co w jego fachu jest całkiem zrozumiałe. Trudno byłoby wpaść na niego na koktajlu w galerii, gdzie rozdawałby wizytówki. Nie wiem nawet, w jakim mieście kraju. - Zmarszczył się, gdy pokładowe wideo ryknęło na cały regulator, a pogodny głos zaczął udzielać pożytecznych rad na wypadek katastrofy i niebezpieczeństwa śmierci.

Cyrus nachylił się do Andre, aby być słyszonym. - Nazywa się Fran-zen, Nico Franzen, pochodzi z Amsterdamu. Holendrzy mają do takich rzeczy smykałkę. Słyszałeś o tym facecie od Vermeera? Andre pokręcił głową.

- Kolejny Holender. Nazywał się van Meegeren, a specjalizował w podrabianiu Vermeera - posługiwał się starymi płótnami, ręcznie ucieranymi farbami, wszelkimi sztuczkami - i podobno zrobił na tym kokosy. Przez jakiś czas udawało mu się wszystkim wprowadzać w błąd. Trzeba w pewnym stopniu podziwiać najlepszych fałszerzy. Mogą to być łajdaki, ale niezmiernie utalentowane. No, więc nasz Franzen trzyma się impresjonistów, a jak widzieliśmy, podrabia ich wyśmienicie. Jeśli chodzi o ścisłość, dotarło do mnie, że niektóre jego prace wiszą w muzeach i kolekcjach prywatnych, absolutnie przez wszystkich uważane za oryginały. Musi go to nieźle bawić.

- Jak coś podobnego może się zdarzyć? Czyż obrazów nie badają specjaliści?

- Naturalnie, że tak. Ale słynne obrazy mają swoje rodowody, historię, wiele uczonych opinii i adnotacji, podobnie jak precedensy w naszym prawie. Samo to, że obraz latami uchodził za autentyczny, już stanowi bardzo potężną rekomendację. Rzeczoznawcy są tylko ludźmi; wierzą rzeczoznawcom. Jeśli nie spodziewają się ujrzeć falsyfikatu - i jeśli jest dość dobry - z dużą dozą prawdopodobieństwa go przeoczą. W normalnych okolicznościach powiedziałbym, że Cezanne Denoyera jest autentycznym, bo tak pięknie go podrobiono. Ale dzięki tobie, drogi chłopcze, miałem oczy otwarte. - Cyrus urwał. - I rzeczywiście zobaczyłem falsyfikat.

Andre kręcił głową.

- Przypomina to nowe szaty królewskie.

Cyrus, uśmiechnąwszy się, machnął stewardesie pustym kieliszkiem.

- Coś w tym rodzaju. Ludzie widzą to, czego nauczono ich oczekiwać. Nasze małe dochodzenie jest niezwykle dzięki temu, że oszukuje również właściciel. Z niewiadomego powodu Denoyer chce usunąć oryginał, lecz sam nie może tego zrobić. Oprócz naszego przyjaciela Franzena i staruszka, który pilnuje domu w Cap Ferrat, muszą być w to zamieszane inne osoby. Nie z rodziny. Z zewnątrz.

Cyrus przerwał i czarował stewardesę, gdy dolewała mu szampana, Andre zaś przypominał sobie jego

wcześniejsze uwagi o zbiegu okoliczności. Powiedział:

- Nigdy nie widziałem potrzeby informowania cię, że w czasie tej wyprawy na Wyspy Bahama przetrząsnęto mi mieszkanie i zabrano wszystkie rzeczy fotograficzne - aparaty, filmy, kartoteki ze starymi przezrociami. Ale nic więcej.

Brwi Pine'a odnotowały zdziwienie.

- No, no. A potem redaktorka przestała odbierać twoje telefony.

- Kamilla? - Andre wybuchnął śmiechem. - Trudno mi ją sobie wyobrazić, jak ześlizguje się schodami pożarowymi z workiem aparatów fotograficznych.

- Nie twierdzą, że to zrobiła. - Cyrus w zadumie bełtał szampana plastikowym mieszadełkiem. - Chodzi tylko o zbieżność w czasie.

Wzięli jedną taksówkę z lotniska Kennedy'ego do miasta, po czym się rozstali. Cyrus miał wystawić czułki w świecie sztuki i zobaczyć, czy potrafi się zorientować, gdzie przebywa fałszerz. Andre obiecał podjąć jeszcze jedną próbę nawiązania kontaktu z Kamillą i po drodze rozważał ewentualne sposoby. Dalsze telefony do redakcji nie miały sensu, a do domu były niemożliwe, bo swój numer trzymała w tajemnicy. Zasadzka w holu biurowca okazała się nieskuteczna. Chyba nie ma innej metody, jak zaskoczyć ją wcześniej rano, przypuścić frontalny atak na jej biuro, stanąć i pokornie prosić o pracę.

Andre dobrze zrobiła wyprawa z Cyrusem; znalazł potwierdzenie swych domysłów i mimo zmiany czasu czuł się żwawy, gotów działać dalej, więcej się dowiadywać. Tuż za drzwiami swojego mieszkania upuścił torby i podszedł do automatycznej sekretarki, gdyż chciał sprawdzić, kto zostawił dla niego wiadomość.

- Gdzie jesteś, skarbie? Szalałam z niepokoju. - To Kamilla i jej najlepszy uwodzicielski głos, niski, gardłowy, ociekający nieszczerością, głos, którym się posługiwała, ilekroć jej na czymś zależało. - Dzwoniłam do tej małej w twoim biurze, ale ona absolutnie nic nie wie. Strasznie chcę się z tobą zobaczyć. Za długo, zdecydowanie za długo zwlekałam, a mam dla ciebie dość podniecające nowiny. Wy-leż ze swojej nory i zadzwoń. Ciao.

A potem:

- Witaj w domu, podróżniku. Zgadnij, co się stało. Wojna skończona. Kamilla dzwoniła dwa razy i była prawie uprzejma. Musiało ją to dużo kosztować. No, więc twierdzi, że ma dla ciebie dużą robotę. Och, nawiasem mówiąc, nie powiedziałam jej, gdzie jesteś. Zadzwoń do mnie, okay?

Andre spojrział na zegarek, odliczył sześć godzin i zobaczył, że jest dopiero po piątej. Zadzwonił do biura.

Po pierwszej krótkiej wymianie zdań głęboko zaczerpnął tchu.

- Myślałem sobie, Lulu, i doszedłem do wniosku, że za długo pozostaję wielbicielem na odległość. To się musi skończyć. Nie, zaczekaj, właściwie chciałem powiedzieć coś innego. Chodzi mi o to, że muszę skończyć z tą odległością. Spodziewam się. Chciałbym. No, to znaczy, jeśli ty... o cholera. Słuchaj,

naprawdę nie mogę wyjaśnić przez telefon. Pozwolisz mi wpaść o szóstej i zabrać cię na obiad?

Słyszał oddech Lucy, a gdzieś w tle dzwonek drugiego telefonu.

- Andre, mam randkę.

- To ją odwołaj.

- Ot tak, po prostu?

- Właśnie. - Andre zdecydowanie potakiwał sam sobie. - Tak po prostu.

Nastąpiła przerwa, na pozór nieskończenie długa.

- Andre? -Tak?

- Nie spóźnij się i nie mów, że jedziesz na lotnisko.

Pół godziny później, umyty i ogolony, Andre pogwizdując szedł Zachodnim Broadwayem. W rękę trzymał jedną białą różę o długiej łodydze. Któryś z tutejszych włóczęgów, z radarem nastawionym na przechodnia w tak wyraźnie dobrym humorze, wolno podszedł do niego i ku swemu zaskoczeniu został obdarzony szerokim uśmiechem oraz dziesięcioma dolarami.

Parę minut przed szóstą Andre nacisnął guzik dzwonka, wziął różę w zęby i zajrzał do środka.

Stephen, wspólnik Lucy, podniósł wzrok znad biurka

- No, Andre! To takie nagłe. Nie wiedziałem, że kochasz. Andre czuł, że się rumieni, kiedy przed przestąpieniem progu

wyjmował z ust różę.

- Gdzie Lucy? Stephen się uśmiechnął.

- Nakłada sztuczne rzęsy. Zaraz będzie. Jak leci?

Andre usłyszał, że za jego plecami otwierają się drzwi; odwrócił się i zobaczył Lucy w dżinsach i za dużym białym golfie, podkreślającym czekoladowy odcień jej skóry. Popatrzyła na różę w jego ręku.

- Masz. - Wręczył jej kwiat. - Coś w kolorze twojego swetra.

Stephen, kręcąc głową, przenosił wzrok z jednej poważnej, skupionej twarzy na drugą.

|| - Żałuj, Lucy - powiedział. - Ominęło cię wejście. - A zwracając(się do Andre: - Czy to właśnie robią we Francji? Żują różę?

Andre wziął płaszcz z kanapy i podał go Lucy. Palcami musnął

) tył jej szyi, kiedy odgarniał włosy, które dostały się pod kołnierz.

: Z trudem przełknął ślinę.

- Przypomnij mi, żebym posłał twojemu uroczemu współnikowi

duży bukiet sumaka jadowitego.

\ Stephen z uśmiechem patrzył, jak wychodzą, zadowolony, że to,

co dla niego było już od wielu miesięcy oczywiste, wreszcie zaczyna

; rozkwitać. Podniósł słuchawkę telefonu. Zadzwoi do swojej dziewczyny, zabierze ją do jakiejś przyjemnej restauracji na obiad, może

] zanieś jej kwiaty. Romantyzm jest zaraźliwy.

' W parę minut po powrocie do domu Cyrus Pine zaczął kolejno wydzwaniać do osób, z którymi miał kontakty. Ale choć mówił o czymś mniej więcej uczciwym, wszyscy znani mu, szanujący się dealerzy odpowiadali to samo. Handlujemy wyłącznie autentykami, \. wyjaśniali, i niemal widział, jak zadzierają nosa. Wiedział doskonale, że prawie każdy przynajmniej raz dał się nabrać, a jednak przypominanie o tym do niczego nie prowadziło. Zostawił ich w spokoju i zaczął szukać numeru kogoś obdarzonego większym poczuciem rzeczywistości. Już miał zrezygnować, kiedy dotarł do litery V i zobaczył nazwisko Villiersa. Przypomniał sobie plotki i późniejsze zniestawienie. Jeżeli ktoś mógłby mu pomóc, to na pewno Villiers.

Villiers był pupilkiem wszystkich w latach osiemdziesiątych, kiedy pieniądze przepływały przez nowojorski świat sztuki na pozór nieprzerwanym strumieniem. Chudy, w prążkowanych garniturach, angielski i połączony dalekimi więzami pokrewieństwa z arystokracją (związek ten cudownie się zacieśniał po każdym roku spędzonym przez Villiersa w Ameryce), miał niezawodny wzrok. Domy aukcyjne zwracały się do niego o radę. Liczyły się z nim muzea. Kolekcjonerzy zapraszali go, nie bez obaw, do swoich domów. Wszędzie mu powtarzano, że czekają go zaszczyty, miejsca w zarządach fundacji i muzeów, a w końcu nagrody, należne ważnym trybom establishmentu.

Ale to „w końcu” nie wystarczało. Nie wytrzymało konkurencji z żywą gotówką, więc Villiers zaczął wyświadczać przysługi właścicielom obrazów, których pochodzenie budziło pewne wątpliwości. Jego atest był jak pieniądze w banku dla właścicieli, toteż okazywali wdzięczność w sposób uświęcony zwyczajem i praktyczny. Villiers prosperował, potem stał się zachłanny, co w świecie sztuki bynajmniej nie jest grzechem. Bardziej zaszkodziła mu jednak nadmierna pewność siebie i brak rozwagi. A co może jeszcze gorsze, wystawny tryb życia. Jego dwupoziomowe mieszkanie, jego rasowego bentleya, jego posiadłość wiejską, jego stajnię blondynek i jego przyjęcia opisywano w rubrykach plotek. Nazywano go wschodzącą gwiazdą w świecie sztuki, on zaś przyjmował to za dobrą monetę.

Jego upadek, szybki i głośny, środki przekazu opisywały z tym specjalnym upodobaniem, z jakim dziennikarze obsmarowują każdego nieszczęśliwca, którego przytapia w niekorzystnej sytuacji. Zaczęło

się od tego, że Villiers uznał za autentyczny siedemnastowieczny obraz, sprzedany za kilka milionów dolarów. Nowy właściciel, na żądanie maklera ubezpieczeniowego, polecił zbadać obraz. Zrodziły się wątpliwości, przeprowadzono dalsze badania. Wskazywały na to, że gwoździe, którymi płótno przybito do blejtramu, pochodzą z osiemnastego wieku, a samo płótno jest jeszcze nowsze. Obraz uznano za nieudany falsyfikat. Wiadomość się rozeszła i inni właściciele płócien nabytych z atestem Villiersa rzucili się do laboratoriów, aby przeprowadzić naukowe badania. Ujawniły one więcej falsyfikatów. W ciągu kilku tygodni wschodząca gwiazda przemieniła się w podejrzanego oszusta.

Sprawy sądowe i odwołania zmusiły Villiersa do sprzedaży tego, co posiadał. Blondynki zniknęły, jak zawsze w podobnych okolicznościach. Establishment odwrócił się do niego plecami, więc aby związać koniec z końcem, Villiers musiał doradzać ludziom, dla których ważniejsze było jego dobre oko niż zaszargana reputacja. Ucieszył się z telefonu Cyrusa Pine'a, bo akurat nie miał nic do roboty. W niespełną pół godziny po odłożeniu słuchawki siedział już w gabinecie Pine'a i popijał dużą wódkę.

- To ładnie, że pan przyszedł, panie Villiers. Jak panu wspomniałem, pragnę to załatwić natychmiast. - Pine wzruszył ramionami na znak skruchy. - Na pewno pan wie, jacy są klienci... chcą mieć wszystko zrobione na przedwczoraj.

Gość, szczupły mężczyzna w dość wytartym ubraniu, najwyraźniej nie dbał o wygląd zewnętrzny. Jego garnitur z tenisu, choć dobrze skrojony, aż się prosił o żelazko. Kołnierzyk koszuli zaczynał

się strzępić, a włosy, proste, podwijające się nad kołnierzykiem, dawno już należałoby przystrzyc.

- Właściwie nie jestem w tej chwili zbyt zajęty. - rzekł Villiers, pokazując w uśmiechu brudne zęby. Zakręcił lodem w szklance. -Mógłbym znaleźć trochę czasu.

- Doskonale, doskonale. - Cyrus odstawił swojego drinka i pochyliwszy się do przodu, nastroszył brwi. - Oczywiście niech to zostanie między nami. - Villiers kiwnął głową. - Mój klient ma bardzo przyzwoitą kolekcję... głównie impresjonistów i jednego czy dwóch bardziej współczesnych facetów, takich jak Hockney. Niektóre obrazy trzyma w swoim mieszkaniu genewskim, resztę w domu rodzinnym w Toskanii. Też bardzo ładne, mógłbym dodać. Tak czy owak, zaczyna trochę się denerwować. Ostatnio mieli tam serię włamań,

o których mógł pan nie słyszeć. Wyciszli to ludzie u steru... jak zwykle pod pretekstem, że szkodzi turystyce, inwestycjom. No, więc mój klient obawia się, że system alarmowy i dość leciwy dozorca nie stanowią dla cennych obrazów dostatecznego zabezpieczenia. Rozumie pan?

W rzeczywistości Villiers znacznie go wyprzedzał. Wszystko to słyszał już niejednym razem. Najpierw historyjka dla niepoznaki, potem interes. A interes zawsze podejrzanym. Otwierały się przed nim perspektywy zarobku.

- Pewnie bardzo go to niepokoi - powiedział. - Myśli pan, że mógłbym jeszcze się napić?

- Mój drogi. - Cyrus mówił dalej, a równocześnie przyrządzał Villiersowi następnego drinka. - Martwi się zwłaszcza o dwa obrazy, więc udzieliłem mu pewnej rady. - Podał Villiersowi szklankę

i usiadł. - „Schowaj oryginały w banku i każ zrobić kopie.” Co pan o tym sądzi?

A więc o to chodzi, pomyślał Villiers. Chce fałszerza.

- Bardzo mądra rada.

- On też był tego zdania. Ale zależy mu na kopiach wyśmienitych.

- Naturalnie. Może mi pan powiedzieć, kim jest pański klient?

- Wolałby pozostać anonimowy. Tak jak wszyscy, prawda? Ale zaręczam, że dysponuje znacznymi środkami. - Cyrus wpatrywał się w Villiersa, po chwili zaś dodał: - I nie jest skąpy. Na pewno można się będzie dogadać w sprawie wynagrodzenia.

To zgodne ze scenariuszem, myślał Villiers. Łatwy zysk.

- Jacy to malarze?

- Jest Pissarro i Cezanne.

- Hmm. - Villiers pomnożył przez dwa sumę, która mu najpierw przyszła do głowy. Odpowiednim, jedynym człowiekiem jest Fran-zen. Ale najpierw trzeba się upewnić. - Może zdołam panu pomóc, panie Pine. Da mi pan dwadzieścia cztery godziny?

W drodze powrotnej Villiers się zastanawiał, jaką część zaliczki będzie musiał odstąpić i czy nie lepiej skontaktować Franzena bezpośrednio z klientem, a pieniądze zachować dla siebie. Z żalem postanowił nie ryzykować. Taka rzecz musi wyjść na jaw, a wtedy od jeszcze jednej osoby już nigdy nie dostanie zlecenia. Co za mściwa, zachłanna, małostkowa świnią. Jaką różnicę zrobiłoby mu parę tysięcy dolarów? Taksówka zahamowała, a Villiers z niesmakiem spojrział na ponury budynek, w którym teraz wynajmował mieszkanie. Dał kierowcy za mały napiwek i czmychnął po chodniku, chowając głowę w ramionach przed gradem rzuconych w ślad za nim obelg.

Łyknął kolejną wódkę na szczęście i zadzwonił.

- Rezydencja pana Holtza.

- Czy on jest w domu? Mówi pan Villiers.

- Pan Holtz je obiad, sir.

- To ważne. - Jezu, co za utrapienie z tymi lokajami, jeśli służą u kogoś innego.

Po minucie rozległ się cichy trzask przetęczanego telefonu.

-Tak?

Villiers starał się być jowialny.

- Przepraszam, że zawracam ci głowę, Rudi, ale właśnie wyłoniło się coś, co cię może zainteresować. Robota dla Franzena, a wiem, że lubisz sam mieć z nim do czynienia.

- Kto ją zamawia?

- Cyrus Pine w imieniu jakiegoś Europejczyka. Potrzebny mu Pissarro i Cezanne.

Holtz wpatrywał się w otwarte drzwi swojego gabinetu. Z jadalni poprzez hol dobiegał śmiech Kamilli. Wiedział, kim jest Pine, i często widywał go na imprezach w różnych galeriach. Ten człowiek cieszy się dobrą opinią i może się przydać na przyszłość. Dopóki Holtz będzie się trzymał na uboczu, ewentualne przykrości spotkają Villiersa.

- Znakomicie - powiedział Holtz. - Jutro zadzwonię do Franzena. Dopiero jak dostaniesz wiadomość ode mnie, dasz jego numer Pine'owi. Choć nie wiem - Holtz wydał odgłos, który mógłby uchodzić za śmiech - czy słowo „dasz” jest właściwe.

Villiers się skrzywił. Ten wstrętny kurdupel nie przepuści żadnej okazji.

- Cóż - odparł - może zażądam małej sumki.

- Naturalnie. Ale ja nie liczę na żaden udział. Więc powiedzmy, że skrzynka kruga za moje usługi, co? Odezwę się jutro. - Holtz wracał do stołowego nie bez powodu przekonany o swej hojności. Pięćdziesiąt procent honorarium, które zabierze Franzelowi, będzie się liczyć w setkach tysięcy. Przydaje się każdy drobniak, mówił sobie. Zajął miejsce za stołem i obdarzył gości uśmiechem. - Proszę o wybaczenie - powiedział. - Moja matka wcześniej je obiad na Florydzie i uważa, że my tutaj robimy to samo. - Wziął do ust kęs jagnięcia i pomyślał, że zważywszy na rujnujące ceny międzynarodowych połączeń telefonicznych, należałoby raczej wziąć sześćdziesiąt procent.

Tymczasem Villiers przejrzał zawartość swojej lodówki - do połowy opróżniona butelka wódki i pętko podstarzałej pasztetówki - a następnie postanowił wyjść i zafundować sobie obiad na poczet honorarium. Zostanie mu dość po kupieniu temu taniemu draniowi jego szampana. Trzeba wziąć nie najlepszy rocznik.

Dzwonek zabrzączał o osiemnaście cali od jego ucha, ostro, natrętnie przeniknął przez poduszkę naciągniętą na głowę. Andre poczuł, że ktoś obok niego się rusza, poczuł ciepło nagiej skóry i ciężar ciała na swojej piersi, kiedy Lucy sięgnęła do telefonu.

Niejasno zdał sobie sprawę, że ona zaspianym głosem mówi halo, po czym zdejmuje mu z twarzy poduszkę i gryzie go w płatek ucha.

- To Kamilla. - Podała mu słuchawkę i oparła głowę na jego ramieniu. Andre spróbował stłumić ziewnięcie.

- Jesteś. Tak się cieszę, że cię złapałam. - Drgnął, bo Kamilla mówiła głośno, z ożywieniem, i odsunął

słuchawkę od ucha.

- Jak się masz, Kamillo?

- Doskonale, skarbie, i wprost marzę o zobaczeniu się z tobą. Mamy mnóstwo spraw do obgadania. Słuchaj, właśnie ktoś odwołał spotkanie i pomyślałam, że mogłabym pójść z moim ulubionym fotografem na lunch. Tylko z nim.

Andre usłyszał szept Lucy przy szyi.

- Moim ulubionym fotografem. Jezu.

- Andre?

- Dobra. Pewnie. Byłoby znakomicie.

- Cudownie. O pierwszej w „Royaltonie”?

- W „Royaltonie”. O pierwszej. Kamilla, niezdolna się powstrzymać:

- Andre, kto przed chwilą odebrał telefon?

- Och, sprzątaczką. - Lucy uniosła głowę, uśmiechnęła się i ugryzła go w szyję. Chrząknął bezwiednie. - W czwartki przychodzi wcześniej rano.

- Jest środa, skarbie. Do zobaczenia o pierwszej.

Andre upuścił słuchawkę i przez pół godziny witał się z Lucy, dopóki nie odepchnęła jego rąk i nie wyskoczyła z łóżka.

- Muszę już iść. Resztę zostaw na później, dobra? - Znowu położyła mu poduszkę na twarzy. - I pamiętaj, na czym skończyłeś.

Słyszał daleki szum prysznica, kiedy znowu zapadał w sen, leniwy i pełen dziwnego zadowolenia, chłonał jej zapach, pozostawiony w pościeli, i próbował zrozumieć, dlaczego stracili tyle czasu. Rozbudził go dotyk jej ręki i zapach kawy.

- Andre, najwyższy czas, żebyś przestał żyć jak wólczyca. Usiadł, wziął kubek w obie ręce i wdychał parę.

- Tak, Lulu.

- Lodówka przypomina laboratorium naukowe. Istnieje tam życie. Rzeczy się rozmnażają.

- Tak, Lulu.

Nachyliła się, aby go pocałować.

- Uważaj na siebie, słyszysz? - Jeszcze nie trzasnęły drzwi frontowe, a już zaczął odczuwać jej brak.

Cztery godziny później, nadal przyjemnie roztargniony, Andre czekał, aż mu wskażą stolik Kamilli w „Royaltonie”. Kiedy prowadzono go przez salę, twarze obracały się za nim jak blade obiektywy aparatów fotograficznych - goście rzucali mu krótkie, badawcze spojrzenia, ciekawi, czy jest dość dobrze znany, aby zasługiwać na dłuższą obserwację. Nikt nie próbował ukrywać zainteresowania; ani jego braku, kiedy twarze odwracały się w drugą stronę.

Andre wiedział, że ten sposób lustrowania rozpowszechnił się w kilku nowojorskich restauracjach, gdzie ważne osobistości przychodzą na lunch. Źródłem sukcesu takich zakładów jest nie tyle kuchnia, często znakomita, choć z rzadka się to dostrzega, ile pozycja gości. Dla tych zaś bajecznych istot - modelek, aktorów i modnych pisarzy, samej śmietanki środków przekazu, graczy wyczulonych na wszelkie niuanse gry - najbardziej liczy się dobre miejsce. Wygnańcowi przy źle widocznym stoliku carpaccio z tuńczyka może w ustach zamienić się w popiół, a wygląda na to, że reguła ustanowiona przez Brillat-Savarina straciła aktualność. „Powiedz mi, co jesz - zwykły mawiać ten wielki człowiek - a powiem ci, kim jesteś”. Te dni prostoty już minęły. „Powiedz mi, gdzie siedzisz, a powiem ci, kim jesteś” - to stosowniejsza dewiza i może już niedługo specjalnością dnia zamiast potrawy stanie się znakomita osobistość - *personnage du jour*, o której obecności w restauracji będzie się dyskretnie oznajmiać w trakcie podawania menu.

Te myśli przebiegały przez głowę Andre, gdy sadzano go na dobrze widocznej kanapce i oddawano mu honory należne gościowi

jednej z najbardziej oddanych bywalczyń restauracji. Kamilla naturalnie się spóźniła. Kiedy wreszcie przybyła i głównie na pamięć kierowała się między stolikami (bo duże ciemne okulary utrudniały widzenie), jej wędrówka budziła zainteresowanie i wywoływała salwy pocałunków przesyłanych w powietrzu.

- Andre! - Zupełnie jakby swym pojawieniem się przy stoliku sprawił jej absolutną niespodziankę, wniósł radość w dzień skądinąd pośępny. - Jak się miewasz? Pozwól, że ci się przyjrzę. - Zrobiła to, przekrzywiając głowę z boku na bok, ciemne okulary opuściwszy do pół masztu na nosie. - Odkrywam zdecydowany błysk w oku, skarbie. A co tu masz na szyi?

Andre z uśmiechem pochylił głowę.

- Dobrze wyglądasz, Kamillo. Nie widziałem cię całe wieki. Byłaś zajęta?

- Szaleńczo, skarbie. Od rana do nocy, pracowałam nad małą niespodzianką dla ciebie. - Ale powiedz mi, co z tobą. Doszły mnie słuchy, że byłeś w Europie.

- Parę dni w Anglii. - Andre podał jej zredagowaną wersję swojej wyprawy, wypełnioną opisami lorda Lampreya i tapiserii w Throttle Hall. Kończył historię zbiegłego kurczaka, kiedy przerwało mu dzwonenie w torebce Kamilli. Zamawiał lunch, podczas gdy ona rozmawiała przez telefon; kelner stał niezdecydowany, dopóki aparat znów nie znalazł się w torebce. Kamilla wymieniła swoją ulubioną kombinację zielonych liści i zwróciła się do Andre z żalonym westchnieniem osoby przepracowanej i niezastąpionej.

- Na czym skończyliśmy, skarbie?

- Właśnie miałas mi opowiedzieć o tym projekcie, który cię tak absorbował.

Andre, odchylony na oparciu krzesła, nieświadomy, czego się ma spodziewać, przez pół godziny wysłuchiwał Kamilli w jej najbardziej przekonującym wydaniu. Zdjęła ciemne okulary, uporczywie, bez zmruczenia powiek wpatrywała się w jego oczy, roztrzepotaną ręką delikatnie, lecz znacząco ścisnęła go co jakiś czas za ramię. Nie tknęła liści na talerzu. Obserwatorowi wydawałaby się całkowicie niepomna na nic prócz siedzącego obok młodego człowieka. Tę sztukę udoskonaliła z biegiem lat i chociaż Andre widywał, jak ją odgrywa przed innymi, stwierdził, że przedstawienie go wciąga. Spodobała mu się też myśl, co przyznawał, że Kamilla tak usilnie stara się go przekonać. Dobrze go znała i starannie wybrała przynętę.

Chodziło o książkę; nie, o coś więcej. O kompletny rejestr najnie-zwyklejszych rezydencji świata, fotografowanych wyłącznie przez niego na koszt czasopisma. Za publikację i promocję będzie odpowiedzialna jedna ze spółek, w której udziały ma Garabedian. Wielkie domy świata, skarbie, mówiła Kamilla i podkreślała te słowa rozedrganym szczerością głosem polityka składającego obietnice wyborcze. A twoje nazwisko - tu urwała, aby naszkicować to rękami w powietrzu - twoje nazwisko nad tytułem. Będzie objazd promocyjny, będą wydania obcojęzyczne - w Niemczech, Włoszech, Japonii, na całym świecie - będzie wystawa fotografii, CD-ROM. To zapewni Andre miejsce najważniejszego na świecie fotografa w tej dziedzinie. I oczywiście przyniesie mu olbrzymie pieniądze - z praw zagranicznych, z praw do druku w odcinkach, z honorariów. Pieniądze będą płynąć strumieniem. Kamilla trzęsła fryzurą, podniecona tym wszystkim, i czekała na odpowiedź Andre.

Przez chwilę rzeczywiście brakowało mu słów. Kamilla słusznie nazwała to jedyną w życiu okazją, wymarzoną zleceniem, akurat na miarę jego ambicji. W normalnych okolicznościach wołałby

o szampana, a jego entuzjastyczny uścisk zagroziłby jej równowadze

i zapewne makijażowi. Ale już w trakcie szukania właściwej odpowiedzi w jego mózgu załgał się robak podejrzeń. Było to zanadto na czasie, zbyt doskonałe.

- Cóż - rzekł w końcu - będziesz musiała mi wybaczyć, ale mnie zatkało. Muszę to przetrawić. Powiedz, jak widzisz terminy. Bo to przecież nie jest sesja dziesięciodniowa.

Kamilla zbyła taką błahostką machnięciem ręki, na które przybiegł kelner.

- Zostawiam ci tyle czasu, ile potrzebujesz, skarbie. - Kelner spojrzał na nią zmieszany i zanim odprawiła go ponownym machnięciem ręki, spróbował sięgnąć po jej sałatkę. - To będzie książka monumentalna. Widzę Petersburg, Dżajpur, zamki szkockie, Marra-kesz, Bali, Wenecję... Boże, Wenecję. - Znów potrzęsnęła włosami. - Rok, osiemnaście miesięcy, ile ci będzie potrzeba. - Ściszyła głos do poufnego szeptu. - Właściwie zaplanowałam pierwszy etap i tylko troszkę się śpieszy na samym początku. To najfantastyczniejszy dom tajpana w Hongkongu, a Hongkong nie jest pewny.

- Nie jest?

- Chińczycy, skarbie. Przejęli go, a kto wie, kiedy wszystkie wspaniałe domy zamienią na sypialnie dla

kobiecej rewolucyjnej armii ludowej? Więc powinieneś tam dotrzeć, zanim nasz mały przyjaciel pan Choy się spietra i postanowi uciec do swoich pieniędzy w Beverly Hills. - Odsunęła talerz i oparła się łokciami o stół. -Prawdę mówiąc, możliwie najszybciej.

Robak podejrzeń drążył ze wzmożoną siłą.

- Zdążę się napić kawy?

Rozpromieniona Kamilla poklepała Andre po ręce.

- Tak się cieszę, że pomysł ci się podoba, skarbie. To coś w sam raz dla ciebie.

Zostawiła go przed wejściem do hotelu, najpierw jednak poleciła mu załatwić szczepienia, wizy i zadzwonić do Noela w sprawie biletów i zwrotu kosztów podróży. Jadąc samochodem do biura, składała sobie gratulacje. Chyba wziął to za dobrą monetę i przy odrobinie szczęścia wyruszy do Hongkongu w ciągu tygodnia. Rudi będzie zachwycony.

Andre zawrócił do holu, skąd zadzwonił do Cyrusa Pine'a. Dealer nie dopuścił go do głosu.

- Dobre nowiny, drogi chłopcze, dobre nowiny... wytropiłem Franzena, który dzięki Bogu mieszka w miejscu cywilizowanym. Sądzę, że nie masz nic przeciwko wycieczce do Paryża?

- Cyrus, właśnie jestem po lunchu z Kamillą i sprawa chyba się komplikuje. Kiedy będziesz wolny?

- Zastanówmy się. Zostawiłem na dole miłą, głupią staruszkę z paroma niebrzydkimi akwarelami. Aż ją ręka świerzbi do wyjęcia książeczki czekowej. Nie chciałbym jej sprawić zawodu. Co powiesz na wieczór?

- Możesz przyjechać do śródmieścia? Chciałbym, żebyś kogoś poznał.

Cyrus zachichotał.

- Ładna?

- Oszłamiająca.

Ustalili, że spotkają się u „Feliksa”. Po telefonie do Lucy, która miała mnóstwo pytań, ale za mało czasu na słuchanie długich odpowiedzi, Andre musiał coś zrobić z wolnym popołudniem. Pod wpływem impulsu postanowił się przejść na południowy Manhattan.

Długi, niespieszny spacer Piątą aleją w rześkie wiosenne popołudnie należy do wielkich manhattańskich przyjemności. Kiedy niebo nad Nowym Jorkiem jest błękitne, ten błękit razi w oczy, a kiedy nowojorczyccy czują, że zima minęła, prostują przygarbione plecy, podnoszą twarze do słońca i czasami nawet uśmiechają się do obcych. Pogoda odpowiadała nastrojowi Andre i chociaż czuł, że należałoby odgadnąć, co się kryje za propozycją Kamilli, uznał próby rozwiązania zagadki za mniej ważne od wizji Lucy i Paryża. One spychały wszystko na dalszy plan i rozpraszały uwagę.

Minął zgiełkliwą ulicę Czterdziestą Drugą i lwy przed nowojorską biblioteką, masywne, dobrotliwe w

słonecznym blasku, tak godne, jak godne mogą być lwy z girlandami gołębi na głowach. Potem sklepy i biura, na tym odcinku Piątej alei skromne, ale solidne w przeciwieństwie do swych wspaniałych śródmiejskich sąsiadów. Na co drugim skrzyżowaniu spoglądał na zegarek i odliczał minuty. Powlókł się przez plac Waszyngtona, wstąpił na kawę, wciąż delektując się tą nową tęsknotą do czyjegoś towarzystwa. Już od lat nie czuł, jak przyciąga go ludzki magnes.

W postanowieniu, że przyjdzie do biura, kiedy je będą zamykać, zachwiał się w chwili, gdy tuż przed piątą dotarł na Zachodni Broad-way. Niemal biegiem pokonał ostatnie sto jardów, w nadziei, że zastanie Lucy samą.

W drzwiach natknął się na Stephena.

- Jesteś za wcześnie, ja wychodzę, Lucy poszła do domu się przebrać, a jeśli przez ciebie jutro znów się spóźni do pracy, zaskarżę cię do sądu. Miłego wieczoru.

- Skoro już tu jesteś, Stephen... - Andre delikatnie wepchnął go z powrotem do pokoju. - Zastanawiałem się... no, rzecz w tym, liczyłem, że przez parę dni dasz sobie radę bez Lucy. Wiesz, chodzi mi o długi weekend. Może tydzień.

Stephen z uśmiechem wzruszył ramionami.

- Czy mam jakiś wybór?

- Jeszcze jej nie pytałem.

- Dokąd się wybierasz?

- Do Paryża.

Stephen z poważną miną położył rękę na ramieniu Andre.

- No, więc ją spytaj. Ale pod jednym warunkiem. Andre na znak zgody kiwnął głową.

- Jeśli ci odmówi, pojedę ja.

Razem wyszli z biura. Andre czekał przed budynkiem i obracał oczy na każdą zwalnającą taksówkę. O tej porze roku wieczory stopniowo się wydłużały i stawały łagodniejsze. Tajemniczy, upiększający zmierzch zacierał defekty i ostre kandy Zachodniego Broadwayu. Światła błyskały na powitanie wieczoru, Andre zaś poczuł żywsze krążenie krwi w żyłach, kiedy przy krawężniku przystanęła taksówka, a w jej drzwiczkach mignęła jedna szczupła, brązowa noga. Mówcie o nowojorskich taksówkach, co chcecie, pomyślał, ale ich projektant musiał lubić nogi. Andre z aprobatą patrzył, jak ukazuje się druga noga, po czym przeszedł przez chodnik, aby pomóc wysiadającej Lucy.

Miała na sobie ciemnoszarą sukienkę, krótką i prostą, czarny płaszcz zarzucony na ramiona, włosy ściągnięte do tyłu, oczy roziskrzone w blasku latarni. Wygładziła kołnierzyk jego koszuli.

- Jesteś za wcześnie.

- Akurat tędy przechodziłem - odparł - w nadziei, że dopisze mi szczęście.

Ramię w ramię wolno powędrowali w kierunku Grand Street.

- Mam dla ciebie niespodziankę, Lulu.

Podniosła na niego wzrok, a światło odbiło się w jej srebrnych kolczykach.

- Pozwól, że zgadnę. Zrobiłeś porządek w lodówce.

- Coś znacznie lepszego.

- Zmusiłeś Kamillę do zjedzenia frytek na lunch. Pokręcił głową.

- Byłaś kiedyś w Paryżu? Chciałabyś polecieć?

- Paryż! - Nieomal wrzasnęła, na tyle głośno, że dwaj przechodnie przystanęli; czekali na dalszy ciąg. - Paryż! Mówisz poważnie?

- Wszystko już załatwione. Rozmawiałem ze Stephenem. Dostajesz tydzień urlopu za dobre sprawowanie. Teraz spotykamy się z Cyrusem, aby uzgodnić terminy, i...

Wspięła się na palce i uraczyła Zachodni Broadway widokiem pocałunku, który groził zatrzymaniem ruchu ulicznego. Jeden przechodzień kuksnął drugiego.

- Niedługo będą musieli zaczerpnąć powietrza. Jego przyjaciel z westchnieniem pokręcił głową.

- A ty byś chciał go zaczerpnąć?

Jeszcze przed dotarciem do restauracji Lucy zdołała na tyle opanować podniecenie, że usiadła przy barze, zamówiła rum z wodą i zaczęła zadawać pytania: Czy wyjazd ma związek z jego pracą? Jaka jest w Paryżu pogoda? Gdzie się zatrzymają? Czy tam będzie głupio wyglądać w swoim berecie? Czy Cyrus też leci? Czy ona mu się

spodoba? - dziesiątki pytań, które płynęły tak wartkim strumieniem, że Andre nie miał okazji na żadne odpowiedzi. W końcu wziął szklankę Lucy i wetknął jej do ręki.

- Wznieśmy toast - zaproponował - nim stracisz głos. Za twój pierwszy pobyt we Francji.

Stuknęli się i wypili, wpatrzni w siebie nawzajem. Andre pochylił się do przodu - aby całować czy szeptać, jeszcze nie podjął decyzji

- kiedy za ich plecami rozbrzmiało dyplomatyczne kaszlnięcie. Odwrócił się i przytapał Cyrusa na tym, że obserwuje Lucy z widocznym zadowoleniem, unosząc brwi na widok wygięcia jej ciała i krótkiej sukienki, która wydawała się jeszcze krótsza wskutek tego, że Lucy przycupnęła na brzegu stołka.

Andre odstawił swoją szklankę.

- Lulu, to Cyrus.

Wyciągnęła rękę, a Cyrus ujął ją w obie dłonie.

- Cieszę się, że mogłem cię poznać, moja droga. Nie byłem w tych stronach od lat, ale jeśli wszystkie dziewczyny są tu takie ładne, częściej będę zaglądał na południowy Manhattan.

- Gdybyś zechciał puścić jej rękę, Cyrus, mógłbyś tym się zająć.

- Andre podał mu whisky, pochwalił jego muszkę w czerwone i białe cętki i poprowadził ich od bufetu do pobliskiego stolika.

Usiedli, oni dwaj z obu stron Lucy.

- Od czego zaczniemy? - spytał Andre. - Chcesz mówić pierwszy, Cyrus? Lucy wie o wszystkim, co było dotąd.

Cyrus lubił opowiedzieć historię po kolei. Najpierw opisał karierę i upadek nieszczęsnego Villiersa, potem ich pierwsze spotkanie, następnie krótkie negocjacje i drugie spotkanie, w holu pewnego banku na alei Parkowej, gdzie Villiers miał wymienić numer telefonu Franzena na pięć tysięcy dolarów.

Lucy gwizdnęła cicho.

- Czy to nie dużo za numer telefonu?

- Każdy dostaje dolę w podobnej sytuacji - odparł Cyrus - im bliżej zaś obrazu, tym dola większa. Drzę na myśl o cenach, jakie dyktuje Franzen. No, więc czaję się przy drzwiach z kopertą pełną gotówki. Wchodzi Villiers, rozgląda się dokoła, jakby deptała mu po piętach połowa CIA i boczkiem podsuwa się do mnie. W życiu nie widzieliście nic bardziej podejrzanego. Wciąż się spodziewałem, że ktoś wyskoczy zza drewnianej konstrukcji, wymachując bronią. Wymieniliśmy koperty, a ten bezczelny łobuziak kazał mi czekać, aż

przeliczy pieniądze. Wreszcie się wyniósł. - Cyrus lekko zdziwiony spojrzał na pustą szklankę.

- Pozwól, że przyniosę ci drugą. - Andre ruszył do baru, a Cyrus zwrócił się do Lucy.

- Za jeden z przywilejów, należnych ludziom w moim wieku, uważam prawo do zadawania bezczelnych pytań. - Szybko uniósł brwi. - Czy ciebie i Andre... jak by to ująć... coś łączy?

Lucy się uśmiechnęła.

- Do tego zmierzamy. Może powinieneś zapytać jego.

- Nie trzeba, moja droga. Jest to dla mnie absolutnie oczywiste. Odkąd tu siedzę, spojrzał na mnie najwyżej raz. Ogromnie się cieszę. Bardzo go polubiłem; to dobry człowiek.

Lucy popychała swoją szklankę po blacie.

- Tak - przyznała. - Wydaje mi się, że tak. Póki go nie ma, Cyrus... powiedz, czy nie zrobi ci różnicy, że i ja polecę do Paryża? Zaprosił mnie, kiedy tu szliśmy, ale nie chcę...

Cyrus podniósł rękę i nie dał jej skończyć.

- Ani słowa więcej. Jeśli nie polecisz, sprawisz mi szalony zawód. Przechyliła się, aby pocałować go w policzek, a niosący whisky

Andre gotów był przysiąc, że Cyrus się zarumienił. Andre popatrzył na jedno z nich, na drugie, po czym usiadł.

- Może chcecie zostać sami?

Lucy mrugnęła do niego. Cyrus odchrząknął.

- Czekałem, aż wrócisz i wysłuchasz zakończenia historii - powiedział. - Zaatakowała mnie jednak nasza towarzyszka podróży. No więc. - Pociągnął długi łyk. - Zadzwoiłem pod numer podany przez Villiersa i rozmawiałem z Franzenem, który wyglądał na dość zainteresowanego, choć naturalnie przez telefon nie wdawaliśmy się w szczegóły. Spotkamy się z nim w przyszłym tygodniu na czymś, co nazywa terenem neutralnym. Muszę przyznać, że ten człowiek ma kosztowne poczucie humoru. Jako miejsce wyznaczył „Lucasa-Car-tona” z uwagi na artystyczną atmosferę. Powiedział, że była to jedna z ulubionych restauracji Toulouse-Lautreca.

Andre strzepnął palcami, jakby je oparzył, i dostrzegł wyraz zdumienia na twarzy Lucy.

- Ta restauracja należy do najlepszych w Paryżu - wyjaśnił. - Jest przy place de la Madeleine. Byłem tam raz, na moje urodziny.

- Nietania - rzekła Lucy.

- Niezupełnie.

Cyrus zbył względy finansowe szybkim ruchem głowy.

- Moi drodzy, musicie traktować tę wyprawę jak inwestycję. Otwiera przed nami olbrzymie możliwości. A poza tym - spojrzał na Andre - miałem bardzo dobre popołudnie... staruszka kupiła obie akwarele dla wnuka, więc jestem przy forsie. Nie zabraknie nam funduszy.

Andre zmarszczył czoło.

- Nie wiem, Cyrus. Już dużo wyłożyłeś. Cyrus pogroził mu palcem.

- Bez spekulacji nie ma akumulacji, Andre. Na ile wyceniałem ten obraz? Na z górą trzydzieści milionów. - Opuścił palec i odchylił się do tyłu, jakby tym dowiódł swej racji. - A teraz opowiedz mi o redaktorce.

Andre zaczął przedstawiać propozycję Kamilli, Lucy robiła czasem ciche uwagi, a Cyrus słuchał bez słowa. Andre, w miarę jak mówił o szczegółach dotyczących książki i jej publikacji, wyczuwał coraz większy

sceptycyzm swoich towarzyszy, toteż na zakończenie wzruszył ramionami i zauważył, że zrazu pomysł wydawał się dobry. Nawet jego samego niezbyt to przekonało.

Lucy pierwsza przerwała krótkie milczenie.

- Ta Kamilla to niezły numer. Czy naprawdę uważa, że możesz zniknąć na osiemnaście miesięcy ot tak, uprzedzony kilka dni wcześniej? Jest kobietą szaloną. - Zwróciła się do Cyrusa. - Jak pewnie zauważyłeś, nie należę do grona jej wielbicieli.

- Lulu, wszystko jest możliwe. - Andre wyliczał na palcach: - Ona ma kontakty, stoją za nią pieniądze Garabediana, pomysł trzyma się kupy, ona wie, że nie dostaję dużo zleceń. Co o tym sądzisz, Cyrus?

Cyrus kręcił głową.

- Sprawa jest podejrzana, drogi chłopcze. Lulu ma absolutną rację... chodzi o czas. Gdybym był cynikiem, musiałbym powiedzieć, że te brednie o wystawach i obcojęzycznych wydaniach, i Bóg wie czym jeszcze to zasłona dymna. Cała ta gadka... przyznaję, że pomysłowa... zmierza do tego, żebyś wsiadł do samolotu. Redaktorka chce, żebyś się znalazł daleko stąd, a wolałaby, żebyś odleciał już wczoraj.

- Dobra. Ale dlaczego?

- Ach - rzekł Cyrus. - Nie wiem. Nie chodzi jednak o twoje zdrowie i moim zdaniem to nie powinno pokrzyżować planów naszej małej wyprawy. Zgadzasz się, moja droga?

Lucy odpowiedziała szerokim, zaraźliwym uśmiechem, którym obdarzyła siedzących przy stoliku.

- Paryż chyba mi się spodoba.

- Robię to za twoją namową - rzekł Andre. Skinął na kelnera i poprosił o karty. - A teraz trochę poćwiczmy przed podróżą.

Pisk kółek na podłodze i chrobot rozsuwanego grubego zamka błyskawicznego sprawiły, że Andre usiadł, oszołomiony, zdezorientowany, świadomy tylko tego, że leży w cudzym łóżku. Mniejszym, kobiecym, o wiele zgrabniejszym niż jego własny materac sprężynowy, łóżku, do połowy - jak teraz zauważył - pokrytym stosami odzieży. W drugim końcu pokoju, w miękkim blasku lampy z abażurem, zobaczył Lucy, przycupniętą nad otwartą walizką, ludzką wyspę pośród morza garderoby. Ubrana w białą trykotową koszulkę, zrobiła skruszoną minę, kiedy usłyszała, że Andre się rusza, i zwróciła na niego spojrzenie.

- Lulu? Co ty wyprawiasz?

Podniosła rękę do ust i wstała z szeroko otwartymi oczami. Koszulka była akurat na tyle długa, że Lucy nie groziło więzienie.

- Przepraszam, Andre. Nie chciałam cię obudzić. Nie mogłam zasnąć, więc pomyślałam, że po prostu... wiesz - niezdecydowanie poklepała walizkę i wzruszyła ramionami - ... zacznę się pakować.

Zaspany Andre niezdarnie szukał na nocnym stoliku zegarka.

- Która to godzina?

Lucy znów wzruszyła ramionami.

- Och. No, dość wczesna. - Błysk białych zębów. - Chyba że się ktoś wybiera do Paryża.

Znalazł zegarek i zerknął na wskazówki.

- Lulu, jest czwarta rano. Samolot odlatuje dopiero o ósmej wieczorem. Ile czasu zajmie ci pakowanie?

Lucy podeszła, przysiadła na brzegu łóżka i odgarnęła włosy z czoła Andre.

- Ty nie rozumiesz. Muszę tu podobierać różne rzeczy. Nie chcę wyglądać jak z wiochy przy tych wszystkich odszykowanych paryskich lalkach. - Uśmiechnęła się do niego; jej włosy, oświetlone od tyłu, tworzyły spletaną czarną chmurę wokół bledszego trójkąta twarzy.

Andre gładził ręką jej udo i czuł, jak długi muskuł porusza się pod jego dotykiem. Uleciały myśli o spaniu.

- Masz rację - powiedział. - A te paryskie lalki w dodatku umieją gotować.

Odepchnęła go, przydusiła plecami do łóżka i pochyliła się nad nim.

- Nie, nie potrafia używać takich jak ja składników.

Z Cyrusem spotkali się w sali odlotów Air France, ale najpierw spędzili dzień dziwnie podobny do Wigilii Bożego Narodzenia, choć by! początek kwietnia: w świątecznym nastroju pakowali się, przepakowywali, żegnali przez telefon, w ostatniej chwili załatwiali rozmaite sprawy. Na późny lunch zjedli makaron i wypili butelkę szampana, gdy zaś dotarli na lotnisko Kennedy'ego, obojgu przyjemnie kręciło się w głowach ze zmęczenia, a zarazem podniecenia. Cyrus zerknął na nich znad złożonego „New York Timesa” z taką miną, jakby w tym dniu jego najbardziej wyczerpującym zajęciem była przymiarka u krawca.

- Dobry wieczór, moi drodzy. Potraficie rozwiązywać krzyżówki? Potrzebne mi pięcioliterowe słowo, które znaczy tyle co Miasto Światła. Czy waszym zdaniem mógłby to być Paryż? - Z uśmiechem odłożył gazetę, wstał i pocałował Lucy w policzek. - Beret wygląda bardzo wdzięcznie - oświadczył. - Będę o tobie mówić na Saint-Ger-main. Andre, jesteś szczęśliwym młodzieńcem.

Początek przygody w gronie przyjaciół to jedna z lepszych chwil w życiu i nielicznych już przyjemności, jakich obecnie dostarczają podróże. Miłe towarzystwo, a na dodatek nastrój wyczekiwania w pewnym stopniu uodporniają na nudę, wywoływaną załatwianiem formalności. Opóźnienia, kłótlivy personel naziemny, kontrole, zwykłe uczucie, że człowiek jest niewygodnym, kłopotliwym bagażem, wszystko to stopniowo traci znaczenie i wtapia się w tło. Cyrus i Andre na zmianę opowiadali Lucy o swoich ulubionych zakątkach Paryża -- o barze u „Ritza”, pchlim targu, Musee d'Orsay, Pont Neuf, jedzeniu i kwiatach na rue de Buci - tak że prawie nie zauważyli, jak powoli przesunęli się wraz z resztą pasażerów i w końcu zajęli miejsca w samolocie.

Lucy obserwowała załogę, szykowną w granatowych mundurach, mężczyzn drobniejszych niż pracownicy amerykańskich linii

lotniczych, kobiety wymuskane, z tym wyrazem grzecznej wyniosłości, tak typowym dla twarzy francuskiego urzędnika. Trąciła Andre łokciem.

- Nie myliłam się co do lalek. Wszystkie wyglądają, jakby wzięły dzień wolny u Diora.

Andre mrugnął porozumiewawczo.

- A widzisz tylko to, co jest z wierzchu. Francuzki wydają na bieliznę więcej niż inne Europejki. Co wiem od specjalnego korespondenta „Wall Street Journal”.

Lucy wychyliła się, aby popatrzeć na opięte pasem elastycznym biodra, rozkołysane w przejściu, i pokiwała głową w zadumie. Kiedy samolot zaczął kołować, ścisnęła rękę Andre.

- Niech ci się nic nie marzy, koleżko. Jesteś zajęty. - Oparła się na jego ramieniu i zasnęła natychmiast, jak wyczerpane dziecko.

Cyrus miał mniej szczęścia, bo jego sąsiadka, niemłoda kokietka z Waszyngtonu, bardzo chciała porozmawiać i zasięgnąć informacji, jako że pierwszy raz wybierała się do Francji - solo, co podkreśliła z zachęcającym uśmiechem. Pół godziny później, po dalszych szczegółach natury osobistej i jeszcze liczniejszych aluzjach, Cyrus postanowił udać, że boli go głowa. Opuścił oparcie siedzenia, zamknął oczy i znów rozważał szansę sprzedaży za trzydzieści milionów obrazu należącego do człowieka, którego nie znał.

Były równie znikome jak ostatnim razem, kiedy się nad tym zastanawiał. Bardzo dużo będzie zależeć od Franzena - od jego stosunków z Denoyerem, od jego dyskrecji (albo, przy odrobinie szczęścia, od jej braku), od tego, jak zareaguje na ich trójkę. Rzecz zrozumiała, fałszerze są z natury nerwowi, łatwo nabierają podejrzeń, a z trudem zaufania, w życiu zawodowym stale oglądają się przez ramię. Co człowiek w rodzaju Franzena mówi przyjacielom o swoim sposobie zarobkowania? Czy będzie skłonny zawierzyć komuś, kogo poleca taki drobny oszust jak Villiers? Z drugiej strony, któż inny mógłby załatwić fałszerzowi zlecenie? Na pewno nie kustosz Metropolitan Museum.

Sprzedaż Cezanne'a nie nastroczałaby, zdaniem Cyrusa, poważnych trudności. Nieoficjalny rynek dzieł sztuki jest, jak wiedział, ogromny. Są miłośnicy gotowi trzymać obraz w skarbcu, niedostępny dla publiczności, odwiedzać go i napawać się nim potajemnie; są Japończycy, którzy mogliby wykorzystać dogodne prawo, chroniące w ich kraju własność prywatną przed wykryciem; jest Hongkong,

gdzie wszelakiego rodzaju skarby poręcznie mogłyby zniknąć. W przekonaniu Cyrusa możliwa byłaby sprzedaż bez rozgłosu i po rozsądnej cenie. Nigdy nie brakuje ludzi bogatych i zachłannych.

Cyrus zerknął na Lucy i Andre, którzy po drugiej stronie przejścia spali, oparli o siebie. Porównał perspektywę obiadu z dalszymi rewelacjami rozentuzjasmowanej mieszkanki Waszyngtonu i zdecydował się pohamować apetyt, dopóki nie będzie mógł go zaspokoić w Paryżu.

Do Paryża jednak dotarli z pewnymi trudnościami. Tłok na błękitnym porannym niebie nad Roissy spowodował opóźnienie samolotu. Winni dalszej zwłoki byli inspektorzy imigracyjni, którzy pracowali na zwolnionych obrotach, już z myślą o dorocznych strajkach w lecie. A samochody jechały z lotniska do miasta z prędkością gęstniejącego syropu. Troje podróżników porzuciło myśl o śniadaniu w kawiarni, kiedy taksówka pokonywała autostradę seriami krótkich susów, co chwila gwałtownie się zatrzymując. Dopiero po jedenastej przeprawili się przez Sekwanę i włączyli w sznur pojazdów, pełzających wąskimi uliczkami Lewego Brzegu.

Zatrzymali się w hotelu „Montalembert”, przy małej uliczce prostopadłej do rue du Bac. Na zewnątrz utrzymany w starym paryskim stylu, wewnątrz chłodny i nowoczesny, cieszył się szczególnymi względami ozdób świata mody, przyodzianych w czarne mundurki. Andre wybrał go z uwagi tak na wygląd i lokalizację, jak na obsługę, uroczą, młodą i - wbrew obowiązującym w Paryżu zwyczajom - naprawdę życzliwą. No, i znajdował się tam bar.

W barze hotelu „Montalembert”, na lewo od holu, śmiało można spędzić calutki dzień. Podają tu śniadanie, lunch i obiad. Począwszy od późnego rana, trunki leją się strumieniem. Świat przychodzi i odchodzi, ubija się interesy, nawiązuje romanse (z jakiegoś powodu rzadkie są zerwania; może oświetlenie jest za wesołe na łyż i na wyrzuty sumienia). Nie ma tu telewizorów. Rozrywek dostarczają ludzie.

Kiedy czekali na klucze, Lucy taksowała wzrokiem dwie cienie jak opłatek, wypielegnowane kobiety, które siedziały nad kieliszkami szampana, paliły papierosy i wykręcały długie, eleganckie szyje, ilekroć wydmuchnęły kłąb dymu.

- Lalki - powiedziała. - Spójrz na nie. Taksują się uważnie. Cyrus poklepał ją po ramieniu.

- Dwie podmiejskie panie domu, moja droga. Przypuszczalnie dyskutują o tym, co podać mężom na obiad.

Lucy wydeła wargi, próbując sobie wyobrazić którąś z nich w pobliżu kuchni. Andre odwrócił się od lady z dwoma kluczami w ręce.

- Lulu, przestań się gapić na te dwie miłe staruszki.

Jeden z kluczy dał Cyrusowi i poprowadził ich do windy o tych specyficznych galijskich rozmiarach, sprzyjających zacieśnianiu wzajemnych stosunków. Nawet jeśli do windy wchodzi osoby obce, to wysiadają z niej na pewno po zawarciu znajomości.

Lucy dokonała oględzin pokoju starannie jak inspektorka od Michelina, przeciągnęła palcami po palisandrze, wypróbowała łóżko pod świeżą narzutą w granatowo-białe pasy, zachwyciła się stałą i łupkowymi płytami w łazience, otworzyła wysokie okna z widokiem na beładnie spiętrzone dachy Paryża, niepodobne do żadnych innych na świecie. Andre patrzył z uśmiechem, jak biega i robi kolejne odkrycia.

- No? - powiedział. - Wystarczy?

- Nie potrafię uwierzyć, że tu jestem. - Wzięła go za rękę i przyciągnęła do okna. - Spójrz. Paryż!

- Istotnie - odparł. - Co chcesz zobaczyć najpierw?

- Wszystko.

Jeżeli przybysz postawi sobie w Paryżu tak ambitne zadanie, może wyruszyć z kilku tysięcy punktów, ale dla kogoś, kto zwiedza go po raz pierwszy, mało jest miejsc przyjemniejszych czy bardziej fascynujących niż „Deux Magots”, kawiarnia na Boulevard Saint-Germain, kwintesencja wszystkich kawiarni. Jej krytycy mogą twierdzić, że przychodzi tam zbyt wielu turystów; że kelnerzy, znużeni życiem i stanowczy, uczynili z gburowatej obsługi swego rodzaju sztukę; że ceny są odstrasające. Może w tym być sporo prawdy, nigdzie jednak gość nie dostanie podobnego stolika na tarasie, skąd mógłby obserwować paryżan zajętych tym, co tak dobrze umieją: spacerowaniem, pozowaniem, oglądaniem nawzajem swoich wiosennych strojów, wzruszaniem ramionami, robieniem kwaśnych min i wymianą pocałunków; paryżan, którzy widzą i są widziani.

Około południa pocieplało, błysnęło słońce i powiał lekki wiaterek od Sekwany, więc pogoda sprzyjała wędrownikom po ulicach. Liście, jeszcze nie zmatowiały od spalin, lśniły na gałęziach drzew jak świeżo pomalowane czystą, intensywnie zieloną farbą. Tego rodzaju dzień sprawiał, że kwiecień w Paryżu zamieniał się w pieśń.

Lucy siedziała między dwoma mężczyznami oczarowana. Zupełnie jakby śledziła grę w tenisa, kręciła głową z boku na bok, bo niczego nie chciała przeoczyć. Jakie to wszystko inne niż w Nowym Jorku. Tylu tutaj palaczy, tyle psów, tyle starych i pięknych budynków, takie wrażenie przestronności, niemożliwe w mieście drapaczy chmur. Kawa jest mocniejsza, powietrze ma inny smak, nawet André nie przypomina siebie. Obserwowała go w czasie rozmowy z kelnerem. Kiedy mówił po francusku, jego ciało przerzucało się na inny bieg, ruchy nabierały płynności, dłonie i ramiona znajdowały się w ciągłym ruchu, szczęka i dolna warga wysuwały się do przodu, a płynące z ust słowa brzmiały tak egzotycznie w uszach nawykłych do chrapliwszych kadencji anglosaskich. I tak trajkotał. Wszyscy trajkotali.

Cyrus zaproponował coś lekkiego, żeby zostawić miejsce na obiad, przypuszczalnie długi i wyszukany, więc zamówili kawę, a następnie po kieliszku beaujolais i po kanapce z szynką. Pożywne połówki bagietek umożliwiły Lucy poznanie smaku francuskiego pieczywa i normandzkiego masła. Ugryzła pierwszy kęs, doceniła to, co ma w ustach, i przerwała jedzenie, aby popatrzeć na André.

- Dlaczego nikt w Paryżu nie jest gruby? - zapytała, gestem wskazując ludzi dokoła. - Popatrzcie, ile wcinają teraz i ile piją wina. A potem powtórzy się to przy obiedzie. Jak oni to robią? Czy są na specjalnej diecie?

- Bezwzględnie - odparł André. - Nie więcej niż trzy dania na lunch, nie więcej niż pięć dań na obiad i żadnego picia przed śniadaniem. Prawda, Cyrus?

- Coś w tym rodzaju, drogi chłopcze. Nie zapominaj o codziennej butelce wina i małym koniaku do poduszki - och, i o mnóstwie masła do gotowania. A także o bardzo małej ilości ruchu. To ważne. I o paczce papierosów na dzień.

Lucy kręciła głową.

- Okay, może pytanie było głupie. Ale jak dotąd nie widziałam ani jednego grubasa. Ani jednego.

- To się składa na tak zwany francuski paradoks - powiedział Andre. - Pamiętasz? Parę lat temu było z tego powodu sporo szumu. Według mnie wszystko zaczęło się od badań nad tym, co zwykli jadać mieszkańcy dwudziestu krajów. Szukano związku między odżywianiem a chorobami serca.

Cyrus w zadumie wpatrywał się w swoje wino.

- Nie jestem pewny, czy chcę tego słuchać. Andre się uśmiechnął.

- Nic ci nie będzie, dopóki tu przebywasz. Uzyskane wyniki wskazywały, że najzdrowszą dietę mają Japończycy... doprawdy nic dziwnego, zważywszy, że jedzą głównie ryby i ryż. Ale wielką niespodziankę sprawiła zdobywczyni drugiego miejsca. Druga na liście dwudziestu krajów uplasowała się Francja; mimo pieczywa, sera, foie gras, sosów, trzygodzinnych lunchów, alkoholu. Więc oczywiście ludzie chcieli wiedzieć dlaczego. Doszukiwali się jakiegoś sekretu, jakiejś sztuczki z dietą, która pozwala bezkarnie jeść, na co się ma ochotę. Uczeni jednak wy tłumaczenie znaleźli w czerwonym winie.

Cyrus potaknął.

- Teraz sobie przypominam - rzekł. - Mówili o tym w telewizji, prawda? Większość sklepów alkoholowych w Ameryce wyprzedła zapasy cabernet sauvignon w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

- Racja. I wtedy ktoś zaczął mówić o marskości wątroby, częstszej we Francji niż w Stanach, więc wszyscy powrócili do hamburgerów i coca-coli.

- Które miejsce zajęła Ameryka? - spytała Lucy.

- Och, dalekie. Czternaste, może piętnaste. Czerwone wino tego nie zmieni. Właściwie, zgodnie z moją teorią, czerwone wino ma z tym mniejszy związek, niż się na ogół uważa. Ważne jest oczywiście, co się je i pije, ale równie ważne jest, jak się je i pije. A pod tym względem zwyczaje narodowe ogromnie się różnią. Większość Amerykanów traktuje pokarm jak paliwo - jedz w samochodzie, jedz na ulicy, kończ obiad w piętnaście minut. Dla Francuzów jedzenie to przyjemność. Poświęcają mu czas. Koncentrują się na nim. Lubią siedzieć przy stole i nie jedzą między posiłkami. Nigdy nie przyła-piesz prezydenta Francji na tym, jak przy swoim biurku pałaszuje frytki. Gotowanie budzi tutaj szacunek. Uchodzi za sztukę. Główni szefowie kuchni przypominają gwiazdy filmowe. - Andre urwał i dopił swoje wino. - Przepraszam, to zabrzmiało jak wykład. Ale jest prawdziwe. - Obrócił się do Lucy. - Poczekaj, dziś wieczór zobaczysz jedzenie.

- Nie mówiłem wam - wtrącił się Cyrus - że dzwoniłem do Franzena z hotelu.

- Wszystko jest w porządku? Cyrus przewrócił oczami.

- To entuzjasta. Bez przerwy mówił o menu... widocznie Senderens zalicza się do wielkich kuchmistrzów. Sądząc po głosie, Franzen już wyciągał nóż i widelec. Spotykamy się z nim o ósmej. Muszę

przyznać, że sprawiał wrażenie bardzo życzliwego, zaproponował, żebym mówił mu po imieniu. Chyba się dogadamy.

Lucy obserwowała wysoką blondynkę w czarnych skórkach, która dużymi krokami przeszła z charem rosyjskim na drugą stronę bulwaru, nie zważając na samochody; oboje poruszali się z wdziękiem, pełnym dumy i wyniosłości. Pies zepsuł efekt, bo postanowił zadrzeć łapę przy tylnym kole zaparkowanego motocykla akurat w chwili, kiedy próbował wsiąść na niego właściciel. Właściciel, z nogą też uniesioną, ale nad siodełkiem, zaczął robić wymówki. Dziewczyna zignorowała go i poszła dalej.

Lucy pokręciła głową.

- W Nowym Jorku już zdążyliby się posprzeczać. Później zaskarżono by psa do sądu. - Jeszcze raz pokręciła głową i obróciła się do Cyrusa. - Możemy porozmawiać poważnie?

- Oczywiście.

- Czy twoim zdaniem powinnam włożyć na wieczór czarną sukienkę? Nie, żartuję. Co spodziewasz się uzyskać od Franzena?

- No, zaraz. - Cyrus poprawił muszkę, wpatrzony w „Brasserie Lipp” po drugiej stronie bulwaru. - Chciałbym, żeby się dobrze poczuł w naszym towarzystwie, żeby nas uznał za godnych zaufania. Chciałbym się od niego dowiedzieć, jakim sposobem dostał zamówienie od Denoyera i co wie o oryginale... gdzie obraz się znajduje, dokąd go wysyłają. - Popatrzył na Lucy z uśmiechem. - Chciałbym, żeby nam powiedział to wszystko, czego mówić nie powinien.

Lucy zmarszczyła brwi.

- Masz jakiś plan?

- Naturalnie - odparł Cyrus. - Spoić go i oczekiwać tego, co najlepsze.

Sina z wściekłości Kamilla drobnymi, nerwowymi krokami chodziła tam i z powrotem przed biurkiem Noela; łokieć uniosła w górę, papierosa trzymała na wysokości ramienia. To naprawdę straszne. Dała Andre szansę jedyną w życiu, taką, dla której każdy fotograf gotów byłby zabić, a on zniknął. Przepadł. W ciągu ostatnich dwóch dni dzwoniła do jego mieszkania kilkanaście razy. Bilet do Hongkongu został zarezerwowany, przygotowania poczynione - skomplikowane przygotowania, które ze strony Kamilli wymagały poniżających próśb - a gdzież on się podziewa? Zniknął. Jacy ci twórcy są nieodpowiedzialni! Aroganccy! Niewdzięczni! Miała ochotę na zawsze wykreślić go ze swego notesu.

- Spróbuj jeszcze raz zadzwonić do jego biura, Noel. Porozmawiaj z tą małą Walcott. Może ona wie, gdzie go szukać.

Kamilla zatrzymała się i stanęła nad telefonującym Noelem. Pokręcił głową, a następnie odłożył słuchawkę.

- Nie ma jej. Wzięła urlop do przyszłego tygodnia.

- Urlop. - Kamilla prychnęła. - Wycieczka zbiorowa do Jones Beach, jak przypuszczam. Cóż, próbuj dalej dzwonić pod domowy numer Andre.

Noel patrzył, jak maszeruje z powrotem do gabinetu, sztywna z irytacji, i westchnął. Zanosił się na jeden z tych trudnych dni.

Spotkali się w holu przed ósmą, Lucy w swojej najlepszej czarnej sukience, Andre z uczuciem, jakie zawsze wywoływał w nim krawat: że się natychmiast udusi, Cyrus w kraciastym garniturze bulwarowego szlifibruka. Z dwornym ukłonem ujął rękę Lucy i pochylił się nad nią.

- Wyglądasz zachwycająco, moja droga. Zdecydowanie jesteś najładniejszą dziewczyną w Paryżu.

Lucy spiekła raka, po czym spostrzegła, że za plecami Cyrusa stoi jeden z młodych gości hotelowych i usiłuje zwrócić na siebie jej uwagę. Kiedy się do niego uśmiechnęła, zalał ją potokiem francuszczyzny: Taksówka właśnie przywiozła do hotelu gościa. Jest pusta i wolna. On z przyjemnością przytrzyma ją dla mademoiselle, jeśli tego zechce. Jego nieprzytomna mina wskazywała, że zdecydowanie wolałby przytrzymać mademoiselle. Zaskoczona Lucy zwróciła się do Andre, który stał z boku, lekko uśmiechnięty.

- Co on powiedział?

- Mówi, że znał wiele kobiet, ale żadna ci nie dorównywała. Chce cię zabrać do swojego domu i przedstawić matce.

Taksówka jechała bulwarem Saint-Germain. Na moście de la Concorde Lucy dech zaparło na widok Sekwany, szerokiej, ciemnej wstążki pod roziskrzonymi mostami. Andre wpatrywał się w jej twarz.

- Kazałem im pozapalać światła na twoją cześć, Lulu. Tam po prawej są ogrody Tuileries, prosto przed nami place de la Concorde. Lepszy od Zachodniego Broadwayu w wilgotny poniedziałkowy ranek, co?

Lucy wolno kiwała głową, nie odrywając wzroku od wyjątkowo pięknego otoczenia: budynki były malowane światłem reflektorów, linia drzew pełna formalistycznej precyzji, masywne kamienne ściany pokryte rzeźbiarskimi plamami gęstego cienia. Pierwszy rzut oka na Paryż w nocy odebrał jej mowę, całkiem ją ogłuszył.

Kierowca najwyraźniej nie był w nastroju do leniwego napawania się widokami. Mocno dodał gazu przy wyjeździe z rue Royale, z hukiem wpadł na place de la Madeleine, przeleciał przed zaskoczonym motocyklistą, nie zwrócił uwagi na złorzeczenia, jakie się za nim posypały, i z triumfalnym chrząknięciem zahamował przy krawężniku. Kolejna niebezpieczna podróż nikogo nie kosztowała życia. Po stwierdzeniu, że napiwek jest dostatecznie duży, taksówkarz mruknął: - Bon appetit - po czym znów włączył się w sznur pojazdów, pozostawiając ich troje na chodniku przed wejściem do restauracji. Było w niej coś z lekka teatralnego, włącznie z nazwiskiem gwiazdora - szefa kuchni Alaina Senderensa -

wypisanym nad drzwiami tuż pod nazwą, jak na afiszu.

Początki restauracji „Lucasa-Cartona” sięgają wieku osiemnastego, kiedy to śmiały Anglik, Robert Lucas, otworzył swoją „Taverne Anglaise”, aby gastronomicznie upośledzonym paryżanom podawać zimne mięsa i budyń gotowany na parze. Ta nieprawdopodobna kombinacja znalazła uznanie w oczach miejscowych smakoszy, toteż nazwa i reputacja Lucasa przetrwały długo po jego śmierci. Sto trzydzieści lat później, kiedy restauracja przeszła w inne ręce, nowy właściciel nazwał ją „Taverne Lucas”. Dobre czasy trwały, lokal odnowiono w stylu Art Nouveau na początku stulecia, a w 1925 roku przejął go kolejny właściciel, Francis Carton.

Obecne wnętrza zapewne mało się różni od tego sprzed z górą dziesięć lat: klon, jawor i brzoza o cudownie opływowych kształtach, lustra i ozdobne rzeźbione kasetony, jasne plamy świeżych kwiatów i szmer głosów, dochodzący zza dużych kart kremowego koloru, ogólna atmosfera luxe et volupte.

Cyrus zatarł ręce i odetchnął głęboko, z przyjemnością, jakby wciągał w płuca szczególnie stężony tlen.

- Czuję, że należałoby włożyć surdut i cylinder. - Z tymi słowami rozejrzał się po sali. - Widzicie naszego człowieka?

Przy większości stolików siedzieli grupkami schludni, dyskretnie ubrani biznesmeni, którzy wprawdzie nie olśniewają, lecz stanowią ważny fundament każdej drogiej restauracji. Nieliczne kobiety wyróżniały się na tle ciemnych garniturów; niektóre obwieszane świetną biżuterią, z dopasowanym do niej makijażem, inne w szytych na miarę mundurkach, rozpoznawalne w nich jako rekruci międzynarodowej armii kierowników przedsiębiorstw. Narożny stolik po drugiej stronie sali zajmował natomiast samotny mężczyzna, tak zatopiony w lekturze menu, że widać było jedynie tył jego rozczochranej głowy, odbity w lustrzanej wykładzinie.

Maitre d'hôtel poprowadził ich do tego stolika. Franzen przyjrzał się im znad okularów okrągłymi niebieskimi oczami, które zatrzymały się na Andre i Cyrusie, a zaokrągliły na widok Lucy. Wstał z pewnym trudem i pochylony wyciągał tłustą łapę do każdego z nich po kolei. Był tęgi, niedźwiedziowaty, sprawiał zaś wrażenie jeszcze masywniejszego w ubraniu z brązowego sztruksu, na oko tak grubym, że mogło być kuloodporne. Pomarszczony krawat z żółtej wełny nadawał pozory oficjalnego stroju koszuli w kratkę, rozpiętej pod szyją.

Dużą głowę Franzena otaczała zmierzwiona aureola włosów w kolorze soli z pieprzem, sterczących na wszystkie strony nad wysokim czołem; nos miał długi, prosty, wąsy starannie przycięte. Postugiwał się tym niemal zbyt poprawnym rodzajem angielskiego, którego Holendrzy uczą się chyba w przedszkolu.

- Czy mam zdziwioną minę? - zapytał. - Muszą mi państwo wybaczyć. Spodziewałem się tylko pana Pine'a. - Złożył ręce na swoim menu i uprzejmie kiwał pozostałym głową. - Zatem dzisiejszy wieczór ma charakter towarzyski, prawda?

- Może zdołamy też trochę popracować - rzekł Cyrus. - Panna Walcott i pan Kelly to moi koledzy. Ręczę za ich ogromną dyskrecję.

Kelner, który poprawiał kubek z lodem ustawiony obok stolika, na tyle wyciągnął moką butelkę, że ukazała się etykieta. Franzen odwrócił głowę, aby popatrzeć, i kiwnąwszy nią uśmiechnął się do Cyrusa.

- Szampan miejscowy - powiedział. - Na pewno go pan zaaprobuje. Jest bardzo dobry. - W krótkiej przerwie po cmoknięciu wyciąganego korka, nie głośniejszym niż nagły wydech, zaszeptały ulatniające się z kieliszków bąbelki.

Cyrus pochylił się nad stolikiem i zniżył głos.

- Jest zrozumiałe, że dzisiaj ja reguluję rachunek. Taką mam nadzieję i na to nalegam.

Holender, jakby się zastanawiając, obracał w palcach nóżkę swojego kieliszka. Dobry początek, myślał; zapowiada się to całkiem inaczej niż z tym skąpym draniem Holtzem, który każdego centyma czynił przedmiotem negocjacji. Lekko skłonił głowę i odparł:

- Bardzo pan jest hojny. Widzę, mój przyjacielu, że współpraca z panem będzie przyjemnością.

Cyrus potoczył wzrokiem dokoła stolika i podniósł kieliszek.

- Za sztukę - rzekł.

- Za interes - powiedział Franzen. - Ale nie załatwiamy go o pustym żołądku, co?

Lucy i Andre, dotykający się pod stolikiem kolanami, pozwolili dwóm starszym mężczyznom dalej prawić sobie grzeczności, sami zaś patrzyli do karty. Andre szeptem tłumaczył nazwy potraw, Lucy słuchała z miną wniebowziętą, więc obserwatorowi mogłoby się wydawać, że snują plany małżeńskie. W rzeczywistości Andre próbował możliwie najdokładniej wyjaśnić, co to są bigorneaux.

- To pobrażki, Lulu. Wiesz... pobrażki. Z morza.

- Jak ryba? Jak krab?

- Nie, niezupełnie. Raczej jak ślimak. Mimowolny dreszcz.

- A co powiesz na ris de veau?

- Pyszności, ale nie przypuszczam, żebyś chciała o tym słuchać.

- Aż takie okropne?

- Aż takie okropne.

- Dobra. Czuję, że mam szczęście. Weźmy cuisses de grenouille.

- Świetne. Jak najdelikatniejsze kurczę.

- Ale to nie kurczę?

- Nie. Żabie udka. -Och.

Franzen opuścił swoją kartę, aby popatrzeć na Lucy.

- Jeśli wolno mi coś zaproponować - rzekł - jest tu jedna potrawa, której nie znajdzie się nigdzie we Francji, a może i na świecie: ca-nard apicius. Przepis pochodzi z czasów rzymskich, sprzed dwóch tysięcy lat. - Urwał, aby się napić szampana. - To kaczką, ale niepodobną do żadnej innej, kaczką pieczoną z miodem i korzeniami, kaczką w ekstazie. Będzie pani pamiętać tę kaczkę do końca życia. - Podniósł dłoń do ust, złożył palce i głośno ucałował ich czubki. - Opowie pani o tej kaczkę wnukom.

Lucy uśmiechnęła się do trzech twarzy zwróconych w jej stronę.

- Wiecie co? - powiedziała. - Chyba wezmę tę kaczkę.

Zanim kelner przyszedł po zamówienia, Franzen wziął na siebie odpowiedzialność za zinstrumentowanie posiłku każdego z biesiadników, a zadanie to wypełnił z wielkim entuzjazmem i ogromną wiedzą. Podczas gdy on, kelner i sommelier dopasowywali potrawy i roczniki win, przy ich stoliku zdążyło zaplanować zdecydowanie największe w restauracji ożywienie, na co Andre zwrócił uwagę Franzena, kiedy wreszcie uporali się z zamawianiem.

- To bardzo proste - odparł Holender. - Większość ludzi przychodzi do takich jak ta restauracji z niewłaściwych powodów. Chcą wyrzucić wrażenie, pokazać, że mogą wydać na obiad parę tysięcy franków. A że pieniądze to dla nich świętość, zachowują się jak w kościele. ~ Złożył ręce i zapatrzył się w sufit, niczym podstarzały cherubin. - Żadnego śmiechu, nie za dużo wina, ani śladu gustu. No, a dla kelnerów, dla sommeliera to nie jest zabawne. Wiecie, jaką satysfakcję sprawia podawanie jedzenia i wina ludziom, których bardziej interesuje cena niż smak? Fe! - Wyszczył resztkę z kieliszka i skinieniem poprosił kelnera o dolewkę.

- My natomiast jesteśmy inni. Przyszliśmy tu jeść, pić, smakować. Zaliczamy się do entuzjastów. Wierzmy w moje de manger, stanowimy dla szefa publiczność. Doceniają to wszyscy pracownicy. Już uważają nas za sympatycznych. Pod koniec obiadu będą nam stawiać drinki.

Podejście Franzena było zaraźliwe, a że do tego bez przerwy podlewano burgundem i bordeaux najwspanialej w Paryżu ugotowane potrawy, oni czworo szybko pogrążyli się w miłej atmosferze koleżeństwa. Cyrus uzbroił się w cierpliwość, patrzył, jak wino i towarzystwo działają na Franzena, wyczekiwał stosownej chwili, aby przejść do tego, co było celem ich spotkania.

Taka chwila nadeszła, kiedy odpoczywali po głównym daniu, i to sam Franzen poruszył interesujący ich temat.

- Pod wpływem kaczkę zapragnąłem jadać tu co wieczór - oświadczył, dokładnie wycierając wąsy serwetką. I jakby zwracał się sam do siebie, jakby myślał na głos, mówił dalej: - Stała rezerwacja, co wieczór ten sam stolik, wino już w kubku, moje małe upodobania znane, od czasu do czasu wizyta szefa. Cóż to byłoby za przyjemność. - Starannie wepchnął serwetkę za kołnierzyk koszuli, poklepał ją, wygładził i z miną człowieka, który podjął decyzję, nachylił się do Cyrusa. - Mając takie ambicje, będę potrzebował pracy. Czego chcesz? Nasz wspólny nowojorski przyjaciel nie podał mi przez telefon żadnych szczegółów. Więc mów.

Wieloletnie doświadczenie pozwoliło Cyrusowi poznać ogromną wrażliwość i wybujałe ego przedstawicieli świata sztuki, toteż zaczął

ostrożnie, usiłując przekonać Holendra, że szanuje go jako artystę. Franzen z uśmiechem pokręcił głową i podniósł rękę.

- Mój przyjacielu - rzekł. - Nie rozmawiasz z Picassem. Jestem człowiekiem interesu, tyle że mam pędzel.

- Miło mi to słyszeć - zapewnił Cyrus. - Wobec tego od razu przejdę do rzeczy. Potrzebuję Cezanne'a.

Franzen uniósł brwi.

- Jakież to niezwykłe. Nie robiłem go od roku 92. A w tym roku akurat skończyłem drugiego, ty zaś chcesz jeszcze jednego. Widocznie staruszek jest modny. Czasami tak bywa.

Cyrus nie zdążył odpowiedzieć, bo podszedł kelner, aby omówić kwestię deseru, i natychmiast zaprzętnął uwagę Franzena.

- Poszukajcie na końcu karty - rzekł Holender. - Jest coś, czego musicie spróbować. - Kiedy cała trójka zajrzała do menu, podjął: -Tradycyjnie bierze się sery i czerwone wino, ale spójrzcie na to... camembert z calvadosem, epoisses z marc de bourgogne, vieux brebis z manzanillą. Wspaniałe kombinacje. Cóż za wyobraźnia! Jakie naukowe badania! - Franzen kiwał głową, wciąż wpatrzony w listę niemal trzydziestu różnych serów i specjalnie dobranych do każdego z nich płynnych dodatków. Uplętnęło trochę czasu, zanim oddał kartę i powrócił do tematu Cezanne'a.

- Żywię dla niego wielki podziw - oświadczył - i nie tylko dla jego dzieła. Jeśli mogę poprosić o podanie butelki, opowiem wam moją ulubioną historyjkę o tym malarzu. - Nalał sobie resztkę bor-deaux, podniósł kieliszek do światła, westchnął i wypił. - Jak wielu artystów, Cezanne często bywał za życia nie doceniany i niejednokrotnie krytykowany przez ludzi, którzy nie nadawali się do tego, aby mu myć pędzle. Działo się to w Aix, jak na pewno wiecie, bynajmniej nie stolicy malarskiego świata. No, więc urządzono wystawę jego prac. Przyszło na nią jak zwykle dużo miejscowych krytyków i Cezanne stał akurat za jednym z nich. Ten krytyk monotonna mówił coś o jednym z obrazów, z każdą minutą jego słowa stawały się coraz bardziej obraźliwe, aż po jakiejś szczególnie ignoranckiej uwadze Cezanne stracił panowanie nad sobą. Poklepał krytyka po ramieniu. Ten się odwrócił. „Monsieur - powiedział Cezanne - mam pana gdzieś." Co można na to odpowiedzieć? Jakżebyś chciał zobaczyć twarz krytyka. Ach, niosą ser.

Już po jedzeniu Cyrus taktownie, wspierany dużym koniakiem, zdołał znów wciągnąć w rozmowę o interesach coraz bardziej podochoconego Holendra. Uzgodniono, że z rana, kiedy alkohol wywietrzeje im z głów, wszyscy spotkają się w pracowni Franzena i obgadają szczegóły. Potem, rzekł Franzen, może zechcą dla uczczenia nowej znajomości pójść na lekki lunch; zna odpowiednie miejsce. Tymczasem nagryzmolił swój adres na rue des Saints-Peres i dodał kod, potrzebny przy otwieraniu głównych drzwi. Cyrus odwzajemnił mu się numerem telefonu hotelowego.

Z restauracji wychodzili ostatni, w honorowej asyście trzech kelnerów, sommeliera i maitre'a d'hôtel, którzy życzyli im dobrej nocy. Obiad był wyśmienity, a kiedy pomagali Holendrowi wsiąść do taksówki, Cyrus miał wrażenie, że osiągnął to, na co liczył. Dzisiaj się zaprzyjaźnili. Jutro, przy odrobinie szczęścia, zostaną współpracownikami.

Wrócili do hotelu rozgrzani winem i senni po podróży. Lucy spod na pół przymkniętych powiek widziała zamazane światła Saint--Germain i czuła, jak jej głowa opada do przodu.

- Andre? Wiesz, ten spacer, na który mieliśmy się wybrać wieczorem, przez most? Moglibyśmy go odłożyć do jutra? - Żadnej odpowiedzi. - Andre? - Nic. - Cyrus?

W lusterku pochwyciła spojrzenie taksówkarza.

- Śpią - powiedziała. - Wszyscy śpią. Bardzo ładnie.

Ledwie Franzen otworzył drzwi swojego mieszkania, znajoma woń farby olejnej i terpentyny przedarła się przez opary alkoholowe w jego głowie. Minął główny pokój, służący mu za pracownię, przeszedł do małej kuchenki i zaczął parzyć kawę. Ten Cyrus Pine, myślał, to człowiek o wielkim uroku, tak różny od Rudolfa Holtza. Franzen wpatrywał się w maszynkę i czuł, jak odżywają wszystkie stare urazy: Holtz był zachłannym, skąpym tyranem; nie zasługiwał na zaufanie; ale, rzecz smutna, stanowił źródło większości dochodów Franzena, o czym obaj dobrze wiedzieli. Jakże miło byłoby, gdyby ta nowa praca, dla nowego, cywilizowanego klienta, prowadziła do innych zleceń. Może jutro, przed zapakowaniem i wysyłką tych dwóch płócien, pokaże je Pine'owi. Ustawione obok siebie, żeby mógł ocenić robotę.

Z filiżanką kawy i stanowczo ostatnim tego dnia koniakiem Franzen zasiadł w zniszczonym skórzanym fotelu. Właśnie szukał w kieszeni cygara, kiedy zadzwonił telefon. I nie zamilkł. Franzen, powtarzając sobie, że pewnego dnia, może nawet jutro, kupi automatyczną sekretarkę, chwiejnym krokiem przeszedł przez pokój. Podniósł słuchawkę.

- Franzen? Tu Holtz. Sądzę, że obiad z panem Pine'em był przyjemny.

Franzen ziewnął. Holtz zawsze jest taki sam. Nie odczepi się od pierwszej chwili aż do momentu wyschnięcia farby - będzie sprawdzać, nękać, upewniać się, że dostanie swoją dolę.

- Owszem, tak. To człowiek bardzo sympatyczny.

- Czego chce?

- Cezanne'a.

- Wiem, że Cezanne'a, na litość boską. Villiers powiedział mi, zanim do ciebie zadzwoniłem. Którego?

- Jeszcze nie wiem.

Holtz chrząknął. Cena falsyfikatu zależała od obrazu. Jak mogli przez cały wspólnie spędzony wieczór nie

mówić o pracy. Starał się nie zdradzać irytacji.

- Kiedy się dowiesz?

- Jutro. Przychodzą do pracowni o dziesiątej, a potem...

- Przychodzą? Kto taki? Myślałem, że to tylko Pine.

- O nie. Przyprował z sobą parę... młodego człowieka i dziewczynę.

Holtz poczuł dreszcz niepokoju, zadygotał.

- Nazwiska... jak się nazywają?

- Mężczyzna nazywa się Kelly. Andre Kelly. Dziewczyna ma na imię Lucy. Jej nazwiska nie pamiętam.

Holtz zamilkł, słyhać było tylko jego ciężki oddech.

- Holtz? Jesteś tam?

- Musisz się wynieść, zabrać obraz i wynieść się z mieszkania. Dzisiaj. Zaraz.

- Dlaczego? Nie rozumiem.

Holtz zaczerpnął tchu. Kiedy się odezwał, z trudem powstrzymywał zniecierpliwienie, jak dorosły, który próbuje przekonywać uparte dziecko.

- Zabierz obrazy. Pójdź do hotelu. Jak się zameldujesz, zadzwoń i powiedz mi, gdzie jesteś. Będę czekać pod telefonem. Czy to jasne?

Franzen spojrział na zegarek.

- Wiesz, którą tutaj mamy godzinę?

- Na litość boską, sprawa jest poważna. Zrób, jak mówię. Natychmiast.

Franzen popatrzył na niemą słuchawkę w swojej ręce i wzruszył ramionami. Miał ochotę zlekceważyć telefon i położyć się do łóżka, górę wzięła jednak zawodowa ostrożność. Holtz mógł być wszystkim, nie był jednak panikarzem. A powiedział, że sprawa jest poważna. Franzen odłożył słuchawkę i poszedł wyjąć dwa płótna z kryjówki.

Holtz siedział w swoim gabinecie i podniecony wystukiwał małymi stopkami w czarnych zamszowych półbutach rytm na dywanie. Ten cholerny fotograf. Co on, u diabła, robi w Paryżu? Powinien być w Hongkongu.

- Skarbie? - Kamilla stała w drzwiach, ociekając srebrem paciorków, dramatyczna w swym najpoważniejszym wieczorowym makijażu, cała gotowa wspierać dobroczynny cel przyjęcia. - Skarbie? Spóźnimy się.

- Wejść i zamknij drzwi. Nigdzie nie idziemy.

Rozwścieczony, nagle całkiem trzeźwy Franzen spiesznie szedł cichą o tej nocnej godzinie ulicą w stronę zaułka, gdzie wynajmował garaż. W jednej ręce niósł torbę podróżną, w drugiej dużą aluminiową teczkę. Zawierała dwa płótna owinięte w warstwy gąbki i plastiku z bąbelkami powietrza: „Kobietę z melonami”, pędzla Paula Cezanne'a i „Kobietę z melonami” pędzla Nico Franzena. Łączna wartość: sześćdziesiąt milionów dolarów plus drobne.

Normalnie myśl o samotnej nocnej wędrownicy bocznymi uliczkami Paryża z tak cennym bagażem budziłyby w Holendrze spore obawy. Kiedy jednak skręcił w mroczny zaułek, wszelka nerwowość, jaką mógłby skądinąd odczuwać, ustąpiła miejsca rosnącej złości, w pewnym stopniu na siebie samego. Nigdy nie lubił Holtza, nigdy mu nie ufał. W branży mówiło się, że jeśli ktoś podaje Rudolfowi Holtzowi rękę, powinien później policzyć palce. A mimo to on dokładnie wypełnia rozkazy Holtza - rezygnuje z ciepłego łóżka, z widoków na intratną pracę, jest marionetką w rękach małego człowieka, dotkniętego galopującą paranoją. Co za sprawa może być taka poważna? Pine'a sprawdzono; to autentyczny dealer, dobrze znany w świecie sztuki. I podejrzewany o uczciwość. Tego Villiers nie omieszkał powiedzieć. Czy taki człowiek wydałby kogoś w ręce policji? Wykluczone.

Franzen przystanął przed drzwiami garażu i gmerał przy kłódce, czemu szeroko otwartymi, ciekawymi oczami przyglądał się kot o wystrzępionych uszach. Holender syknął na niego, bo pamiętał, jak kot sąsiada dostał się do pracowni i wyostrzył pazury na całkiem znośnym, schnącym właśnie Seuracie. Franzen nie cierpiał kotów. Nie miały za grosz szacunku dla sztuki.

Po otwarciu drzwi i zapaleniu światła zamierzył się nogą na kota, który przycupnął, gotowy wskoczyć na zakurzoną maskę Citroena

DS. Pod ścianami garażu stały dziesiątki starych płócien i blejtra-mów, uszeregowanych mniej więcej chronologicznie łupów z setek wypraw na pchle targi i wyprzedaje umeblowania domów; był to surowiec pracowitego fałszerza. Grubas przecisnął się obok samochodu, załadował bagaż i wyjechał na ulicę. Warkot dieslowskiego silnika, pracującego na luzie, odbijał się echem od ścian zaułka, kiedy Franzen wracał, aby zgasić światło i zamknąć kłódkę. Kot z bezpiecznej odległości rzucił mu pełne wyrzutu spojrzenie. Franzen wyruszył na poszukiwania noclegu.

O tej porze, po pierwszej w nocy, nikt nie chciałby kołatać do drzwi hotelowych. Holender krążył po brudnych uliczkach za Gare de Lyon, pogrążony w tęsknych rozmyślaniach o apartamencie w „Crillonie”. Zakładał, że pracownicy hoteli dworcowych przywykli do gości, którzy zjawiają się o dziwnych godzinach. Taki był zmęczony, że na widok migoczącego szyldu „Hotel Leon Tout Con-fort”, z wolnym miejscem do zaparkowania naprzeciwko, potrafił odczuć jedynie wdzięczność.

Portier, senny Algierczyk z tranzystorowym radiem i wymięto-szonym egzemplarzem magazynu „Lui”, najpierw wziął gotówkę, potem wręczył gościowi klucz i ruchem głowy wskazał słabo oświetloną kondygnację betonowych schodów, pokrytych wyłysiałym pomarańczowym chodnikiem. Franzen ruszył

wąskim korytarzem, przesyconym kwaskowatą wonią, i otworzył drzwi pokoju, który tej nocy miał mu służyć za dom: żelazne łóżko, mocno poplamiona, gruba bawełniana kapa, dwie cienkie, oklapnięte poduszki; szafa w ścianie nieudolnie przerobiona na łazienkę; komoda i nocny stolik o powierzchniach dawno popalonych papierosami; spleśniały plakat z wieżą Eiffla nad łóżkiem, a w poprzek słowo MERDE, wypisane zdecydowanymi, gniewnymi kapitalikami przez jakiegoś poprzedniego gościa. W niczym nie przypominało to elegancji i wygód u „Luca-sa-Cartona”.

Franzen wsunął teczkę pod łóżko, po czym w torbie podróźnej poszukał zeszytu z adresami i numerami telefonów. Odruchowo sięgnął w stronę nocnego stolika i dopiero później zdał sobie sprawę, że aparaty nie należą do wyposażenia pokoi hotelowych.

Gdyby w wyglądzie łóżka było coś choć trochę zachęcającego albo przynajmniej higienicznego, może odłożyłby rozmowę do rana. Zwlókł się jednak ze swoim zeszytem na dół, aby stawić czoło portierowi, który ledwie podniósł oczy znad rozkładówki, popchnął aparat w jego stronę i pstryknięciem przełącznika uruchomił mały mechanizm na ladzie, rejestrujący czas i koszt połączenia. Holtz odpowiedział po pierwszym dzwonku.

- Gdzie jesteś? Podaj mi numer.

- Nie warto. Wziąłem to zapchłone wyro tylko na tę noc. No, więc o co chodzi?

- O Kelly'ego, faceta, który był z Pine'em. Widział, jak wynoszą obraz z domu Denoyera.

- Więc?

- Coś podejrzewa. Jak myślisz, dlaczego jest z Pine'em? Jak myślisz, dlaczego jest w Paryżu? Mógłby wszystko nam spieprzyć.

Portier obrócił czasopismo bokiem, żeby pod innym kątem popatrzeć na uśmiechającą się do niego młodą damę, która wyglądała jak napełniona sprężonym gazem. Zapalił papierosa. Franzen przymknął oczy, bo nie lubił dymu.

- Nie rozumiem. Pine to nie Interpol; jest dealerem i jeśli wykonam dla niego pracę, zostanie zamieszany. Nie będzie...

- Nie musisz rozumieć. Dostajesz pieniądze za malowanie, nie za myślenie. Teraz posłuchaj. Nie chcę, żebyś się zbliżał do swojej pracowni. Po prostu zniknij i daj mi znać, gdzie jesteś. I zapomnij o robocie dla Pine'a.

Franzen, przygryzając wąsy, usiłował zapanować nad złością.

- Proszę mnie, żebym zapomniał o kupie forsy.

- Mówię ci: zrobisz coś dla Pine'a, a jesteś skończony.

- Nie lubię pogróżek, Holtz. Czy też to obietnica?

Holtz posłuchał szmerów na linii i spróbował złagodzić ton głosu.

- Nico, Nico, czemu tak się kłócimy? - Holtz, wciąż jowialny, odkąd się dowiedział, że obrazy są w posiadaniu Holendra, starał się rozładować napięcie. - Pomyśl o wszystkich pracach, jakie wykonaliśmy razem... o wszystkich, jakie razem wykonamy. Bądźmy rozsądni, co? Jutro przylatuję do Paryża. Wszystko sobie obmyślimy. Zostaw swój numer u „Ritza”.

Franzen rozejrzał się po ciasnej, obskurnej recepcji, z wyfłuszczoną plastikową rośliną na ladzie, z portierem, który liżąc palec przewracał kartki swojego magazynu.

- U „Ritza” - powtórzył.

- Zobaczymy się jutro wieczorem, mój przyjacielu. Nie zapomnij przynieść obrazów.

Franzen zapłacił za połączenie i wrócił do swojego pokoju. Wysypał zawartość kieszeni na nocny stolik, następnie przez chwilę wpatrywał się w wizytówkę Cyrusa Pine'a, z jego hotelowym numerem telefonu, nabazgranym na odwrocie, w tę pamiątkę pracy, której nigdy nie dostanie. Z niesmakiem obejrzał łóżko, chyba w ostatnich czasach zajmowane przez kolejne osoby z łupieżem. Nie chciał narażać się na ryzyko i zanurzać w pościeli, więc w ubraniu położył się na kapie i z oczami wbitymi w sufit rozmyślał o Holtzu. Cóż to za gnojek.

- Ten holenderski gbur - powiedział Holtz. Wściekłym wzrokiem obrzucał Kamillę, która z podkulonymi nogami siedziała na fotelu. Utemperowaną Kamillę, jeszcze niezdolną przyjść do siebie po chłości słownej, jaką jej przed chwilą wymierzył. Kamilla obserwowała jego wymanikiowane białe palce, bębniące w blat biurka, głowę ukrytą w ramionach, twarz ściągniętą gniewem - widziała wściekłego gnoma w smokingu.

Przerwała milczenie głosem dość niepewnym:

- Może coś mogłabym zrobić?

Holtz wstał, dłonie płasko położył na blacie biurka, jakby przemawiał na zebraniu.

- Zarezerwuj na jutro bilety na concorde do Paryża. Zadzwoń do „Ritza” i zamów pokój.

- Chcesz, żebym poleciała?

- Możesz się przydać. Choć raz.

Kamilla wywnioskowała z jego miny, że nieroztropnie byłoby to komentować. Chwila jest niestosowna, mówiła sobie. A poza tym trzeba też dostrzegać dobre strony, skarbie. Kwiecień w Paryżu. Poszła zadzwonić i wziąć się do pakowania. Wiosna jest taka trudna, myślała. Nigdy nie wiadomo, jakiego figla spleta pogoda.

Holtz usiadł i powtarzał sobie w pamięci rozmowę z Franzenem. Kretyn, chyba nie widzi, jak trudna jest sytuacja. Na tym polega kłopot z rzemieślnikami, niezależnie od ich kwalifikacji: nie myślą. Albo raczej myślą wyłącznie o swoich błahych sprawach, nigdy nie ogarniają całego obrazu, nie interesują się

przyszłością. Cierpią na brak wyobraźni. Gdyby dopuścić do dalszego zamieszania, gdyby Denoyer wykrył kiedyś, że zrobiono drugi falsyfikat, gdyby Pine i ten fotograf zaczęli gadać, skutki mogłyby się okazać katastrofalne.

Holtz rozpatrywał alternatywę. Z jednej strony dalsze życie w luksusie, uprzywilejowana egzystencja dzięki napływającym co roku milionom. Z drugiej komplikacje, Bóg wie jakie przykrości ze strony Denoyera, rozgłos, zaszargana reputacja Rudolfa Holtza i przekreślone całe lata pracy. Wystarczy spojrzeć na Villiersa, aby się przekonać, jak bezlitosny potrafi być świat sztuki, kiedy któryś z jego przedstawicieli osunie się z piedestału. Być winnym to oczywiście nie grzech; ale zostać nakrytym to dla człowieka ruina.

W rzeczywistości ruina bynajmniej nie zagłębiała jeszcze Holtzo-wi w oczy, lecz nie zamierzał do tego dopuścić. Niezwykle problemy domagały się niezwykle rozwiązań. Popatrzył na zegarek i sięgnął po słuchawkę. Ile powinien zaproponować? Siedemdziesiąt pięć? Sto? Czekał na połączenie, kręcił głową, przerażony wysokimi kosztami prowadzenia interesów. I tego nie da się nawet odliczyć od podatku.

Telefony o nietypowych godzinach były zawodowym ryzykiem. W jego fachu - na służbowej wizytówce Bruno Paradou figurował jako szef agencji ochroniarskiej - panika należała do rzeczy normalnych. Klienci zawsze się niecierpliwili, czasem wpadali w desperację. Mimo to o trzeciej nad ranem humor miał nie najlepszy, toteż warknął w słuchawkę tak, że mógłby odstraszyć każdego interesanta, z wyjątkiem najbardziej zdeterminowanego.

- Paradou? Tu Holtz. Mam coś dla ciebie.

- Attends. - Paradou porzucił łóżko i cicho pochrapującą żonę, po czym przeszedł do aparatu w salonie. Spojrzał na zegarek, wziął papierosy, notatnik i przygotował się - jak zawsze, ilekroć miał do czynienia z Holtzem - na przewlekły spór o zapłatę. - Je vous ecoute.

Holtz określił rodzaj pracy, kładąc nacisk na pośpiech. Paradou w myślach podnosił cenę, kiedy powtarzał szczegóły i szykował się na nieuniknione targi.

- To warte trzydzieści tysięcy - powiedział Holtz.

- Od łebka?

- Oszalałeś? Za wszystkich.

- Niemożliwe. Dajesz mi tylko parę godzin na przygotowanie - muszę się dostać do środka, rozejrzeć, załatwić materiały. Wielki pośpiech, wielkie ryzyko, wysoka cena. C'est normal.

Holtz westchnął. Nie miał wyboru, o czym dobrze wiedział.

- Twoim zdaniem wysoka cena... to byłoby ile?

- Sto tysięcy.

Rozległ się skowyt, jaki wydałoby obolałe zwierzę, po czym Holtz opanował się na tyle, aby wymamrotać:

- Pięćdziesiąt.

- Siedemdziesiąt pięć.

- Twardy z ciebie facet. Będę w Paryżu jutro wieczorem, u „Ri-tza”. Zadzwoń tam do mnie.

Paradou ubrał się i zaczął przeglądać sprzęt, który w jego przekonaniu będzie potrzebny. Ten mocno zbudowany, krępy mężczyzna, z czarnymi włosami nadal ostrzyżonymi en brosse, jak przez cały czas służby w Legii Cudzoziemskiej, po raz pierwszy zwrócił na siebie uwagę Holtza kilka lat wcześniej, niedługo po przejściu do cywila, kiedy pracował w charakterze ochroniarza u różnych sławnych osobistości. Wieczorem po aukcji dzieł sztuki odbywało się przyjęcie, a ówczesna klientka Paradou, wielokrotnie rozwiedziona aktorka filmowa, chciała się odczepić od natrętnego dziennikarza z rubryki plotek. Na Holtzu duże wrażenie wywarła dyskretna sprawność, z jaką Paradou złamał dziennikarzowi nos i wezwał do niego karetkę pogotowia. Od tej pory Holtz kilka razy angażował goryla, kiedy interesy wymagały jego szczególnych umiejętności.

Dzisiejsza praca była jednak inna, znacznie bardziej ambitna od zwykłego zastraszania czy łapania paru kości, toteż Paradou przyłapał się na tym, że nuci wesoło, zamykając torbę na suwak. Zwykła przemoc, choć tak przyjemna, już nie wystarczała. Potrzebował wyzwania, czegoś, co pozwoli mu wykorzystać całą wiedzę zdobytą w Legii. I oto trafia się szansa, dobry sprawdzian zdolności planowania i fachowości, nie wspominając już o zapłacie. Jedno nie ulega wątpliwości; w wybranym przez siebie zawodzie awansuje o stopień wyżej.

Ze swego mieszkania na Montparnasse jechał na rue des Saints--Peres niespełna dziesięć minut, bo ulice były puste i spokojne. Prowadził ostrożnie, zatrzymywał się pod światłami, żeby nie zauważył go jakiś nadgorliwy mały flik, przyczajony w bocznej uliczce. Miejsce do zaparkowania znalazł o pięćdziesiąt metrów od domu Franze-na. Spojrzał na zegarek. Czwarta rano. Wolałby mieć więcej czasu. Naciągnął lateksowe rękawiczki, sprawdził zawartość swojej torby, zamknął samochód i poszedł, bezgłośnie poruszając się na gumowych podszewkach.

Budynek typowy, taki jak wiele w tej okolicy, z trzech stron otaczał podwórze, od ulicy oddzielone wysokim murem z solidnymi

dwuskrzydłowymi drzwiami. W mur wprawiony był elektroniczny blok klawiszowy, a kod wejściowy zmieniał się co miesiąc dla zapewnienia mieszkańcom bezpieczeństwa. Paradou uśmiechnął się w ciemnościach. Gdybyż wiedzieli, biedni głupcy. Wszyscy właściciele domów w Paryżu byli tacy sami: zbyt powolni i skąpi, aby dotrzymywać kroku nowoczesnej technologii. Wyjął z futerału wąskie pudełeczko, umieścił na bloku klawiszowym, włączył i odczytał sześć cyfr, które błysnęły na małym ekranie. Usunął pudełko, wystukał kod wejściowy, a ciężkie drzwi otworzyły się do środka pod naciskiem jego ręki.

Przez chwilę stał w cieniu, czuł przyjemny szum adrenaliny i rozglądał się po podwórzu. Jedyne jego oświetleniem była lampa nad frontowymi drzwiami. Przysadziste kształty skrzynek z kwiatami odcinały się głębszą czernią od bruku, nie świeciło się w żadnym z okien na górze, zasłoniętych okiennicami. Jak dotąd wszystko w porządku.

W dziesięć sekund znalazł się pod frontowymi drzwiami, bez trudu otworzył staromodny zamek wytrychem. W świetle, wpadającym do sieni przez okienko nad drzwiami, dostrzegł w jej głębi rower oparty o ścianę oraz wdzięczny łuk kamiennej klatki schodowej. Wszedł po dwóch kondygnacjach na górne piętro, a w drzwiach po prawej stronie podestu znalazł kolejny prymitywny zamek, który potrafiłby otworzyć ośmioletni chłopiec. Paradou pokiwał głową. Ludzie mają przesadne zaufanie do tych kruchych kawałków żelastwa.

Po zamknięciu za sobą drzwi ostrożnie postawił torbę na podłodze. Do tej pory była to łatwizna. Teraz zaczyna się część interesująca. Zapalił latarkę.

Snop światła omiótł duży pokój, długości może czterdziestu stóp i niemal takiej samej szerokości. Pod świetlikiem w pochyłym suficie stały sztalugi i olbrzymi stół roboczy, zawalony garnkami na pędzle, nożykami do skrobania palety, tubkami i słoiczkami farby; znajdowały się na nim rolki płótna, stare żeliwne cache-clou z gwoździami i pinezkami różnych rozmiarów oraz wyszczerbiona mosiężna popielniczka, pełna niedopałków cygar. Spłowiały, poplamiony farbami niebieski kombinezon zwisał ze sztalug jak wymiętoszony samobójca.

Za miejscem do pracy znajdowała się kanapa i fotele, ustawione wokół niskiego stolika. Piętrzyły się na nim stosy książek i gazet, stała też nietknięta filiżanka kawy i bombka brandy. Paradou ruszył

dalej, minął stolik, przy którym jadał Franzen, i wszedł do wąskiej kuchni, oddzielonej od reszty pokoju marmurowym blatem. Obejrzał kuchenkę, po czym kiwnął głową na znak aprobaty. Lubił gaz. Tkwiły w nim możliwości.

Sypialnia i łazienka, z jednej strony krótkiego korytarzyka, ani go nie zainteresowały, ani nie natchnęły, toteż wrócił do głównego pokoju. Podniósł kieliszek, powąchał, łyknął; żadnej ostrości, tylko rozchodzące się ciepło bardzo dobrego, bardzo starego koniaku.

Przez szparę w żaluzji popatrzył z wysokości drugiego piętra na podwórze. Gdyby mógł nakazać trojgu ludziom, aby wzięli się za ręce i dali nurka, byłoby po robocie. Wszędzie poskręcane karki. Doskonała okazja. Pociągnął następny łyk koniaku i zaczął odmierzać kroki z kuchni na środek pokoju. Gdzie stanęliby we troje? Uwagę jego przykuł stary, spękany obraz, oparty o nogę stołu roboczego. Podniósł płótno, ustawił na pustych sztalugach, prawie całe zakrył udrapowanym kombinezonem, tak że widoczny pozostał tylko jeden róg. Nikt nie oparłby się pokusie odsłonięcia obrazu.

Paradou przez godzinę przysposabiał pracownię, klnąc na brak czasu. Gdyby miał jeszcze dobę na zdobycie odpowiednich detonatorów, mógłby wszędzie pozostawiać pułapki i wrócić do łóżka przed rozpoczęciem fajerwerków. Ale świt już za pasem i wkrótce budynek zacznie się budzić ze snu. To będzie musiało wystarczyć. Znów sprawdził plastik, jeden ładunek przyczepiony do sztalug, drugi z boku do pieca, oraz łączący je przewód, przylepiony taśmą do listwy tuż nad podłogą albo wepchnięty w szparę między deskami. Wrócił do kuchni, zapalił gaz, zmniejszył płomyk i tak ustawił zatrząsk drzwi frontowych, żeby się otwały po przekręceniu gałki. Ostatni raz rozejrzał się dokoła, delikatnie zamknął drzwi i zszedł na dół.

Zjawia się o dziesiątej, powiedział Holtz. Zostało mu niewiele ponad cztery godziny, ale przez ten czas zdąży się doczekać miejsca do zaparkowania gdzieś bliżej budynku. Najpierw jednak kawa. Skierował się w stronę bulwaru Saint-Germain, kiedy na nocnym niebie zaczęły się pokazywać pierwsze szare zapowiedzi dnia.

Franzen siedział na brzegu łóżka. Miniona noc była przykra i męcząca - co jakiś czas zasypiał, lecz zaraz się budził, bo wciąż powracał obraz Holtza, jak maskaron przycupniętego u „Ritza” na walizce z pieniędzmi i kiwającego palcem. Mały drań nie zasługuje na taką robotę, jaką wykonuje dla niego Franzen. Holender przeciągnął się z ziewnięciem, pomacał guzy na swoich plecach. Następnie potarł zarost na brodzie i uśmiechnął się, bo nagle odzyskał świetny humor. Choć ranek może być przykry i przygnębiający, olbrzymia pociecha kryje się pod łóżkiem. On ma obrazy.

Pogwizdywał na schodach, kiedy szedł oddać klucz. Po wyczerpaniu źródła rozkoszy, jakich dostarczał magazyn, portier wpatrywał się w ulicę znudzonymi, kaprawymi oczami.

- Tej nocy nigdy nie zapomnę - powiedział Franzen. - Przyjęcie, pokój, obsługa... wszystko znakomite.

Portier zapalił papierosa, nie uzewnętrzniając wzruszenia wywołanego komplementami.

- Wziął pan prysznic?

- Nie było ręczników.

- Mam ręczniki. Dwadzieścia franków.

- Gdybym wiedział... - rzekł Franzen. Z torbą podróżną w jednej ręce, a sześćdziesięcioma milionami dolarów w drugiej skręcił za rogiem w stronę Gare de Lyon, aby zjeść śniadanie i zastanowić się nad najbliższą przyszłością.

Siedział w głównej hali dworcowej w kawiarni i kontemlował swojego croissanta, złocistego pośrodku, brązowego z obu końców, takiego, jak lubił. Umoczył go w kawie, odgryzł kawałek i żuł zadumany. Jak na croissanta dworcowego, ten był niezwykle dobry, wciąż pełen wczesnej porannej świeżości, a gorąca, mocna kawa dodawała sił. Od wewnątrz Franzen poczuł się trochę bardziej ludzki. Zewnętrzna powłoka natomiast, co zauważył, spojrzawszy w dół na wymiętą koszulę i poplamiony sosem krawat, wymagała zadbania. Golenie, prysznic, czysta koszula - a będzie gotów zaatakować ten dzień. Zaraz po śniadaniu znajdzie odpowiedni hotel.

Myśl o hotelach prowadziła do „Ritza” i, co nieuniknione, do perspektywy ponownego spotkania z Rudolfem Holtzem. To nigdy nie sprawiało Franzenowi przyjemności, teraz zaś, po wyeksmitowaniu z mieszkania, złość wzbierała w nim jak zgaga. Przez telefon Holtz potraktował go nie lepiej niż lokaja; Franzen dochodził obecnie do wniosku, że ich wzajemne stosunki nigdy właściwie nie układały się inaczej. Holtz miał zlecenia, miał pieniądze i lubił zmuszać ludzi, aby przed nim skakali. To leżało w jego naturze.

Franzen starannie strzepnął z wąsów okruchy i stwierdził, że się uśmiecha. Tym razem może być inaczej. Popatrzył na teczkę wetkniętą pod stół. Ma obrazy, dopóki zaś je ma, jest górą. Choć wykonywał podejrzaną zawód, do pewnego stopnia odznaczał się prawością i nawet do głowy by mu nie przyszło, że mógłby podjąć próbę wymuszenia zapłaty większej niż umówiona. Ale musi istnieć uczciwy kompromis. Franzen nie jest wyłączną własnością Holtza. Powinno mu przysługiwać prawo do uczciwego zarabiania na życie, do fałszowania dla innych, kiedy nadarzy się okazja. A taka okazja właśnie się trafiła albo trafi się za parę godzin, kiedy Pine z przyjaciółmi przyjdzie do jego mieszkania.

Franzen pogrzebał w kieszeniach i wyciągnął wizytówkę Pine'a. Spojrzał na zegarek: o tak wczesnej porze cywilizowany człowiek musi jeszcze spać. Franzen ma mnóstwo czasu, zdąży znaleźć hotel i zadzwoni dopiero stamtąd. Ta decyzja podniosła go na duchu, więc pozbierał bagaże i wyszedł z dworca na ulicę, gdzie powitało go blade słońce nowego i na pewno lepszego dnia.

Bruno Paradou siedział w samochodzie i obserwował budzącą się do życia rue des Saints-Peres. Drzwi się otworzyły, stanął w nich mężczyzna w średnim wieku, w okularach na nosie - pesymista w płaszczu nieprzemakalnym i z parasolem na przekór niezmiennemu, bezchmurnemu błękitowi porannego nieba. Podniósł wzrok, zerknął na zegarek i zdecydowanym krokiem pośpieszył w stronę bulwaru: pasażer metra, dla Paradou nieprzydatny.

Dopiero po upływie pół godziny zobaczył to, na co czekał. Na drugą stronę wąskiej ulicy przeszła kobieta i otworzyła samochód niemal na wprost domu Franzena. Paradou podjechał, aby zablokować miejsce, na którym parkowała. Kobieta wsiadła, zaczęła dokładnie analizować makijaż w lusterku, następnie wyjęła z torebki szczotkę przyczesła i tak już starannie ułożone włosy. Z tyłu za Paradou zniecierpliwiony czekaniem kierowca nacisnął na klakson. Paradou wystawił przez okienko rękę, zgiętą w zwyczajowym geście, po czym też zatrąbił. Kobieta obejrzała się na niego z bezgraniczną pogardą. Po przesadnym namyśle wyjęła ciemne okulary, włożyła je i odjechała od krawężnika.

Bon. Paradou zaparkował, zgasił silnik i rozpostarł na kierownicy egzemplarz „Soldier of Fortune”, czasopisma odczytanych najemników. Ponieważ znał zaledwie parę słów po angielsku, na ogół przypadkiem zasłyszanych w barach, subtelności artykułów były dla niego niezrozumiałe. Przepadał natomiast za ilustracjami i reklamami. Jak pilny inwestor nad „Wall Street Journal”, tak on ślęczał nad ogłoszeniami - fascynującymi, choć zaledwie po części rozumianymi - o nowych, ulepszonych narzędziach zniszczenia. Dzisiaj zainteresował go najpierw nowy Glock 26, sfotografowany w zagłębieniu męskiej dłoni. Kalibru dziewięć milimetrów, z magazynkiem na dziesięć naboji, wagi 560 gramów, dał się ukryć w grubej, sprawdzonej w walkach, szwajcarskiej wojskowej skarpecie. Po przerzuceniu kilku kartek Paradou zatrzymał się na innych reklamach: noża, który mógł przeciąć trzycalową, wolno zwisającą linę konopną, kuszącej subskrypcji „Machine Gun News”, reniferowych rękawic z ołowianymi knykami, noktowizorów każdej wielkości, kursu szkoleniowego dla snajperów, kamizelek kuloodpornych. Jakim cudownym krajem jest ta Ameryka, myślał, przypatrując się zdjęciu blondynki, ubranej w pas z ładownicami, automat i nic więcej. Czasami podnosił wzrok, lustrował ulicę, chwilowo jednak nie miał nic innego do roboty, jak myśleć, na co wyda pieniądze. Siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów to sporo, nawet zważywszy wygórowaną cenę uzi.

Tak jak to często bywa, zmiana czasu okazała się silniejszym bodźcem niż jakikolwiek budzik. W połączeniu z ekscytującą myślą o dalszym zwiedzaniu Paryża tuż po siódmej sprowadziła Lucy i Andre na śniadanie do hotelowej jadalni. Przy stoliku zastali już Cyrusa, rumianego, roztaczającego lekką korzenną woń, zajętego kartkowaniem „Herald Tribune”.

- Dzień dobry, moi drodzy - powiedział. - Nie spodziewałem się ujrzeć was tak wcześnie. Co się stało ze śniadaniem, które podawano do łóżka? Romantyczne gotowane jajko z widokiem na dachy Paryża, kapka szampana w soku pomarańczowym...

Lucy nachyliła się i pocałowała go w policzek.

- Chyba najwyższy czas, żebyśmy ci znaleźli dziewczynę.

- Tak, poproszę. - Cyrus zdjął okulary i dopiero wtedy rozejrzał się po sali. - Widzicie tu coś odpowiedniego? Bogatą wdowę o anielskim usposobieniu, z jędrnym, obfitym biustem i mieszkaniem na Ile Saint-Louis. Umiejętność gotowania mile widziana, ale niekonieczna, musi mieć poczucie humoru.

- Próbowaleś z obsługą na piętrze? - zapytał Andre.

Po przyniesieniu dzbanków kawy, kiedy sala zaczęła się wypełniać, przystąpili do omawiania kwestii niewątpliwie najprzyjemniejszej na świecie: co robić w taki piękny dzień w Paryżu? Oczywiście byli umówieni na dziesiątą i może czeka ich lunch z Franzenem, jeśli wszystko dobrze pójdzie. Dysponują natomiast popołudniem, ale Cyrus i Andre w dobrej wierze zasypali Lucy tyloma propozycjami, że wprowadzili ją w ogromne zakłopotanie: trzeba zobaczyć Musee d'Orsay, widok z łuku Triumfalnego, Sacre-Coeur, bateau mouche, cafe „La Palette”, gdzie Andre spędził prawie cały okres studiów, piramidę w Luwrze, miejsce wiecznego spoczynku Oscara Wilde'a, winiarnię Williego i tak dalej i dalej. W końcu umilkli i dopuścili Lucy do głosu.

Oznajmiła, że miałaby ochotę - naprawdę by chciała, chociaż może się to wydać staromodne - tylko przez jeden dzień być typową turystką. Pola Elizejskie, wieża Eiffla, Sekwana. A najszcześniejszą turystką w Paryżu byłaby, gdyby Andre zrobił jej zdjęcia. Posłałaby je babci Walcott, która nigdy nie odbyła podróży dłuższej niż z Barbadosu do Port of Spain, kiedy dwadzieścia lat temu jej siostrzeniec żenił się z dziewczyną z Trynidadu. Czy to zbyt okropne, spytała, niespokojnie patrząc na dwóch mężczyzn.

- Jakże pragnę znów zobaczyć wieżę Eiffla - rzekł Cyrus. - A ty, drogi chłopcze?

Andre w milczeniu wpatrywał się w Lucy. Nie była pewna, czy Cyrus mówi poważnie, czy z niej pokpiwa, a wyraz jej twarzy zdradzał słodką powagę.

- Nie żartujesz? - spytała.

- Nigdy nie żartuję o tak wczesnej porze. Więc co zaliczymy najpierw, przed spotkaniem z Franzenem? Rzekę czy wieżę?

Wygrała rzeka. Wyszli z hotelu tuż po ósmej, niestety na parę minut przed telefonem do monsieur Pine'a z propozycją pewnych zmian w porannym programie. Chłopiec hotelowy pobiegł bulwarem w nadziei, że

przekaze wiadomość, ale się spóźnił. Nie dostrzegł Pine'a wśród ludzi spieszących do pracy.

Tak się złożyło, że poszli w przeciwnym kierunku, bocznymi uliczkami powędrowali do ulubionych przez Andre zakątków Paryża, w okolice rue de Buci, gdzie każdy dzień wydaje się dniem targowym.

Atmosfera panuje tu raczej taka jak w ruchliwym mieście prowincjonalnym niż w stolicy. Stragany wylewają się na ulicę; pod stołami na kozłach psy kłócą się o zrzynki; straganiarze wymieniają ze stałymi klientami powitania, zniewagi, troskliwe zapytania o zdrowie w ogóle, a stan wątroby w szczególności. W powietrzu wyczuwa się wielki apetyt, imponuje obfitość serów, pieczywa, kiełbas; i warzyw wszelakiego kształtu i koloru, począwszy od krępych kartofli, zwanych rats, a skończywszy na fasolce niewiele grubszej od zapałki, tak świeżej, że się łamie. Za straganami są zwykłe sklepy, wśród nich wiele traiteurs, z galantynami, zapiekankami, plackami i małutkimi pysznymi ptaszkami, ułożonymi i prezentowanymi na wystawach jak dzieła sztuki, którymi są w istocie. Na jednym rogu przez cały sezon stoją beczki ostryg, a obok mężczyzna, który skórzanymi rękami wyciąga je z muszli i układa na warstwach tłuczonego lodu. I zawsze są kwiaty - niezwykle mnóstwo kwiatów, które dostarczają przechodniowi najrozmaitszych rozkoszy węchowych: frezje o odurzającym zapachu, wilgotne płatki, paprocie wydzielające delikatną woń zieleni.

Przy jednym ze straganów Lucy dokonała swego pierwszego paryskiego zakupu: nabyła dwie najczerwieńsze różyczki i włożyła je mężczyznom do butonierek.

- No - powiedziała - teraz jesteście gotowi do fotografii. - Rue Dauphine poszli nad rzekę i na najstarszy paryski most, który dość naturalną koleją rzeczy nazywa się Pont Neuf.

Raczej głupio spędzili godzinę na pozowaniu dla babci Walcott. Lucy wybierała tło, a Cyrus i Andre na przemian robili zdjęcia. Każdy z mężczyzn, kiedy nie trzymał aparatu, występował w roli statysty albo żywego rekwizytu - Andre na jednym kolanie klęczący przed Lucy, Cyrus łypiący okiem zza słupa latarni - aż wreszcie Andre zdołał nakłonić żandarma, aby pstryknął ich troje, jak trzymają się pod ręce na moście, z Ile de la Cite widoczną na dalszym planie. Żandarm zgodził się później pozować z Lucy, która nie wątpiła, że o tej fotografii będzie głośno na Barbadosie.

- To śmieszne - zauważyła, kiedy szli na rue des SaintsPeres, spotkać się z Franzenem. - Zawsze mówi się tylko, jacy źli są pary-żanie. Wiecie? Trudni, opryskliwi, butni. Ale czy potraficie sobie wyobrazić nowojorskiego glinę robiącego komuś zdjęcie?

- Należy pamiętać o jednym - rzekł Andre - że najpierw są Francuzami, dopiero potem gliniarzami. A prawdziwy Francuz zawsze zada sobie trud dla ładnej buzi.

- Masz rację. - Cyrus popatrzył na zegarek i przyspieszył kroku. - Czy to daleko? Nie chcę się spóźnić.

Skręcali właśnie z nadbrzeża w rue des Saints-Peres, gdy Paradou wyrzucił ostatni z mnóstwa petów przez okienko, odłożył czasopismo - z rogami kilku kartek pozaginanymi, aby w przyszłości łatwiej mógł je odszukać - i skoncentrował uwagę na ulicy. Wypatrywał osób odpowiadających opisowi Holtza: wysokiego, dobrze ubranego mężczyzny o srebrzystych włosach; młodszego mężczyzny, ciemnego, przypuszczalnie z aparatem fotograficznym; szczupłej, przystojnej czarnoskórej dziewczyny. Takie trio

łatwo jest wytropić. Paradou wyjął urządzenie detonujące z torby ustawionej obok niego na przednim siedzeniu. Za pięć dziesiąta. Już lada moment.

Zobaczył, jak pośpiesznie idą od strony bulwaru Saint-Germain, ożywieni, z roześmianymi twarzami, a dziewczyna właściwie musi podbiegać, bo nie dotrzymuje kroku mężczyznom. Obserwował ich beznamiętnie - widząc w nich nie tyle ludzi, ile żywe siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów - całkowicie pochłonięty synchronizacją. Pięć minut po wejściu na podwórze, może trochę później, jeśli stary powoli wspina się po schodach. A potem - paf!

Przystanęli przed drzwiami, Cyrus wyjął z kieszeni świstek papieru z zapisanym przez Franzena kodem, po czym go wystukał. Odstąpił na bok, aby przepuścić tamtych dwoje, i z półśmiechem poprawił muszkę. Paradou widząc, jak drzwi się za nimi zamykają, sprawdził godzinę. Postanowił dać im siedem minut.

Przeszli przez podwórze i właśnie szukali domofonu, kiedy drzwi frontowe otworzył mężczyzna z rowerem i telefonem komórkowym przy uchu. Otarł się o nich, prawie nie patrząc, a oni dostali się do sieni. Cyrus jeszcze raz spojrzął na kartkę papieru: górne piętro, drzwi po prawej ręce. Rozpoczęli wspinaczkę po kamiennych schodach. Na ulicy zaś Paradou nie odrywał oczu od zegarka, niecierpliwymi palcami bębniąc w kierownicę.

- Cóż - powiedział lekko zadyszany Cyrus, już na górnym podejście - gdyby człowiek mieszkał tak wysoko, utrzymywałby dobrą kondycję. - Andre zastukał dwa razy; głęboki dźwięk starej mosiężnej kołatki odbił się od ścian; drzwi ustąpiły, ledwie dotknął gałki, i pozostały uchylone. Czekali niezdecydowani.

- Musiał zostawić je otwarte dla nas - rzekł Andre. - Chodźcie. - Popchnął drzwi. - Nico! Dzień dobry. Jesteśmy.

Przystanęli na progu i zmarszczyli nosy, bo wszędzie pachniało gazem. Poczuli się trochę tak, jakby wchodzili na cudzy teren, gdy wtem za ich plecami zaszurały w sieni czyjeś nogi w rannych pantoflach.

- U est parti - poinformowała ich cienkim, podejrzliwym głosem niemłoda kobieta, która wyjrzała z sąsiedniego mieszkania. Wytarła ręce spłowiałym fartuchem, bystrymi starczymi oczami wodząc po Cyrusie, Lucy i Andre. - Parti ~ powtórzyła.

- Wiedział przecież, że przyjdziemy - rzekł Andre.

Starucha wzruszyła ramionami. To oczywiście możliwe, przyznała, lecz artyści są nieobliczalni i nie należy na nich polegać. Zeszłej nocy był tu ruch. Ona ma lekki sen, rozumiecie, bynajmniej nie kieruje się wulgarną ciekawością, chociaż jak każdy poczuwa się do obowiązku względem sąsiada - słyszała hałasy. Takie, jakby ktoś wychodził. I, pociągnęła nosem, najwyraźniej ktoś zostawił zapalony gaz. Pokręciła głową, zgorzonna takim niedbalstwem i tajemniczym zachowaniem.

- lis sont comme ca, les artistes. Un peu dingues.

Paradou zobaczył na zegarku, że upłynęło siedem minut, więc wduślił przycisk.

Podwójny wybuch przetoczył się przez mieszkanie niczym trzask pioruna, zniszczył kuchnię, jeden koniec pracowni, świetlik, okna i sporą część dachu. Siła eksplozji, spotęgowana przez gaz, wyrwała drzwi frontowe z zawiasów, a czteroosobową grupę na podeście odrzuciła na ścianę. Ciszę, która później zapanowała, przerwał tylko łoskot spadającej bryły tynku i cichy szmer osiadającego gruzu.

Z ust starej kobiety popłynął potok wyzwisk, kiedy spróbowała odepchnąć oszołomionego Cyrusa, wspartego na jej piersiach. Andre trząśł głową, bo chciał się uwolnić od bolesnego dzwonienia w uszach. Wtem Lucy położyła mu rękę na plecach.

- Nic ci nie jest? - spytali równocześnie. Oboje z ulgą kiwnęli głowami.

- Cyrus? A tobie?

- Absolutnie nic. Tak mi się zdaje. - Ostrożnie poruszył ramieniem, prowokując staruchę do kolejnego skrzeku. - Przepraszam, madame. Proszę o wybaczenie. Andre, powiedz jej, że nie miałem zamiaru.

Powoli się rozplatali. Andre pomógł jej wstać.

- Musimy wezwać strażaków - zwrócił się do niej. - Czy pozwoli nam pani skorzystać z telefonu?

Stara przyzwalająco kiwnęła głową, a rękami instynktownie przygładziła przód fartucha.

- Zanim wejdziecie, proszę wytrzeć nogi.

Huk eksplozji, nawet z tej odległości, przytłumiony przez ściany, zabrzmiał uspokajająco donośnie. Paradou był ciekaw, kiedy przyjedzie policja i straż pożarna. I karetka pogotowia. Musiał zobaczyć ciała. Już trzech czy czterech przechodniów przystanęło przed budynkiem; wpatrzeni w zamknięte drzwi na podwórze, informowali się nawzajem, że niewątpliwie zdarzył się bardzo poważny wypadek. Wkrótce zamkną ulicę i nie będzie się można wydostać. Paradou postanowił narazić się na mandat, zostawić samochód na bulwarze Saint-Germain i wrócić pieszo w charakterze kolejnego wampira, zwabionego cudzym nieszczęściem.

Z blazowanym dźwiękiem klaksonów skręcił w ulicę wóz strażacki i zatrzymał się przed budynkiem. Za nim nadszedł jeden wóz policyjny, potem drugi. W parę minut umundurowane postacie przejęły władzę nad tym terenem, pootwierały dwuskrzydłowe drzwi, pood-pychały gęstniejący tłum gapiów, pozawracały samochody, powy-krzykiwały instrukcje przez zgiełkliwe, trzeszczące radiotelefony. Paradou włożył ciemne okulary i dołączył do grupki gapiów na chodniku, po przeciwnej stronie niż dom.

Mundury rozdzieliły się u szczytu schodów: oddział strażaków ostrożnie poruszał się w zburzonym mieszkaniu Franzena, a dwóch funkcjonariuszy policji weszło do sąsiedniego mieszkania, aby przesłuchać czwórkę ocalonych. Starucha już na tyle oprzytomniała po wstrząsie, że wrząc oburzeniem robiła starszemu funkcjonariuszowi - znużonemu mężczyźnie o brodzie pokrytej pod koniec dyżuru niebieskim zarostem - wykład na temat haniebnego braku odpowiedzialności swego sąsiada. Jeszcze teraz czuć gaz. Wszyscy mogli zginąć, zostać ecrases, a ona jest kobietą nerwową i samotną, jeśli nie liczyć kota.

Policjant wzdychał i potakiwał z takim współczuciem, na jakie umiał się zdobyć. Strażak wetknął głowę w

drzwi, aby donieść, że wśród szczątków nie natrafiono na ciała. Rozpoczęła się długa procedura spisywania nazwisk, adresów i zeznań.

Paradou na próżno czekał na spodziewaną karetkę. W miarę jak upływały minuty, a nic nie zapowiadało dalszych rozrywek, takich jak wybuchy, rozlew krwi czy widok trupów, gapie stopniowo się ulatniali, on zaś coraz bardziej rzucał się w oczy. Rozejrzał się po ulicy w poszukiwaniu schronienia, po czym dał nura do antykwariatu i zajął stanowisko przy oknie, gdzie niby wertował oprawny w skórę tom Racine'a.

Funkcjonariusz policji przerzucił kartki swojego notatnika i podniósł głowę, przecierając oczy.

- Chyba nie muszę już państwa zatrzymywać - zwrócił się do Andre. - Jeden z moich ludzi odwiezie was do hotelu. Przykro mi, że mieliście w Paryżu takie niemiłe przeżycie. - Starej kobiecie powiedział: - Dziękuję za współpracę, madame.

- Pewnie będziecie chcieli, żebym przysłała na komisariat - rzekła z ciężkim westchnieniem sumiennej obywatelki. - I jeszcze mnie przesłuchacie.

- Nie, madame. To nie będzie potrzebne.

- Och. - Stała w drzwiach i z wyrazem lekkiego rozczarowania patrzyła, jak odchodzą.

Paradou zobaczył trzy żywe cele, zakurzone, lecz poza tym całe i zdrowe, gdy opuszczały budynek i zajmowały tylne siedzenie policyjnego samochodu. Równocześnie wybiegł strażak, aby usunąć z drogi wóz strażacki.

- Merde! - Paradou rzucił książkę na stół, wypadł za drzwi i pognął do swojego samochodu. Księgarz obserwował jego zniknięcie z uniesionymi brwiami. Racine nie każdemu się podoba, to wiedział, lecz tak gwałtowna reakcja na dzieło wielkiego pisarza należała do rzadkości.

Wóz policyjny mknął bulwarem Saint-Germain. Paradou z pewnym trudem trzymał się za nim i klął bez przerwy. Putain policjanci. Jeżdżą jak wariaci. Kręcąc głową poszukał papierosa. Jak tamci mogli przeżyć taki wybuch? Widział teraz na tylnym siedzeniu całą ich trójkę. Starszy mężczyzna obracał się i mówił coś do dziewczyny. Siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów siedzi sobie w odległości niespełna dziesięciu metrów. A jakby Paradou miał mało kłopotów, pełny pęcherz nie dawał mu spokoju. Gdzież oni, u diabła, jadą?

Z wizgiem opon wóz policyjny skręcił z bulwaru w prawo, w rue du Bac, i w boczną ulicę, po czym zatrzymał się przed hotelem „Montalembert”. Coraz bardziej nieswój Paradou musiał znaleźć gdzieś, gdziekolwiek, miejsce do zaparkowania.

- Nie wiem jak wy - powiedział Cyrus - ale ja mógłbym się czegoś napić. - Kiedy wchodzili do baru, podbiegła do nich dziewczyna z recepcji.

- Monsieur Pine? Dostaliśmy to, ledwie pan wyszedł. Próbowaliśmy pana dogonić - wdzięcznie wzruszyła ramionami - ale był pan za szybki.

Cyrus podziękował jej i na głos odczytał z kartki wiadomość: „Ubolewam nad zmianą planów. Proszę zadzwonić do Relais Chri-stine, 43-26-71-80. Franzen”.

- Teraz nam to mówi - rzekł Andre. - Myślisz, że wiedział?
- Przekonamy się niebawem. Zamów mi największą wódkę, jaką tu mają, dobrze? Zaraz wracam.

Idąc do baru, Andre i Lucy właściwie nie zauważyli krzepkiego, lekko podenerwowanego mężczyzny w ciemnych okularach, który ich wyprzedził, zamówił ricarda i jednym tchem spytał o męską toaletę. Kiedy usiedli, Andre stał brud z policzka Lucy.

- Przykro mi z powodu tego wszystkiego, Lulu. Jesteś pewna, że nic ci się nie stało?

Kiwnęła głową.

- Mieliśmy szczęście, prawda? Gdyby ta starsza pani nie wyszła... Andre wziął w obie ręce jej dłonie, zimną i wciąż jeszcze drżącą. -Rum?

Uśmiechnęła się.

- Podwójny. Bez lodu.

Paradou wrócił do baru i usadowił się możliwie najdalej od Andre i Lucy. Ukryty za gazetą, przeżuwał swój zawód. Tego skądinąd ponurego ranka zdołał jedynie ustalić, gdzie mieszkają. Ale jak długo tu będą? Dopóki są w hotelu, nie sposób zaaranżować wypadku. Holtz przyleci do Paryża wieczorem. Może on potrafi coś zaproponować. Tymczasem nie pozostaje nic innego, jak trzymać się w pobliżu. Na migi zamówił następnego ricarda i nad krawędzią gazety patrzył, jak starszy mężczyzna dołącza do tamtych dwojga.

Cyrus pociągnął długi haust wódki i z poważną miną pochylił się do przodu.

- Niestety niewiele to dało - rzekł ściszym głosem. - Franzena przeraziła wiadomość o wybuchu. Był absolutnie wstrząśnięty, pytał, czy nic wam się nie stało... i wciąż chce się z nami spotkać. Ale nie w Paryżu.

- Dlaczego?

- Twierdzi, że to zbyt niebezpieczne. Zląkł się czegoś... czy kogoś. Ale nie chciał powiedzieć, czego czy kogo. Mówił tylko, że Paryż jest dla nas wszystkich niezdrowy.

Andre poczuł, że Lucy wsuwa mu dłoń do ręki.

- No, co do dnia dzisiejszego miał rację. Gdzie chce się z nami spotkać?

Cyrus, wpatrzony w swojego drinka, kiwał głową.

- Obiecał nas zawiadomić, ale teraz wyjeżdża z Paryża. Mamy po prostu siedzieć na miejscu, dopóki nie zadzwoni... och, i jeszcze coś: uważa, że ktoś może nas śledzić.

Instynktownie rozejrzeli się po sali, ale wszystko wydało im się normalne. Przy kilku stolikach siedziały pary lub grupki osób,

uśmiechniętych, zagadanych, zamawiających lunch. Chuda, blada dziewczyna, sama przy dwuosobowym stoliku, obserwowała hol, od czasu do czasu spoglądając na zegarek. Mężczyzna w kącie czytał gazetę. Myśl o niebezpieczeństwie w tak miłym otoczeniu, wśród odprężonych, zwyczajnych ludzi, wydawała się śmieszna.

- Powiedz mi, Cyrus - odezwał się Andre. - Czy mu uwierzyłeś? Dlaczego ktoś miałby nas śledzić?

- Oto co czuję. - Cyrus dokończył wódkę. - Po pierwsze, jak mówiłem, sprawiał wrażenie całkiem szczerego. I dość przestraszonego. Po drugie, nie trzeba być geniuszem, aby się domyślić, że ma to związek z obrazem. A po trzecie - zwrócił się do Lucy - moim zdaniem byłoby lepiej, gdybyś wróciła do Nowego Jorku. Ty też, Andre. To ja chcę zrobić interes. Wy nie musicie się w to mieszać.

Popatrzyli na siebie bez słowa, a szmer rozmów jakby się nasilił i rozbrzmiał wyraźniej.

- ... więc powiedziałam mu - mówiła kobieta z amerykańskim akcentem - że jeśli w przyszłym miesiącu nie będzie rozwodu, wyniosę się stąd, zapomnę o obietnicach i rozpieprzę ich gniazdko. Jezu, ci Francuzi. Jak sądzisz? Łosoś wygląda dobrze.

Lucy zachichotała.

- Ależ odpręż się, Cyrus. To był wypadek. Czułeś gaz. Albo może ktoś miał złość do Franzena. Tak czy owak, ja zostaję. - Popatrzyła na Andre. - Zostajemy, prawda?

Andre uśmiechnął się na widok szczęki, wysuniętej z determinacją, wręcz wojowniczo.

- Według mnie Lulu ma rację. Nie odczepisz się od nas, Cyrus.

- Nic nie mogłoby mi sprawić większej przyjemności - oświadczył Cyrus i rzeczywiście dostrzegli wyraz zadowolenia na jego twarzy, nowy błysk w jego oku, kiedy głęboko, ze stanowczością zaczerpnął tchu. - Chyba pamiętam, że była tu gdzieś bardzo miła knajpka „Cherche-Midi”, a nic tak nie zaostrza apetytu jak porządny wybuch. Pójdziemy?

Paradou pozwolił im przejść przez hol i ruszył za nimi dopiero wtedy, kiedy znaleźli się na ulicy. Zgłódniał po pastisie, a dziesięć minut później, widząc, jak wchodzi do restauracyjki, jeszcze dotkliwiej odczuł głód. Zaczekał, bo chciał być pewny, że dostali stolik, po czym ruszył na poszukiwanie sandwicza.

Franzen włączył się w ruch na obwodnicy z uczuciem ulgi, że oddala się od Paryża, Holtza i cierpiących na psychozę morderców z bombami. Podejrzewał - nie, był nieomal przekonany - że eksplozja to sprawa Holtza, li tylko ostrzeżenie, aby chronił obrazy. Błogosławione te obrazy, myślał Franzen; przenośna polisa ubezpieczeniowa na życie. Teraz potrzebna mu jest bezpieczna przystań, czas do namysłu, czas na podjęcie decyzji. A wiedział, że musi podjąć zasadniczą decyzję: Holtz albo Pine. Trzeba wybrać między

jednym a drugim.

Całkiem nieświadomie skierował się na południe, wybrał autostradę A6, która przez Burgundię prowadzi do Lyonu. Południe wywoływało dobre wspomnienia. Zwłaszcza z jednym wiązała się możliwość uniknięcia obecnych kłopotów, gdyby zastosował odpowiednią taktykę, przeproszał, schlebiał, zmyślał, był pełen niewątpliwej rozpaczy i przemożnego uroku. Cofnął się myślami do les Crottins, wioski zagubionej gdzieś między Aix a górami, do walącego się domu z widokiem na Mont Sainte-Victoire. I do Anouk.

On i Anouk byli razem sześć lat - z przerwami, co trzeba powiedzieć, spowodowanymi wybuchowym temperamentem Anouk. Ta kobieta wszystko miała wspaniałe: głos, wzrost, poglądy, szopę włosów, prezencję, posągowe kształty. Krytycy mogliby ją nazwać zbyt wywa-towaną. Rubens by się z tym nie zgadzał, Franzen również. W sumie te wspólnie przeżyte lata były dobre, jeszcze lepsze zaś wydawały się w różowym zabarwieniu, w jakim czas ukazuje takie rzeczy.

Do zerwania doszło przed osiemnastoma miesiącami z powodu czegoś, co Franzen uważał za drobne nieporozumienie artystyczne. Pewnego popołudnia Anouk niespodziewanie wróciła do domu i przytąpała Franzena na układaniu w odpowiedniej pozie smukłych kończyn wiejskiej dziewczyny, która zgodziła się służyć mu za modelkę. Wszystko byłoby dobrze, gdyby dziewczyna miała na sobie coś jeszcze, prócz girlandy kwiatów we włosach (potrzebnej do obrazu w stylu romantycznym), albo gdyby spoczywała w przyzwoitszy sposób, czy gdyby Franzen był w spodniach. W tej sytuacji Anouk wyciągnęła wnioski i wyrzuciła ich z domu. Franzen nie zdołał wyjaśnić, że zaszło nieporozumienie, więc stropiony wyniósł się do Paryża.

Czas jednak to wielki uzdrowiciel, mówił sobie, kiedy z przedmieść Paryża wyjeżdżał na otwartą przestrzeń, a ona, mimo zmiennego usposobienia, ma złote serce. Zadzwoni do niej wieczorem i jako zbieg zda się na jej łaskę. Ledwie pojednał się z nią w wyobraźni, wybiegł myślami do sprawy przyziemniejszej, do czego nawoływał olbrzymi żołądek, pusty od samego rana i zanoszący głośną skargę.

Po brudzie minionej nocy i tragicznej jeździe bez lunchu Franzen uważał, że zasługuje na rekompensatę w postaci znakomitego obiadu i czystego łóżka. Znak wskazujący drogę do Macon i Lyonu pobudził jego pamięć. Gdzieś między tymi miastami, trochę na zachód, leżało Roanne. W początkowym okresie zażyłości on i Anouk zjedli tam w „Troisgros” lunch, który teraz mu się przypominał, lunch z wieloma cynowymi dzbanami chłodzonego domowego fleurie i siedmioma pysznymi daniami, lunch, po którym ledwie zdołali przejść na drugą stronę ulicy do hoteliku na wprost restauracji. Jakież zbieg mógłby chcieć więcej? Jak gdyby dla potwierdzenia mądrości tej decyzji stopa Franzena mocniej nacisnęła pedał gazu.

Popołudnie bynajmniej nie poprawiło nastroju Paradou. Odważył się pójść po samochód i przesiedział w nim dwie godziny pod „Cher-che-Midi”. Kiedy nareszcie Andre ze swoim towarzystwem wyszedł z restauracji, Paradou pojechał za ich taksówką pod wieżę Eiffla i znów czekał bez końca. Teraz są na Łuku Triumfalnym, a jemu zabrakło papierosów. Z telefonu komórkowego zadzwonił do żony i spytał, czy nie ma dla niego wiadomości. Chciała się upewnić, czy przyjdzie na obiad. Skądże, na litość boską, ma wiedzieć? Najgorsza ze wszystkiego była świadomość, że nic im nie może zrobić w miejscach tak

uczęszczanych, tyle że zdoła poinformować Holtza, gdzie byli. Dochodziła piąta. Jak długo jeszcze zamierzają się gapić na putain Pola Elizejskie?

- Jeszcze jedno powinnaś dziś zobaczyć - powiedział Cyrus do Lucy, kiedy stali u stóp łuku Triumfalnego, od którego promienieście rozbiegały się wokół nich szprychy wielkich alei. - Każda dziewczyna, będąc pierwszy raz w Paryżu, powinna wypić drinka w barze „Ritza”, a ja mogę ci pokazać cinq d sept. Andre się uśmiechnął,

- Jesteś rozpustnikiem, Cyrus.

- Gotowa jestem na jakąś rozpustę u „Ritza” - oświadczyła Lucy. - Ale co to takiego?

- Stara tradycja - odrzekł Cyrus, poprawiając muszkę. - Przez dwie godziny, od piątej do siódmej, paryscy dżentelmeni zabawiają swe kochanki, a potem wracają do żon. To bardzo dyskretne, bardzo romantyczne.

- Romantyczne? - Lucy zeszywniała; gdyby tak bardzo nie lubiła Cyrusa, pewnie by się najeżyła. - To straszne. Nic bardziej szowinistycznego nie zdarzyło mi się słyszeć.

Cyrus patrzył na nią rozpromieniony.

- Oczywiście. - Uniósł brwi. - Ale przecież Chauvin był Francuzem, choć bardziej znanym z patriotyzmu niż z nastawienia do seksu.

Lucy pokręciła głową.

- Niezły z ciebie numer, Cyrus. To szczęśliwa godzina w życiu Francuza, mam rację? Czy muszę robić coś specjalnego?

- Naturalnie, moja droga. Musisz pięknie wyglądać, założyć nogę na nogę i pić szampana.

Lucy zastanawiała się przez chwilę. Przechyliła głowę.

- To mi odpowiada. Andre miał inne plany.

- Muszę załatwić pewną drobną sprawę - oznajmił - i nie jestem ubrany odpowiednio do „Ritza”. Lulu, jeśli podciągniesz tę spódnicę parę cali wyżej, dadzą ci dodatkowe fistaszki.

Pokazała mu język i wzięła Cyrusa pod rękę.

- Nawet nie spytam, dokąd idziesz.

- To niespodzianka - odparł Andre. - Zobaczymy się w hotelu.

Paradou z nachmurzonym czołem patrzył, jak grupka rozchodzi się w różne strony: starszy mężczyzna z dziewczyną idą do taksówki, młody mężczyzna do stacji metra na Avenue Kleber. To przesądziło. Nie mógł tutaj zostawić samochodu ani zabrać go na dół. Będzie miał oko na tych dwoje.

Lucy i Cyrus utkwili w godzinie szczytu na Polach Elizejskich, tymczasem zaś Andre wyszedł z metra na Saint-Germain i ruszył do antykwariatu na rue Jacob. Sklep, jak wiele podobnych do niego w sąsiedztwie, urządzono z myślą o zwabieniu z ulicy turystów - pomysłowo, w pozornym nieładzie rzucone przedmioty, na ogół pokryte kurzem, wszystkie bez cen. Porcelanowe misy, sztucze sznurkiem powiązane w pęczki, mosiężne wieszaki, lustra poczerniałe ze starości, filiżanki dla wąsali, hebanowe i srebrne guziki, stare korkociągi ze szczoteczkami w trzonkach, kielichy i kieliszki do likieru, małe podnóżki, tabakierki, pudełka na pigułki, kryształowe kałamarze stały pomieszane w przypadkowy sposób, jakby od niechcenia. Naiwni poszukiwacze żywili wybaczalne przekonanie, że w swej wędrówce po sklepach znaleźli ostatnie miejsce, gdzie trafi im się okazja, dziś już rzadka. Andre, zaprzyjaźniony z właścicielem od czasów studenckich, znał prawdę: ceny były tu wyśrubowane, a najlepsze rzeczy zawsze na zapleczu.

Popchnął drzwi i przeszedł nad leżącym ciałem wypchanego kota, które zawsze wprowadzało w błąd ufnych turystów.

- Hubert! Obudź się! Przyszedł twój pierwszy od rana klient. Najpierw ktoś chrząknął za ekranem z laki, po czym ukazał się

właściciel, wysoki mężczyzna - wyjątkowo wysoki jak na Francuza - o kręconych brązowych włosach i oczach na pół przymkniętych dla ochrony przed dymem cygara, które trzymał w ustach. Jego białej koszuli bez kołnierzyka i starym prążkowanym spodniom dodawał stylowości równie stary jedwabny krawat w barwach klubu krykie-towego Marylebone.

Hubert wyjął z ust cygaro i z wyciągniętą do przodu głową wyszedł z mroków na front sklepu.

- Czy to ten, za kogo go biorę? Obecny Lartigue? Przyszły Car-tier-Bresson? A może to ty, Andre, ty salaucP. Co tu porabiasz?

Rosły, woniejący hawańskimi cygarami mężczyzna uściśnął Andre, po czym odsunął go na odległość ramienia i zlustrował.

- Jesteś za chudy. Ale zapominam, że mieszkasz w Nowym Jorku, gdzie cywilizowany człowiek nie ma co jeść. Jak się miewasz?

- Dobrze, Hubert. A ty?

- Och, z trudem zdobywam środki do życia. Po staremu ledwie mi starcza.

- W dalszym ciągu trzymasz konia wyścigowego? Hubert mrugnął.

- Trzy, ale nie mów Karinę.

Dwaj mężczyźni opowiadali sobie, co u każdego z nich słychać, a robili to ze swobodą typową dla starych przyjaciół: powtarzali

dowcipy z brodą, czule lżyli się nawzajem, plotkowali o wspólnych znajomych i snuli domysły na temat ich żon. Dopiero pół godziny później przeszli do tego, co stanowiło cel wizyty Andre.

Andre tłumaczył, czego szuka, Hubert zaś słuchał uważnie; po czym kiwnął głową.

- Trafiłeś pod właściwy adres, mój przyjacielu. - Podprowadził Andre do biurka dawnego wspólnika. - Proszę, spójrz na te. - Z szerokiej środkowej szuflady wyjął dużą tacę, pokrytą nadjedzonym przez mole pluszem. Gładkim, szybkim gestem iluzjonisty, który wyciąga szczególnie szlachetnego białego królika, zerwał z niej nakrycie. - Voild\ Najlepszy wybór w Paryżu, chociaż sam to mówię.

Andre popatrzył przez mgiełkę dymu cygarowego i gwizdnął.

- Gdzie tyle ich nakradłeś? Hubert wzruszył ramionami.

- Widzisz tu coś, co ci się podoba?

Andre uważnie przyjrzał się rzędom małych srebrnych ramek do fotografii, wyłącznie secesyjnych, z optywowymi, pięknie wypracowanymi krzywiznami, gładkimi, lśniącymi i miękkimi. Hubert do każdej ramki włożył sepiową fotografię - Dietrich, Garbo, Piaf, Jeanne Moreau, Bardot - a na honorowym miejscu pośrodku tacy znajdowało się właśnie to, czego Andre pragnął: ramka, nieco większa od innych, doskonała replika żelaznych znaków umieszczonych nad stacjami metra. We wzór wplatało się jedno słowo, napisane zwykłymi wersalikami: PARYŻ. Z ramki patrzyła uśmiechnięta Jo-sephine Baker, z loczkiem w kształcie czarnego półksiężyca na czole. Andre wziął ramkę do ręki, poczuł ciężar srebra i jedwabisty kutnerek od spodu.

- Ta mi się podoba - powiedział.

Hubert-przyjaciel natychmiast przeobraził się w Huberta-zawo-dowego antykwariusza, który przygotowuje klienta na szok wywołany ceną.

- Ach, tak. Ale masz oko, Andre. Tych zrobiono bardzo niewiele... przez ostatnich pięć lat widziałem zaledwie dwie, a prawie nigdy nie są w tak doskonałym stanie. Wszystko jest oryginalne, włącznie ze szkłem. - Rosły mężczyzna kiwał głową, obejmował ramieniem i ścisnął Andre. - A tobie za darmo dorzucę zdjęcie.

Cena - Hubert wspomniał o niej ze smutkiem, jak o czymś narzuconym przez siłę wyższą - była zgodna z przewidywaniami Andre, który musiał wydać na ramkę wszystkie pieniądze, jakie miał

przy sobie. Po ładnym zapakowaniu prezentu w stronę wydartą z aktualnego numeru „Le Monde” i po ubiciu interesu Andre pożyczył od przyjaciela sto franków i poszedł oblać zakup kieliszkiem wina w „Cafe Florę”.

Z ramką ciężącą w kieszeni marynarki siedział i obserwował wieczorną defiladę na bulwarze. Z góry się cieszył na minę, jaką zrobi Lulu, kiedy dostanie upominek. Uśmiechnął się na tę myśl w przypiływie szczęścia. To cudowne patrzeć, jak Lulu zakochuje się w Paryżu.

- Czy zawsze jest tu taki ruch? - Lucy i Cyrus powoli jechali rue Sa-int-Honore, a taksówkarz poirytowanym, monotonnym głosem komentował głupotę innych kierowców i żandarmów, którzy tylko zwiększają tłok, twierdził, że w takich warunkach nie sposób zarobić na życie. Nie musieli rozumieć słów;

był to lament przedstawiciela jego zawodu, międzynarodowy hymn boleści, taki sam jak w każdym dużym mieście świata.

Cyrus zapłacił za kurs na rogu rue Royale i zostawił kierowcę jak korek w butelce, sam zaś postanowił dojść z Lucy na piechotę. O sto jardów za nimi Paradou wysiadł ze swojego wozu i zobaczył, że skręcają w lewo, na plac Vendôme. Niezdolny się poruszyć, niezdolny się wydostać, z powrotem wsiał do samochodu i zatrąbił zawieszony.

- A teraz, moja droga - powiedział Cyrus, kiedy szli w stronę wysokiej kolumny, upamiętniającej triumfy militarne Napoleona - zaprowadzę cię wszędzie, byle nie w pobliże Armaniego, a to dla twojego dobra. Widzisz tam jego sklep? Powód niejednej błędnej oceny zdolności kredytowej. Zawsze się zdumiewam...

- Zaczekaj, Cyrus. - Lucy wzięła go pod rękę i wciągnęła do bramy. Głową wskazała główne wejście do „Ritza” i czarnego mercedesa u stóp schodów. Stojący przy otwartym bagażniku mężczyzna i kobieta w ciemnych okularach obserwowali wyładunek bagażu. Kobieta była o głowę wyższa od swego towarzysza.

- Znam ją - powiedziała Lucy. - To ona wydaje czasopismo. Kamilla.

Cyrus bacznie przyjrzał się im dwojgu.

- No, niech mnie licho. A ja znam jego. To Rudolf Holtz. - Ze zmarszczonym czołem rozcierał brodę i patrzył, jak tamci wchodzą do hotelu. - Bardzo byłabyś zawiedziona, gdybyśmy zrezygnowali

z „Ritza”? Chyba powinniśmy wrócić do hotelu i odszukać Andre. Chodź, po drodze opowiem ci o Holtzu.

Paradou dwukrotnie objechał plac Vendôme dookoła, zaparkował i jeszcze raz go obszedł, zanim pogodził się z faktem, że ich zgubił. Przed „Ritzem” spojrzął na zegarek. Jeżeli Holtz nie miał opóźnienia, już powinien być. On i jego siedemdziesiąt pięć tysięcy. Mer-de, co za dzień! Prostując plecy i klnąc swój pęcherz Paradou wbiegł po stopniach do hotelu.

Kamilla telefonowała w dwa miejsca, jak po każdym przyjeździe do hotelu: prosi obsługę o przyniesienie szampana na górę, a jakąś miłą osobkę z działu gospodarczego o zabranie wszystkich jej ważnych sukni do przedziutkiego odświeżenia i wyprasowania. Poczuła się teraz mniej więcej normalnie, bo w podróży Holtzowi znacznie poprawił się humor, jak zawsze, kiedy wszystko szło po jego myśli. I chociaż nie zdradzał żadnych szczegółów, było jasne, że oczekuje dobrych wiadomości, na co wskazywały napiwki, które wręczał pracownikom hotelu zamiast udawać, że ich tam nie ma. Teraz dzwonił, paplał tą swoją cudowną francuszczyzną, kiedy przynoszono szampana. Kamilla postawiła przed nim kieliszek i wyjrzała oknem na jeden ze swoich ulubionych widoków; tutejszy butik Armaniego sprawiał tyle radości. Wpadnie tam jutro z rana, kiedy Rudi będzie brać masaż.

Holtz zakończył rozmowę i właśnie sięgał po kieliszek, kiedy zadzwonił telefon.

- Tak - powiedział. - Przyślijcie go na górę.

- A teraz, skarbie - zapytała Kamilla - gdzie chciałbyś zjeść dziś wieczorem?

Holtz podniósł kieliszek do nosa.

- Och, w jakiejś zwyczajnej restauracji. W „Taillevent” albo „Grand Vefour”. Ty wybierz. Portier zarezerwuje nam stolik. - Po pierwszym łyku szampana jeszcze czuł na języku mrowienie, kiedy do drzwi apartamentu ktoś zastukał.

Otworzyła je Kamilla. Paradou wszedł do środka jak onieśmielony krab, ledwie skinął głową na powitanie i natychmiast spytał, czy mógłby skorzystać z łazienki.

Kamilla zaczekała, aż zamknie za sobą drzwi.

- A któż to taki? Czy zawsze chodzi w ten sposób?

- Wykonywał dla mnie małą robótkę. - Holtz nie widział powodu,

aby wtajemniczać Kamillę; im mniej osób wie, tym lepiej. Uśmiechnął się przeproszająco. - Niestety nie mówi po angielsku, moja droga, więc nasze spotkanie wyda ci się bardzo nudne.

- Rozumiem aluzję, skarbie. Wpadnę do portiera i z nim załatwię sprawę. - Z ukosa popatrzyła na wchodzącego Paradou, który podciągał suwak w rozporku, uśmiechnęła się do niego grzecznie i cicho zamknęła za sobą drzwi.

- No więc, Paradou. - Holtz odchylił się na oparcie fotela. - Wypij i podziel się ze mną dobrymi nowinami.

Paradou odezwał się dopiero po wypiciu całego kieliszka szampana. A kiedy przemówił, to stylem zwięzłym, rzeczowym, takim, jakim w Legii zawsze meldowano o zwycięstwie bądź klęsce. Czas, szczegóły, okoliczności, wszystko w porządku chronologicznym; żadnych opinii, dużo faktów. Stopniowo zauważał zmianę w wyrazie twarzy Holtza, na której miejsce dobrotliwego wyczekiwania zajęła lodowata irytacja. Po ostatnim słowie Paradou zapadło długie, głębokie milczenie.

- A zatem wiemy - odezwał się wreszcie Holtz - gdzie mieszkają. Tam da się coś urządzić?

Paradou pokręcił głową.

- Nie ma takiej możliwości.

- Nie ma możliwości. - Holtz westchnął. - Czy za sto tysięcy dolarów trudność dałoby się przezwyciężyć?

- Monsieur Holtz, ktoś, komu nie zależy, czy go złapią, zawsze może zabijać ludzi. Fanatycy robią to stale. Tak... naturalnie mógłbym ich zastrzelić, kiedy będą wychodzili z hotelu. Zabić jest łatwo. Uciec - to już inna sprawa. Ponieważ Algierczycy tak się teraz zachowują, w całym Paryżu roi się od policji. - Splótł dłonie na brzuchu. Nie miał nic więcej do powiedzenia.

Holtz wstał i zaczął krążyć po pokoju. Zaistniała przeszkoda, poważna przeszkoda, ale nic nieodwracalnego. Eksplozja to tylko wypadek, jakich setki codziennie zdarzają się w Paryżu. On nie ma z tym nic wspólnego. Będzie musiał wymyślić jakąś wiarygodną historyjkę, kiedy zadzwoni Franzen, to

jednak zrobi bez trudu. Pine i jego przyjaciele natomiast... są zdecydowanie za blisko. W ten czy inny sposób będą musieli zniknąć. A tymczasem należy ich obserwować.

Holtz zatrzymał się przy oknie i ze skrzyżowanymi na piersi rękami wpatrywał się w światła na placu Vendôme.

- Chciałbym, żebyś ich inwigilował. Prędzej czy później trafi ci się okazja. Ale pamiętaj, że masz sprzątnąć wszystkich. Nie chcemy, aby ten, kto pozostanie przy życiu, latał i opowiadał bajeczki. - Odwrócił się i spojrzał na Paradou. - Zrozumiano?

- Dzień i noc? - Paradou przesunął się na krześle, czując w plecach zmęczenie. - Będę musiał wziąć współpracownika. Nowe honorarium starczy jednak na pokrycie kosztów.

Holtz prędko zamrugał oczami, jakby mu ktoś wymierzył policzek. I z wyraźną niechęcią potaknął.

- Wszystkich - powtórzył. Paradou się uśmiechnął.

- Sto tysięcy, d'accorcP.

Zbierał się do wyjścia z uczuciem, że dzień nie poszedł tak całkiem na marne.

- Będziemy w kontakcie.

Andre pogwizdując wszedł do holu hotelowego, a stamtąd do baru. Ku swemu zdziwieniu zobaczył przy stoliku Lucy i Cyrusa, z głową przy głowie.

- Co się stało? - Pocałował Lucy, po czym usiadł. - Zabrakło szampana?

- Zdarzyło się coś nowego, drogi chłopcze. Coś bardzo dziwnego. - Cyrus czekał, aż Andre zamówi trunk.

- Twoja przyjaciółka Kamilla zjechała właśnie do „Ritza” z jadowitym kurduplem o nazwisku Holtz. To dealer. Spotkałem go raz. - Pociągnął nosem. -I całkiem mi wystarczyło.

Andre pochylił się do przodu.

- Widzieli was? Cyrus pokręcił głową.

- Na szczęście Lucy zobaczyła ich pierwsza. A teraz muszę ci powiedzieć, że Holtz ma w naszym gronie opinię dealera, który dokonuje dużych transakcji, niekiedy największych. Na przykład sprzedał Picassa za czterdzieści milionów dolarów. Ale jest coś jeszcze... Tylko pogłoski, nic sprawdzonego... lecz wieść niesie, że na boku trudni się paserstwem. - Cyrus urwał, bo nadchodził kelner z winem dla Andre. - Jak mówiłem, niczego nie stwierdzono, ale mogę w to uwierzyć. Jest małym brutalem całkowicie pozbawionym skrupułów; sporo osób w branży się na nim sparzyło.

- Co on robi z Kamillą? - Andre nigdy nie widział swojej redaktorki w towarzystwie, nic też nie wiedział o jej życiu prywatnym. Tak jak nikt w „KW”, nawet Noel. Stanowiło ono w redakcji źródło wielu domysłów,

niekiedy dość obraźliwych. Jako potencjalnych wielbicieli wymieniano jej fryzjera u „Bergdorfa”, jej osobistego trenera, młodszego Garabediana i rozmaitych wnętrzarzy. Ani razu nie padło nazwisko Holtza.

- Co oni robią w Paryżu? - zastanawiał się Cyrus. - Oto wielkie pytanie. Może na starość stają się podejrzliwy, ale odnoszę wrażenie, że zachodzi tu jakiś związek. To nie może być zbieg okoliczności.

Andre musiał się uśmiechnąć. Cyrus wyglądał jak terier na tropie, czujny, z rozedrganymi brwiami, bębniący palcami po stole, gotów wleźć w najbliższą norę.

- Załóżmy, że masz rację - odparł Andre. - Przypuszczalnie to Franzen będzie mógł nam powiedzieć z całą pewnością. Czy dał znać?

Bębnienie palcami ustało.

- Nie, jeszcze nie. Ale nie tracę nadziei. Fałszerze nigdy nie lubią odrzucać oferty, a on, niezależnie od tego, czy jest związany z Hol-tzem, czy nie, sądzi, że mamy dla niego pracę. Zadzwoń. - Cyrus kiwał głową, aby utwierdzić się w przekonaniu. - Wiem, że zadzwoni. - Ze zwykłym wyrazem lekkiego zdziwienia popatrzył na stojący przed nim pusty kieliszek, a potem na zegarek. - Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać. Co powiecie na prysznic i skromny obiadek?

Lucy wyszła z łazienki w białym szlafroku, o trzy numery na nią za dużym, wycierając ręcznikiem włosy.

- Wiesz co? Cyrusa chyba to wszystko podnieca. Zdecydowanie tryska energią.

Andre wysliznął się z marynarki i sięgnął do kieszeni po ramkę.

- A ciebie?

Lucy potrząsnęła włosami i podeszła do niego, cała w uśmiechach.

- Nie musisz pytać, prawda? - Udrapowała sobie ręcznik na szyi i popatrzyła na paczkę, którą trzymał Andre. - Co to?

- Pamiątka, Lulu. Coś, w co możesz włożyć to zdjęcie ze swoim chłopakiem-żandarmem.

Z nagłym wyrazem powagi wzięła do rąk ramkę i wyczuła jej kształt pod papierem.

- Przepraszam za opakowanie. No, dalej, odwijaj.

Zdarła papier i w osłupieniu, wpatrzona w ramkę, gładziła ją palcami.

- O Boże. Jest piękna, Andre. Dziękuję. - Podniosła na niego zwilgotniałe oczy.

- Nie musisz tu wkładać fotografii żandarma. Wiesz, babcia Walcott, Cyrus dyndający na latarni... - Nie dokończył zdania, bo usta zamknęła mu pocałunkiem ciepła, nie do końca wytarta, słodko pachnąca dziewczyna.

Później, pod prysznicem, kiedy woda siekła go po karku, usłyszał głośnie pytanie Lucy:

- Gdzie dziś idziemy? Zastanawiam się, co włożyć.

- Dobrze byłoby ci w czymś obcisłym, Lulu.

W sypialni stanęła przed lustrem i podniosła do góry leciutką jak piórko sukienkę, którą kupiła już wiele miesięcy temu na wypadek, gdyby nadarzyła się odpowiednia okazja.

- Niebezpiecznie obcisłym? - zawołała znowu.

Franzen zasiadł przy swoim jednoosobowym stoliku, a gdy wpychał serwetkę za kołnierzyk koszuli, miał wrażenie, że mimo wszystko świat nie jest aż taki zły. Zgodnie z jego przewidywaniami, Anouk była zdziwiona telefonem, ale nie wyzuta ze współczucia. Optymista - Franzen zaś na pewno się do nich zaliczał, tak z natury, jak pod wpływem okoliczności - mógłby ją określić mianem ciepłej; ostrożnej, lecz ciepłej. A przynajmniej nie zimnej. Zawiezie jej jakiś przysmak w galarecie z „Troisgros" i trochę kwiatów. Wszystko będzie dobrze. Pozwolił sobie na rozmyślenia o długim prowansalskim lecie, które się właśnie zaczyna, o tych miesiącach słońca i wina rosę, aioli, o soczystości świeżych brzoskwiń, o świetle. Powitał kelnera uśmiechem najwyższego zadowolenia i zajął się kartą. Jutro rano będzie pora na interesy. Jutro rano zadzwoni do Cyrusa Pine'a.

Decyzja o porzuceniu Holtza zapadła nieomal samorzutnie. Pominąwszy osobiste uczucia, jest kwestia mieszkania, zburzonego prawie na pewno za jego sprawą. Franzen musi to wziąć pod uwagę, zanim zwróci obrazy. A kto wie, do czego może prowadzić to nowe zlecenie? Do kilkuset tysięcy franków, może tylko na początek. Tak, z samego rana zadzwoni do Pine'a.

Tuż po siódmej Paradou przyjechał pod hotel Montalembert, aby zluzować Charniera, który stał na chodniku przy samochodzie i przeciągał się z wdzięcznością, informując szefa między jednym ziewnięciem a drugim.

Do powiedzenia miał bardzo niewiele. Widział ich, jak wracali do hotelu około północy, po czym zapanował spokój; nie było na co spojrzeć, dopiero tuż przed szóstą dostarczono świeże pieczywo i patisserie. Pół godziny później wyszło paru gości, którzy musieli zdążyć na poranne samoloty. Poza tym nic. Spokojna zmiana, nie potrzebował się ruszać, łatwy zarobek. Chciałby, żeby zawsze tak było.

Nastawił kołnierz płaszczu dla ochrony przed porannym chłodem, po czym ruszył z miejsca.

- Zostawiam to panu, szefie. Zadzwonię po południu.

Paradou wsiadł do samochodu i otworzył okienko, żeby wypuścić zastarzały smród tytoniu i czosnku. Dobry, solidny facet z tego Charniera, ale przynosi tę cholerną andouillette i je w samochodzie, a tłusty, cuchnący papier zawsze zostawia pod siedzeniem. Paradou wrzucił go do rynsztoka, a rzeczy poukładał

wokół siebie: papierosy i telefon komórkowy na tablicy rozdzielczej, nylonową torbę z całym asortymentem broni na siedzeniu obok, pięciolitrowy zakręcany plastikowy pojemnik na podłodze. Po dwóch wczorajszych napadach paniki nie życzył sobie znów mieć kłopotu z pęcherzem. To była jedna z największych trudności w jego zawodzie, związana z wielogodzinnym inwigilowaniem na ulicy; to i nuda. Ale po dobrze przespanej nocy, z widokami na sześciocyfrowe honorarium po zakończeniu roboty, mógł się troszkę ponudzić.

Niedawno zmyta ulica jeszcze lśniła wilgocią, w powietrzu panowała świeżość, słońce próbowało się przedrzeć przez cienkie warstwy

szarych chmur. Jeden z chłopców hotelowych zamiatał chodnik przed wejściem, drugi podlewał przyszyżone rośliny zimozielone na obrzeżeniu tarasu. Paradou przeniósł z nich wzrok na sąsiedni budynek. Najwyraźniej nie zamieszkanym, z oknami ślepyimi i brudnymi, zamkniętymi na ciężki łańcuch, sprawiał wrażenie tym bardziej zaniedbanego obok tak nieskażonego sąsiada. Może dałoby się włamać do pustego domu, myślał Paradou, przebić się przez ścianę do hotelu... i co potem? Nie. To za głośne, zbyt skomplikowane. Musi przytapać wszystkich razem, nie na ulicy, nie w tłumie, w miejscu takim jak Lasek Buloński. Dlaczego nie pojedą tam pobiegać? Wszyscy Amerykanie uprawiają jogging.

Cyrus się golił, pokonywał niebezpieczne płaszczyzny i zagłębienia tuż pod nosem, kiedy zadzwijał telefon.

- Dzień dobry, przyjacielu. Tu Nico Franzen. Mam nadzieję, że dobrze się czujesz. - Mówił wesoło, z pewnością siebie, całkiem inaczej niż strapiiony Franzen, którego Cyrus słyszał poprzednim razem.

- Cieszę się, że cię słyszę, Nico. Gdzie jesteś?

- Dzięki Bogu, daleko od Saint-Germain. A teraz słuchaj: jadę pod Aix, gdzie zatrzymam się u przyjaciółki. Czy moglibyśmy spotkać się u niej? Z Paryża dojedziecie bez trudu. TGV w cztery godziny dowiezie was do Awinionu, a tam możecie wynająć na stacji samochód.

Cyrus stał krem do golenia ze słuchawki i sięgnął po notes i ołówek.

- Przyjedziemy. Gdzie chcesz się z nami spotkać?

- Podam ci numer, pod którym mnie złapiesz. Zadzwoń już z Aix. Mamy mnóstwo rzeczy do obgadania. - Krótka przerwa, a potem: - Cyrus, czy niczego wczoraj nie zauważyłeś? Nikt was nie śledził?

Cyrus przez chwilę się zastanawiał. Gdyby wspomniał, że widział Holtza, mógłby napędzić Holendrowi strachu. To może poczekać do ich spotkania.

- Nie, stary. Nie zauważyłem niczego.

- Dobrze, dobrze. Masz ołówek? - Franzen podał numer Anouk i słuchał, jak Cyrus go powtarza. - Powiedz mi coś. - Nuta troski w jego głosie wywołała zmarszczkę na czole Cyrusa. - Gdzie jedliście

wczoraj wieczorem?

- W „Brasserie Lipp”.

- Choucroustel

- Oczywiście.

- Świetnie. W takim razie d bientôt.

Cyrus zadzwonił do Andre i Lucy, dokończył golenia, spakował się i pół godziny później pił na dole kawę. Po paru minutach przyłączyli się do niego zaróżowieni, lekko potargani, spragnieni nowin.

- Mówiłem wam, że zadzwoni - rzekł Cyrus, z porannym rumieńcem ciemniejszym wskutek podniecenia.

- Teraz coś osiągniemy. Przykro mi tylko, że młodą Lucy wywozimy z Paryża. - Brwi drgnęły mu przepraszącą. - Ale podobno Prowansja to niezłe miejsce. Sam nigdy nie byłem w Aix. A ty, Andre?

- Są tam najładniejsze dziewczyny na świecie. Studentki. Może nawet ze dwie bogate wdowy. I tobie się spodoba, Lulu. To piękne miasto.

Lucy odęła usta, czego nauczyła się, obserwując paryżanki: dolna warga wysunięta do przodu, kąciki ust opuszczone, mina taka, jakby Lucy wzruszała ramionami.

- Piękne dziewczyny? - powiedziała. - Znosi się na koszmar. Nie moglibyśmy spotkać się z nim gdzieś indziej? W jakimś francuskim odpowiedniku Hoboken? Tam byłoby mi przyjemnie.

Skończyli śniadanie i uregulowali rachunek hotelowy, a przez ten czas Paradou zdążył wypalić pięć papierosów i pożałować, że nie wziął swojego czasopisma. Kiedy zobaczył, jak z bagażami wychodzą na ulicę, serce w nim zamarło. Jadą na lotnisko. Wracają do domu. Z jego stoma tysiącami dolarów. Merde. Ledwie taksówka zatrzymała się przed hotelem, uruchomił silnik i odruchowo sprawdził poziom paliwa.

Taksówka przemknęła na drugą stronę rzeki, lecz zamiast dalej jechać na północny wschód, w stronę Roissy, ostro skręciła w prawo. Paradou z uczuciem wielkiej ulgi włączył kierunkowskaz; widocznie udają się na któryś z dworców, Austerlitz albo Lyon. Po dalszych pięciu minutach stało się jasne, że na Gare de Lyon. Co oznacza, że będzie musiał zostawić samochód w strefie, skąd go odholują. Niech to diabli. Czym jest mandat w porównaniu ze stową? Wolną ręką podniósł z tablicy rozdzielczej telefon i wsadził go do kieszeni, w ślad za taksówką wjeżdżając pod wejście zarezerwowane dla pasażerów TGV. Jeśli już mają bilety, łatwo mu się zgubią. Zostawił samochód dwoma kołami na krawężniku, złapał torbę i wbiegł do hali dworcowej.

Tam zatrzymał się gwałtownie, bo o mało nie wpadł na dziewczynę, która oglądała wyłożone w kiosku czasopisma. Potem zobaczył tamtych dwóch. Ustawili się w jednej z długich kolejek po bilety, przesuujących się powoli, ku wielkiej radości Paradou. Wziął gazetę i z odwróconą głową zajął miejsce w sąsiedniej kolejce.

Dotarł do okienka nieco wcześniej niż oni. Kasjer wpatrywał się w niego, gburowaty i zniecierpliwiony.

- Alors, monsieur!

Metz? Strasburg? Marsylia? Paradou usprawiedliwił się niewyraźnie, po czym odstąpił na bok, udając, że szuka czegoś w torbie. Stał zwrócony plecami do tamtej kolejki i nadstawiał uszu.

Niewiele brakowało, a byłby nie dostyszał, bo spodziewał się, że będą mówić z akcentem amerykańskim, tymczasem zaś Andre paryską francuszczyzną poprosił o trzy miejscówki do Awinionu.

Później jednak zapytał po angielsku:

- Cyrus? Następny odjeżdża za dziesięć minut.

Więc Awinion. Paradou wepchnął się w kolejkę, wściekłym spojrzeniem odpowiedział na skargi kobiety i jazgot jej psa, następnie wetknął pieniądze przez okienko. Miał parę minut do odjazdu. Jeszcze nie warto dzwonić do Holtza. Zaczeka, aż się upewni, że wsiedli wszyscy troje.

Kamilla usilnie starała się być ożywiona i wesoła, co przychodziło jej z ogromnym trudem. Wczorajszy dobry nastrój Rudiego prysnął -na pewno za sprawą tego straszego, nieokrzesanego dzikusa, który zostawił w klozecie podniesioną deskę; ten drobiazg zawsze irytował Kamillę. Obiad w „Taillevent", choć pyszny, nie poprawił im humorów. Przez całe rano Rudi tylko warczał: prawie nie tknął śniadania, nie chciał masażu i naprawdę zachował się bardzo ordynarnie, kiedy zaproponowała lunch z tą zabawną parą, Jean-Paulem i Philip-pe'em. W rezultacie zaczęła żałować, że przyjechała. A teraz Rudi siedzi przy telefonie, jakby był w transie. Ale ona powinna spróbować, nawet jeśli woli nie słyszeć wstrętnych szczegółów.

- Czy rozmowa o tym nie przyniesie ci ulgi, skarbie? Holtz nie odrywał oczu od aparatu.

- Wątpię.

Kamilla zapaliła papierosa, odrzuciła głowę i wydmuchnęła dym w stronę Holtza.

- Rudi, chwilami nie potrafię się oprzeć twojemu chłopięcemu urokowi. Ja tylko staram się pomóc. O co chodzi? O tego Holendra?

Oczywiście chodziło o tego Holendra, który łązi po Paryżu z Cezanne'em wartym trzydzieści milionów dolarów. Tego samego Holendra, który miał zadzwonić i powiedzieć, gdzie jest. Dopóki nie zadzwoni on, dopóki nie zadzwoni Paradou, Holtz może najwyżej siedzieć przy telefonie, uwięziony w „Ritzu". Popatrzył na Kamillę.

- Tak naprawdę to wcale nie chcesz wiedzieć, co?

Kamilla skłoniła głowę, niezdolna się powstrzymać od podziwiania efektu, jaki jej dwubarwne pantofle od Chanel wywoływały na tle dywanu z Aubusson, w kolorach stonowanego różu i zieleni.

- Jeśli mam być szczerą, skarbie, to nie - odparła. - Nie, nie chcę. Chyba polecę na spacer.

Holtz chrząknął.

Pociąg wypełzał już ze stacji, kiedy ostatni pasażerowie przechodzili przez przedziały i rozglądali się za swoimi miejscami. Pilni pracownicy na kierowniczych stanowiskach zdejmowali marynarki i z trzaskiem otwierali laptopy, matki szukały w bagażach zabawek i czegoś, czym mogłyby zająć dzieci, urlopowicze zabierali się do czytania czasopism i przewodników, mało kto natomiast zauważał, że pociąg nabiera rozpędu - gładko, stopniowo przyśpiesza, aby ponieść ich na południe z prędkością ponad stu mil na godzinę.

Paradou kupił bilet drugiej klasy i wędrował z końca pociągu do przedziałów pierwszej klasy, spoglądając zza ciemnych okularów na boki, aby wypatrzeć charakterystyczną kędzierzawą czuprynę Lucy. Już nie odczuwał takiego niepokoju jak na stacji. Widział, jak wsiadają, wiedział, dokąd jadą. Zanim złoży raport Holtzowi, musi tylko sprawdzić, czy w pociągu z nikim się nie spotkali. Potem przez parę godzin może się nie wysilać.

Zobaczył ich pośrodku pierwszego przedziału, przy stoliku dla czterech osób. Czwarte miejsce było puste. Sięgnął do kieszeni po telefon komórkowy, wszedł do ubikacji na końcu przedziału, rozsiadł się tak wygodnie, jak na to pozwalał sedes, i wystukał numer „Ritza”.

Rozmawiał długo, po części dlatego, że Holtz skorzystał z okazji, aby poruszyć sprawę, która przez całe rano nie dawała mu spokoju. Przypuśćmy, że to jakieś sztuczki Franzena? Powinien już dawno zadzwonić do „Ritza”; nie zadzwonił. Dlaczego? Albo chce przetrzymać Holtza i zażądać więcej pieniędzy, albo postanowił zignorować

ostrzeżenia, zapomnieć o zdrowym rozsądku i ogromnych zobowiązaniach moralnych względem niego, a nawiązać współpracę z Cyru-sem Pine'em. Holtz zaczął charakteryzować Holendra. Paradou mu przerwał.

- Możliwe, że jest zachłannym, niewdzięcznym holenderskim putz - cokolwiek to znaczy - monsieur Holtz, ale to mi nie ułatwia identyfikacji. Jak on wygląda i co mam zrobić, jeśli go znajdę?

Holtz wziął się w garść i ograniczył do opisu wyglądu Franzena, po czym kazał Paradou powtórzyć swoje słowa. Jego dalsze instrukcje były mniej precyzyjne, choćby dlatego, że nie wiedział, co zaproponować. Wyeliminowanie Franzena - pierwsze, co przyszło do głowy Paradou, który wyobrażał sobie podwyżkę honorarium - nie wchodziło w grę... przynajmniej do czasu odzyskania obrazów.

- Daj mi po prostu znać, jak tylko go zobaczysz - rzekł Holtz - a wtedy ja coś postanowię. I podaj mi numer swojego telefonu.

Lucy wróciła z bufetu z trzema filiżankami kawy i zdziwioną miną.

- No i wszystko słyszałam. Czy faceci chodzą tu do ubikacji dwójkami? Taki jest we Francji zwyczaj?

Andre popatrzył na nią z uśmiechem.

- Nigdy takiego zwyczaju nie było, Lulu. A bo co?

- Przed chwilą, kiedy tamtędy przechodziłam, słyszałam rozmowę. - Siadając wskazała na toaletę. -
Wiecie, prawdziwą rozmowę. - Kręciła głową. Francja naprawdę jest inna.

Pociąg wciąż zmierzał na południe, a regularny, cichy rytm jego kół działał usypiająco. Za Lyonem zmienił się krajobraz. Miejsce burgundzkich falistości, pokrytych wiosenną zielenią, zajęły ostrzej zarysowane widoki Midi, z winnicami uczepionymi stromych stoków i wyraźnie głębszym błękitem nieba. Podczas gdy Cyrus cicho pochrapywał, Andre opowiadał Lucy, co wie o Prowansji: inny kraj, z własnym językiem i własnym, niezrozumiałym sposobem mówienia po francusku; osobowość jego mieszkańców, pobudliwych, krewkich, śródziemnomorskich; postrzeganie czasu, który wyznaczają pory roku, a nie zegary, punktualność odrzucona jako dziwna obsesja północy; puste piękno głębi kraju, tłok i dobry humor targowisk; różowe flamingi i jeźdźcy z Camargue; i jedzenie - tapenade i estouf-fade, trufle i figi, kozie sery, oliwa, pachnące ziołami jagnię z Siste-ron, romboidalne migdałowe calissons z Aix.

Lucy położyła mu palec na ustach.

- Mówisz jak jednoosobowe biuro turystyczne. A od tego słuchania robię się bardzo głodna.

Przez głośnik zapowiedziano po francusku i po angielsku, że następna stacja to Awinion i że pasażerowie będą mieli równo dwie minuty na wyjście. Cyrus otworzył oczy i pokiwał głową.

- O mało nie zasnąłem - rzekł. - Dojechaliśmy?

Dworca awiniońskiego nikt by nie wybrał jako miejsca, od którego zaczyna się poznawać Prowansję. Trwa w stanie wieczystego oczekiwania na to, że ktoś go sprzątnie i uporządkuje, kapryśne windy i długie kondygnacje schodów możliwie najbardziej utrudniają dźwiganie ciężkich toreb, a teren od frontu wygląda na dzieło urbanisty szczególnie wrogo nastawionego do samochodów. Panuje tu chaos. Często podnoszą się głosy, a od czasu do czasu tkwiący w korkach, sfrustrowani kierowcy wykonują dłońmi i ramionami wymowne, wulgarne gesty.

Paradou patrzył, jak tamci troje wchodzi do biura wynajmu samochodów, po czym wsiadł do taksówki. Kierowca odwrócił się, spojrzał na niego i uniósł brew.

- Proszę chwilę zaczekać - rzekł Paradou. - Chcę, żeby pan jechał za samochodem.

Kierowca machnął ręką w stronę parkingu.

- Duży wybór, monsieur. Jakiś określony kolor? Żartowniś. Paradou nie spuszczał wzroku z drzwi biura.

- Powiem panu, jak go zobaczę. Taksówkarz wzruszył ramionami.

- To pańskie pieniądze. - Złamał licznik i na powrót zagłębił się w gazecie.

Po upływie dziesięciu minut niebieski renault z Andre za kierownicą ostrożnie wyjechał z parkingu dla wynajmowanych samochodów.

- To ten - powiedział Paradou. - Allez. Niech go pan nie zgubi.

Dwa samochody skręciły pod most kolejowy i włączyły się w strumień pojazdów zmierzających w stronę autostrady A7. Andre rozważnie prowadził renaulta, bo chciał się przyzwyczaić do miejscowych technik kierowania. Jak zawsze, kiedy po dłuższej nieobecności wsiadał we Francji do wozu, z niepokojem uświadamiał sobie prędkość, nagłe zmiany pasma i obecność nieuniknionego samochodu, który jakby uczepony jego rury wydechowej, czekał na odpowiednio niebezpieczny moment, aby go wyprzedzić. Dopiero za awiniońskim

lotniskiem, na mniej zatłoczonych odcinkach autostrady, poczuł, że opuszcza go napięcie.

Lucy i Cyrus w milczeniu krzywili się, kiedy prawie dochodziło do wypadku i z oburzeniem rozbrzmiewały klaksony.

- Nie rozumiem tych facetów - powiedziała Lucy. - Gdzie im się tak śpieszy? Mówiłeś, że jest tu miło, spokojnie i sennie.

Andre zahamował, bo mały citroen ostro zajechał mu drogę.

- Mają to w genach, Lulu. Wszyscy Francuzi rodzą się z ciężką prawą stopą. Napawaj się krajobrazem. Staraj się nie patrzeć na samochody.

Nadal zmierzali na południe, taksówka Paradou trzymała się w bezpiecznej odległości za nimi, a przedwieczne słońce stopniowo skłaniało się ku zachodowi, nim efektownie zanurzyło się w Morzu Śródziemnym.

Nawet w izolowanym kokonie samochodu wyczuwali panujący na zewnątrz upał, spieczony charakter wzgórz wapiennych, ostro zarysowanych na tle intensywnego błękitu nieba. A potem, już bliżej Aix, dostrzegli poszarpany masyw Sainte-Victoire, góry, która tak fascynowała Cezanne'a.

Andre otworzył swoje okienko, kiedy włączyli się w ruch uliczny. W powietrzu panowała lekka świeżość, wiaterek niósł pył wodny od wielkiej, wymyślnej fontanny na początku Cours Mirabeau.

- Oto, panie i panowie - powiedział Andre - najpiękniejsza ulica we Francji. - Wjechali w długi tunel, zielony, chłodny i cienisty, utworzony przez gałęzie platanów, które rosły po obu stronach Cours. - Choć było to dawno, chyba pamiętam hotel... tak, jest. „Negre-Coste”. Co wy na to?

Paradou patrzył, jak wręczają kluczyki do samochodu portierowi i wnoszą swoje torby do środka. Odczekał pięć minut dla pewności, że dostali pokoje, zapłacił taksówkarzowi i znalazł ławkę prawie na wprost hotelu. Zastanawiał się, gdzie mógłby wynająć samochód, kiedy z jego kieszeni dobiegło dzwonięcie.

- Paradou? Gdzie jesteś? - Głos Holtza brzmiał cienko i słabo.

- W Aix. Pięć minut temu weszli do hotelu.

- Spotkali się z kimś?

Paradou pokręcił głową z poirytowaniem.

- Przez kamienne ściany nic nie widzę. Proszę zaczekać, znów wyszli. Tylko we troje. - Zamilkł i patrzył, jak idą ulicą. - Dobra.

Wchodzą do kawiarni. Zadzwonię później. - W kawiarni panował tłok. Obsługa będzie powolna. Paradou oblizał wargi na widok kelnera z zimnymi, złocistymi piwami na tacy i ruszył ulicą na poszukiwanie samochodu do wynajęcia.

Cyrus wszedł do środka, aby zadzwonić do Franzena, a tymczasem Lucy i Andre przyglądali się innym gościom na tarasie „Dera Garcons” - turystom, miejscowym biznesmenom odpoczywającym po ciężkiej pracy i studentom odpoczywającym po prawie całkowitym braku pracy. Lucy była zafascynowana studentkami; niektóre z nich, jak powiedział Andre, odznaczały się wielką urodą: flirtowały, śmiały się, obnosiły się ze swymi ciemnymi okularami i papierosami, często wstawały, aby wymieniać rytualne uściski.

- To nie jest młodzież z college'u - rzekła Lucy. - To seryjni całowacze. Spójrz na nich.

- Mają to w programie, Lulu. Specjalizację z całowania. Co weźmiesz?

Zamówili piwo i obserwowali powolne, zmienne przyptywy i odpływy masy ludzkiej na chodniku, wymianę spojrzeń między przechodniami a osobami siedzącymi przy kawiarnianych stolikach, bezustanną, niespieszną, pustą obustronną ciekawość. Andre uśmiechnął się do Lucy; aby niczego nie przeoczyć, obracała skupioną twarz jak radarową antenę, chłonęła wszystko. Ujął ją obiema rękami za brodę i przyciągnął jej twarz do swojej.

- Pamiętasz mnie? - zapytał. - Faceta, z którym przyjechałaś?

- Wielkie nieba. - Cyrus stanął nad nimi w chwili, gdy pojawił się kelner. - To musi być zaraźliwe. W sąsiedniej kabine telefonicznej była para dosłownie ze sobą sklejoną. Jeszcze tam jest. Ach, młodość. - Usiadł i podniósł szklankę. - No, jesteśmy umówieni. Spotkamy się z Nico w wiejskiej restauracji „Le Fiacre” za jakieś pół godziny. Przywiezie osobę, którą nazywa swoją petite amie. - Pociągnął długi łyk piwa i z zadowoleniem oblizał wargi. - Wieczór zapowiada się interesująco.

Lucy przewróciła oczami.

- Jeszcze jedna lalunia. Pełno ich tutaj.

- Moim zdaniem należy po prostu zorientować się w sytuacji i odpowiednio zachować - rzekł Cyrus. - Jak uważacie? Ale ja jestem skłonny powiedzieć mu wszystko. Myślę, że teraz musimy.

Rozważali różne możliwości: czy Franzen rzeczywiście namalował falsyfikat (więcej niż prawdopodobne); czy on i Holtz są stałymi

wspólnikami (coś, w co Cyrus wolał powątpiewać); czy Franzen zna Denoyera; czy wie, gdzie się podział oryginał; mnóstwo pytań, a żadnych odpowiedzi. W końcu zgodzili się, że już czas, jak to określił Cyrus, wyłożyć kawę na ławę.

Pierwszy bladoliowy odcień zmierzchu zamieniał Cours Mira-beau w świetlistą pieczarę. Studenci zaczęli opuszczać kawiarnię, aby skorzystać z możliwości edukacyjnych, jakich dostarczał wieczór. Pary, spacerujące pod rękę, przystawały przed restauracjami, aby poczytać wywieszone na zewnątrz jadłospisy. Paradou dźwignął się ze swej ławki, roztarł obolałe pośladki i ruszył w ślad za trzema postaciami, które wracały do hotelu.

- Widać, dlaczego starszy tak często ją malował, prawda? - odezwał się Cyrus. - Popatrzcie na nią. Jest magiczna. - Jechali szosą D17 na wschód; po lewej ręce mieli Sainte-Victoire, z wierzchołkiem unurzonym w ostatniej poświacie zachodu, a zboczami już pograżonymi w głębokim cieniu. I raptem ciemność. Choć zaledwie parę mil dzieliło ich od Aix, prawie nic nie wskazywało na to, że obszar jest zamieszkały, tylko tu i ówdzie błyskały światełka dalekich gospodarstw. Ruch na drodze był niewielki - od czasu do czasu traktor bez świateł z charkotem wracał do domu, to znów w przeciwnym kierunku walił samochód. Jedne światła błyskały daleko z tyłu, zachowując niezwykłą we Francji odległość, prawie niedostrzegalne w lusterku.

Paradou odchylił się do tyłu, ramiona złożył na kierownicy. To już lepiej wygląda. W takiej głuszy na pewno trafi mu się okazja. Kusilo go, żeby ich dogonić, zepchnąć z szosy i dokończyć roboty pistoletem, który już od Paryża wypalał mu dziurę pod pachą; przeważyła jednak zawodowa ostrożność. Cierpliwości, Bruno, cierpliwości. Nie jadą daleko, bo w przeciwnym razie wzięliby bagaże. Zatrzymają się, a wtedy nadejdzie pora.

- Na pewno się nie mylisz, Cyrus? Nie wygląda to na gastronomiczną krainę cudów, a wiem, że Nico lubi dobrze zjeść. - Andre zwolnił przed ostrym zakrętem.

- Powiedział, że przy D17 znajduje się tablica. Popatrz, co tam widać.

Była przybita do drewnianego słupa, a czerwono-biało-niebieski napis informował: „FIACRE. Le patron mange ici". Strzałka wskazywała boczną drogę, niewiele szerszą od polnej. Cyrus odetchnął z ulgą.

Pół mili dalej, po wzięciu licznych zakrętów, ujrzeli jedną z tych rozkosznych niespodzianek, które dla Francuzów są czymś naturalnym: małą, uroczą i - sądząc po zatłoczonym parkingu - popularną restaurację na pustkowiu. Pod względem architektonicznym był to skromny, zwyczajny dwupiętrowy budynek, powleczony skórą różowego tynku, często ukrywającego albo spajającego kamienie pierwotnej budowli; może skromny, lecz porządnie utrzymany, z winoroślą na kracie wzdłuż całej fasady i ze stolikami na szerokim tarasie, skąd otwierał się widok na oświetlony reflektorami ogród, a w nim na cyprysy, oleandry i jedną starą, pomarszczoną oliwkę.

- Przepraszam, Cyrus. - Andre zajął jedno z nielicznych pustych miejsc na parkingu. - Odwołuję to, co powiedziałem. Restauracja wygląda poważnie.

Parę głów odwróciło się, kiedy wychodzili na taras. Siedział tam Franzen, pochłonięty rozmową z kobietą posągowych kształtów, ubraną w szarą sukienkę, która podkreślała kolor ciemnych włosów, mocno przyprószonych siwizną.

- No, proszę - powiedział Cyrus. - Trzymajmy kciuki.

Paradou wraz ze swą torbą pieszo przebył ciemną drogę. Wóz zostawił przy D17, kiedy zaś stanął w mrokach na skraju ogrodu, ukryty za cyprysem, widok go rozczarował. Za dużo ludzi, za dużo świateł. Zawsze jednak pozostaje samochód. Cicho okrążył zwirowany parking i podszedł do niebieskiego renaulta.

Na skraju tarasu do trójki gości podeszła niska, zaokrąglona, uśmiechnięta kobieta w dżinsach i białej bluzce, która zwinętą kartą zaczęła odganiać hałaśliwie witającego ich restauracyjnego psa, teriera na nogach jak sprężyny.

- Messieurs-dame, bonsoir, bonsoir. To państwo są przyjaciółmi Anouk? - Zdołała w powietrzu wymierzyć psu klapsa. - Hercule! Ca suffiń Proszę za mną. - Pierwsza ruszyła między stolikami rozkołysanym marynarskim krokiem, a terier podskakiwał u jej nogi. Franzen wstał na ich widok i uśmiechnięty kiwał głową, dokonując prezentacji.

Anouk nie była klasyczną piękną, lecz bez wątpienia kobietą przystojną. Jej profil pod gęstymi włosami dobrze by wyglądał na monecie, a śródziemnomorska oliwkowa skóra jakby zatrzymywała w sobie blask słońca. Oczy miała Anouk ciemne, ręce mocne i zręczne; z taką kobietą nie ma żartów. Cyrus zamrugnął na jej widok i odruchowo poprawił muszkę.

Franzen, zajęty butelką różowego wina i nalewaniem do kieliszków, mówił:

- Wszystko jest tutaj dobre, ale pissaladiere znakomita, a lepszego jagnięcia nie znajdziecie w całej Prowansji. Mam rację, chérie? - Zwracał się do niej troskliwym tonem człowieka, który jeszcze stoi na niezbyt pewnym gruncie i kroczy z rozwagą.

- Często nie masz - odparła Anouk - ale w tym wypadku owszem. - Mówiła po angielsku z wyraźnym akcentem, lecz śmiało, a jej słowa łagodził uśmiech. Obserwowała Franzena z ostrożną macierzyńską czułością, jakby był trudnym, samowolnym dzieckiem.

Pozwolono, aby preludium do obiadu - najbardziej zaostrzający apetyty okres przyjemnego niezdecydowania i rozdygotania, kiedy studiuje się karty i omawia potrawy - upływało w swoim nieśpiesznym tempie. Dopiero w jakiś czas po opróżnieniu pierwszej butelki i zamówieniu następnych Cyrus uznał, że wypada przejść do interesów.

- Nico, należy ci się od nas pewne wyjaśnienie - zaczął.

Andre drgnął, świadomy, że Anouk zwraca na niego baczną uwagę, nie spuszcza oczu z jego twarzy, lecz minę ma obojętną. Franzen, wręcz przeciwnie, w dostrzegalny sposób reagował na każdy nowy szczegół - słuchając o wizycie Andre u Denoyera i kradzieży sprzętu fotograficznego, bardzo wysoko unosił brwi. A potem, zanim Cyrus zdołał dojść do głosu, przyniesiono pierwsze dania: placki z oliwkami, cebulą i sardelami; miski pachnącej bazylią i czosnkiem zupy jarzynowej, fasolowej i z makaronem, miseczki ta-penade, brandade z solonego dorsza, tłustą, gęstą ratatouille - wstęp do prowansalskiego posiłku, te najpyszniejsze ze znanych człowiekowi utrudnień w rozmowie.

Między jednym kęsem a drugim Cyrus spoglądał na Franzena, aby ocenić, jakie wrażenie wywarło na nim to, co dotychczas usłyszał. Holender jednak skupiał uwagę na jedzeniu i na Anouk, wymieniał łyk swojej zupy na odrobinę jej brandade, jakby to było zwyczajne, towarzyskie spotkanie przyjaciół. Cyrus liczył, że nastrój ten nie zmieni się po kolejnych rewelacjach.

Po drugiej stronie stołu Lucy słuchała i na ogół puszczała mimo uszu to, co Andre mówił o konieczności zachowania równego tempa i początkowo jedzenia z umiarem, bo trzeba pamiętać, że jeszcze czekają ich cztery dania. Ale stosowanie się do tych wskazówek sprawiało jej trudność; miała zdrowy młodzieńczy apetyt, nie jadła lunchu, a te intensywne, pikantne wonie nie przypominały niczego, co znała z przeszłości. Wcinała jak kierowca ciężarówki w niedzielę, że aż miło było popatrzeć.

Po uprzątnięciu wytartych do czysta półmisek i misek Cyrus głęboko zaczerpnął tchu i podjął opowiadanie w miejscu, w którym je przerwał Andre. Kiedy doszedł do pojawienia się Holtza w Paryżu, w zauważalny sposób zareagowała Anouk - nie Franzen, bo oczywiście już wiedział i tylko kiwnął głową. Z surową miną i pogardliwym prychnięciem podniosła do ust kieliszek, po czym wypita łąpczywie, jakby wino mogło zabić nieprzyjemny smak. Ośmielony tym Cyrus wyłożył ostatnią kartę na stół: chce pośredniczyć w sprzedaży „Kobiety z melonami”. Płótna oryginalnego.

W czasie gdy podawano jagnię, różowe i aromatyczne, z płaskimi, chrupkami kawałkami pieczonych kartofli, Franzen mógł się

przez chwilę zastanawiać nad tym, co usłyszał. Ale tylko przez chwilę. Anouk obróciła się, aby surowo dźgnąć go palcem wskazującym.

- Alors, Nico - rzekła. - Słyszałeś, co mówili. Czas, żeby usłyszeli, co ty masz do powiedzenia.

Zanosiło się na to, że relacja Franzena potrwa trochę dłużej, bo on w regularnych odstępach czasu będzie się rozprawać z jagnięciem. Tak, przyznał, zrobił falsyfikat, choć nie poznał Denoy-era - Holtz nie widział takiej potrzeby. Znów na wzmiankę o tym nazwisku cień niesmaku przemknął po twarzy Anouk; Cyrus dostrzegł w niej potencjalnego sprzymierzeńca. Następnie, ciągnął Franzen, zdarzyła się rzecz bardzo dziwna: Holtz zlecił mu ponowne sfalszowanie tego samego obrazu, coś, z czym Holender w ciągu wieloletniej współpracy z łobuzami nigdy przedtem się nie spotkał.

Cyrus, uosobienie naiwności, udawał, że myśli na głos:

- Nadzwyczajne. Ciekaw jestem, dla kogo. Franzen wzruszył ramionami.

- W mojej wąskiej branży człowiek nie pyta. Powiedziano mi tylko, że sprawa jest pilna.

- Denoyer nie byłby zachwycony, gdyby wiedział, że jeszcze jeden egzemplarz krąży gdzieś po świecie, a tymczasem Holtz usiłuje sprzedać oryginał. - Cyrus mlasnął z dezaprobatą. - Szalenie trudno się w tym połapać... chociaż jest całkiem możliwe, że Holtz zamierza oba sprzedać jako oryginały. - Zauważył zdziwione miny siedzących dokoła stołu. - Potrzebowałby dwóch miłośników sztuki - dwóch bardzo dyskretnych klientów, którzy nie pragną rozgłosu - ale tych można znaleźć całe mnóstwo. Sam znam paru.

- I twierdzisz, że każdy uważałby kupiony obraz za oryginał? -Andre kręcił głową. - No nie, Cyrus. To wykluczone.

- Nie ręczę za to, drogi chłopcze. Niektórzy ludzie - zapewne większość ludzi - lubią się popisywać tym, co mają; innym jednak wystarcza. sam fakt posiadania wybitnych obrazów, nawet jeśli stale trzymają je w skarbcu. W rzeczywistości, jak powiadają, to może nawet stanowić dodatkowy dreszczyk. - Cyrus pociągał wino, w zadumie spoglądając na Franzena. - Nie wiesz przypadkiem, gdzie się znajduje oryginał, Nico?

Franzen popatrzył na Anouk. Jeśli spodziewał się wskazówek, to ich nie udzieliła. Twarz miała pozbawioną wyrazu, lecz Cyrus uzyskał odpowiedź, zanim Holender zdążył się odezwać.

- Ja go mam - powiedział. - Mam oba. - Kiwnął głową i sięgnął po kieliszek. Anouk pozwoliła sobie na niewyraźny uśmiech.

Cyrus zasiadł wygodniej i nie mówił nic, kiedy podawano sałatę, duży plateau de fromage i więcej wina. Obserwował Holendra, który teraz odśpiewał przed Lucy tajniki francuskich serów: koziego, krowiego, owczego i ostrego cachat w garnuszku, przyprawionego brandy i czosnkiem. Czy to było pobożne życzenie Cyrusa, czy też Fran-zenowi ulgę sprawiło podjęcie decyzji? Cyrus zebrał myśli i pochylił się do przodu.

- Ja widzę dwie możliwości - powiedział. - Możemy połączyć siły, pojechać do Cap Ferrat i opowiedzieć Denoyerowi o drugim falsyfikacie, zwrócić oryginał i liczyć na zawarcie z nim układu, który byłby korzystny dla nas wszystkich. Z tego, co mówił Andre, wygląda na przyzwoitego człowieka. Chce sprzedać obraz, a to ja potrafię załatwić. Prowizja będzie duża i możemy się nią podzielić. - Cyrus się uśmiechnął. - Oczywiście, jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z planem. Ale nie widzę powodu, dlaczego miałyby być inaczej.

Franzen otarł usta i napił się wina.

- A druga możliwość?

- Ach, tak - odparł Cyrus. - Niestety jest mniej zabawna. Możemy podziękować za wyśmienity obiad, wrócić do Nowego Jorku, tobie i panu Holtzowi zaś pozwolić, abyście żyli długo i szczęśliwie.

Zamyślili się, a w nagłej ciszy ktoś obdarzony bardzo dobrym słuchem mógłby pochwycić brzęczenie telefonu, dolatujące z mroków ogrodu za tarasem.

Paradou pośpiesznie opuścił swój punkt obserwacyjny za cyprysem i cofnął się na taką odległość, aby go nie słyszeli. - Są w restauracji pod Aix. Z Holendrem.

Holtz wymamrotał jakąś zjadliwą uwagę w języku niezrozumiałym dla Paradou. Potem wziął się w garść i oznajmił:

- Przyjeżdżam. Gdzie jest najbliższe lotnisko?

- W Marsylii. Mogę mieć dobre wiadomości, zanim pan przyleci. Wykonałem pewną robotę w ich samochodzie.

- Nie chcę, żeby Holendrowi stała się krzywda. Zadzwoń do ciebie z Marsylii. - Telefon ogłuchł. Paradou rzucił ostatnie tęskne spojrzenie na światła restauracji - czuł się tak, jakby od paru dni nie miał w ustach porządnego posiłku - i poszedł drogą gruntową, aby zaczekać w samochodzie.

Nastrój przy stole zmienił się i świętowano zamiast dyskutować. Franzen, po paru zachęcających kiwnięciach głową i kuksańcach Anouk, postanowił złożyć swój los w ręce Cyrusa. Nazajutrz rano spotkają się w domu Anouk i razem pojedą do Cap Ferrat, gdzie Denoyer, zbudowany ich uczciwością, wdzięczny za pomoc, zjednany ich urokiem, a przerażony fałszywością Holtza, zleci sprzedaż Cyrusowi. Źródłem ich dobrego humoru i optymizmu było nie tylko jasne rozumowanie i racjonalna analiza. Do kawy Franzen koniecznie chciał zamówić szklanki - albo raczej małe kubki, bo właściciele tej restauracji nie skąpili - marca z prywatnych zapasów szefa. Szybka destylacja skórek po wyciśniętych winogronach ułatwia trawienie dzięki pewnym dodatnim właściwościom, które, jak wiadomo, uznają nawet uczeni przedstawiciele francuskiego fachu medycznego. Ale taki dodatek do wina pitego przez cały wieczór wystarcza, aby osłabić najmocniejsze głowy.

Rozstali się na parkingu - Anouk i Franzen pojechali do swojej wioski, o milę dalej, ich towarzysze zaś w kierunku Aix.

Andre ograniczał prędkość i prowadził z przesadną uwagą człowieka akurat na tyle trzeźwego, że zdaje sobie sprawę z osłabienia refleksu przez alkohol. Lucy i Cyrus zapadli w drzemkę po paru próbach nawiązania rozmowy. Andre otworzył okienko, wychylił się, wystawił twarz na działanie pędu powietrza i jechał przed siebie, zapatrzony w noc, nie zważając na przygaszone światła samochodu daleko w tyle.

Po ciemku, na obcych, nie oznakowanych drogach, z mnóstwem nagłych rozwidleń i zakrętów, mimo otępienia nabierał coraz większej pewności, że zabłądził. I w tym momencie wybawił go błogosławiony niebiesko-biały znak A7. Autostradą w parę minut dotrze do Aix.

Zbliżył się do wjazdu i podniósł szybę, przyśpieszywszy, aby nie dać się wyprzedzać nielicznym samochodom - na ogół ciężarówkom, które odbywały nocny kurs do Paryża z ładunkiem płodów ciepłej ziemi południa. Marzył o hotelu, a że ciążyły mu powieki, zamrugał nimi kilkanaście razy dla lepszej koncentracji, po czym zjechał w lewo i zaczął wyprzedzać hiszpańską chłodnię podwójnej długości.

Pora była spóźniona, kierowca ciężarówki niedbały; przed zmianą pasów powinien spojrzeć w lusterko. Ze straszliwą jasnością, bezpośrednio poprzedzającą wypadek, Andre dojrzał nazwę na tyle ciężarówki, skupisko świateł, zakurzone fartuchy błotników, nalepkę

z napisem Viva Real Madrid i wzór opon - zobaczył to w tym ułamku sekundy, kiedy naciskał na hamulec. I zobaczył wszystko w szalonym zbliżeniu, bo nagle pedał przestał stawiać opór, bo nawalił przewód.

Andre szarpnął kierownicą w lewo, przejechał przez pas trawy i żywopłot z oleandrów pośrodku autostrady, przez jej trzy pasma, przez barierę po drugiej stronie, po czym zsunął się ze stoku, prze-orując krzewy, gałęzie i kamienie, dopóki z ostatecznym zgrzytem udręczonego metalu i trzaskiem tłuczonego szkła nie zatrzymał się na sośnie. Jakimś cudem silnik jeszcze pracował. Andre wyłączył go drżącą ręką, która uderzała w kolumnę kierownicy.

Dobrze to wygląda, pomyślał Paradou. Bardzo dobrze. Byłoby idealnie, gdyby podczas przecinania autostrady uderzyli w nadjeżdżającą ciężarówkę, ale i to wystarczy. Teraz pojedzie policzyć skręcone karki. Rozejrzał się za następnym zjazdem, aby zawrócić do rozbitego samochodu.

Alkohol najprędzej wietrzeje z głowy, kiedy człowiek otrze się o śmierć, toteż trzy osoby bardzo roztrzęsione, nagle całkiem trzeźwe, wdrapały się po stoku na twardą skarpę.

- Potraficie się przedostać na drugą stronę? - zapytał Andre. - Złapiemy okazję do Aix. - Przerwa w ruchu, przypływ adrenaliny, sprint przez coś, co wydawało się półmilowym odcinkiem szosy, i już byli po drugiej stronie. Później nastąpiła reakcja, dostali mdłości i dreszczy. Andre stanął na skraju pasma awaryjnego i niepewnie, lecz z nadzieją wyciągnął kciuk w stronę nadjeżdżającej ciężarówki. Minęła go nie zwolniwszy. Podobnie jak druga i parę następnych.

- To na nic - powiedziała Lucy. - Wy dwaj się schowajcie, zejździe z oczu. Pokażcie się na mój gwizdek. - Mężczyźni czekali w mrokach pod nasypem, a ona rozpięła górne guziki bluzki, podciągnęła i tak już krótką spódnicę i zwróciła się ku światłom nadjeżdżającego samochodu z uśmiechem i podniesioną ręką. Niemal natychmiast rycerski Francuz pośpieszył na pomoc z głośnym sykiem hamulców hydraulicznych.

Kierowca ciężarówki otworzył drzwiczki po stronie pasażera i popatrzył na Lucy z zaciśniętymi ustami i pełnym uznania błyskiem w oku. Mrugnęła na niego i poprawiła ramiączko stanika.

- Aix?

- Paris, si vous voulez, chérie.

- Znakomicie. - Gwizdnęła, a Cyrus i Andre pojawili się tak prędko, że kierowca nie zdążył zatrzaskać drzwiczek. Zapomniał o rozczarowaniu, kiedy wcisnęli mu w rękę parę banknotów stufran-kowych, gdy zaś Andre opowiedział o awarii hamulca i spowodowanym przez nią wypadku, nawet się zdobył na niechętnie współczucie - na tyle duże zresztą, że zjechał z autostrady i podrzucił ich niedaleko centrum miasta. Byli już w hotelu, kiedy Paradou, z pistoletem w ręce, jeszcze przeszukiwał krzaki wokół ich rozbitego samochodu.

Holtz i Kamilla siedzieli obok siebie we wrogim milczeniu. Sprzeczka, która rozpoczęła się u „Ritza” i trwała w samochodzie, teraz wybuchła na nowo w samolocie, podczas ostatniego w tym dniu rejsu na południe, do Marsylii. Kamilla była na Holtza wściekła, że wywłócił ją z Paryża tylko po to - o czym doskonale wiedziała, a czemu on nie starał się zaprzeczać - aby mieć potencjalnego szofera i kogoś, na kim mógłby się wyładować. Jest fatalnie, a na pewno będzie jeszcze gorzej, noc spędzą w jakimś upiornym hoteliku na lotnisku, bez wygod, Rudi będzie w okropnym humorze, a jutro ona absolutnie nie będzie miała w co się ubrać, bo wyjechali w takim pośpiechu.

Hotel był straszny, zgodnie z jej przewidywaniami, a wrażenia tego nie poprawiła chytra, domyślna mina, jaką zrobił recepcjonista, kiedy zameldowali się bez bagażu. Obleśnie typtał okiem. Naprawdę obleśnie - jakby dwoje ludzi przy zdrowych zmysłach wybrało marsyjskie lotnisko na miejsce romantycznej

schadzki. Całej tej ohydy nie dało się wyrazić słowami.

W ich pokoju Holtz natychmiast podszedł do telefonu i prowadził długą, najwyraźniej niezadowolającą rozmowę. Na widok jego zagniewanej twarzy Kamilla zamknęła się w łazience i puściła wodę do wanny. Miała nadzieję, że zanim wyjdzie z kąpieli, on będzie już spać.

Następnego rana nastrój bynajmniej nie był wesoły. Wstali wcześniej, taksówką pojechali do Aix na spotkanie z Paradou i we trójkę siedzieli teraz w jego samochodzie na Cours Mirabeau, na ukos do drzwi hotelu „Negre-Coste”.

- Na pewno jeszcze tam są?

Paradou kaprawym okiem popatrzył na Holtza, który zajmował obok Kamilli miejsce z tyłu.

- Sprawdziłem w recepcji wczoraj w nocy. Wrócili Bóg wie jakim sposobem. Jestem tu przez cały czas.

W samochodzie znów zapadła cisza. Piękno zielonej, cienistej ulicy w porannym słońcu, cętki światła na markizach kawiarni, rozkoszne widoki i odgłosy pięknego miasta budzącego się ze snu - żadna z tych rzeczy nie mogła poprawić kiepskiego nastroju Kamilli, złagodzić nerwowego niepokoju Holtza czy ostrej frustracji, jaką zaczynał odczuwać Paradou. Jakże marzył o paru minutach uczciwej, rozstrzygającej przemocy i zakończeniu roboty. Namacał siatkę ry-sek na rękojeści pistoletu ukrytego pod pachą. Do trzech razy sztuka, a tym razem zrobi to z bliska, żeby widzieć, jak padają. Ziewnął i zapalił papierosa.

W odległości pięćdziesięciu jardów niezwykle przygaszone trio siedziało w hotelu nad kawą. Po doznanym wstrząsie i wypitym alkoholu wszyscy zdrowo przespali noc, prawie jak po zażyciu środka nasennego, lecz już wytrzeźwieli i zaczęli brać pod uwagę możliwość, że kraksa nie była przypadkowa. Cyrus raz jeszcze zaproponował, że dalej będzie działać sam, i raz jeszcze Andre i Lucy odrzucili tę propozycję. Przecież jedyne, co pozostaje im do zrobienia, to dotrzeć do Cap Ferrat - lecz nie kolejnym wynajętym samochodem. Postanowili taksówką pojechać do Les Crottins, a stamtąd dalej wozem Franzena.

I tak, kiedy słońce wysoko wzniosło się na niebie, zostawili za sobą Aix, nabierając otuchy na spokojnej, bezpiecznej, normalnej bocznej drodze, która biegnie równolegle do Sainte-Victoire. Góra, rozjarzona światłem ze wschodu, już nie wyglądała groźnie ani tajemniczo. Furgonetki i traktory warczały na gruntowych drogach wśród pól i winnic, sroki podskakiwały i wrzeszczały na skraju szosy, parę chmur wysoko w górze kłębiło się na wielkiej błękitnej pościeli porannego nieba: jeszcze jeden zwykły, piękny dzień.

Taksówka dotarła do rozwidlenia drogi i zaczęła się wspinać po krótkiej stromiźnie do Les Crottins, a kierowca zaklął, gdy dwa wioskowe psy, pełniące poranną wartę, z kłapaniem zębów rzuciły się na opony.

- To ten dom z niebieskimi okiennicami - powiedział Andre. - Tam, na końcu, gdzie stoi citroen.

Kierowca znów warknął, bo zobaczył, że samochód Franzena nie pozostawia miejsca na zrobienie

zakrętu, wobec czego będzie musiał wycofać się na wstecznym biegu. Te wsie zbudowano z myślą o osłach. Nieco udobruchany napiwkami, rządził kiwnąć głową na pożegnanie, kiedy pasażerowie wysiedli, i ruszył do tyłu.

Franzen otworzył drzwi, nim zdążyli zastukać.

- Salut, mes amis. Wejdźcie, wejdźcie. - Podał rękę mężczyznom, Lucy ucałował w oba policzki, drapiąc ją wąsami, po czym wprowadził ich do niskiego pokoju, który zajmował całą szerokość domu. Usprawiedliwił Anouk, która nie lubi rano wstawać, ale życzy im szczęśliwej podróży i spodziewa się zobaczyć ich niebawem. - Pomyślałem jednak - powiedział - że przed wyjazdem może miło byłoby wam na to popatrzeć. - Niedbałym ruchem ręki wskazał w stronę kamiennego kominka. Światło jest niekorzystne, przyznaję, ale trzeba mieć dobre oko, żeby dostrzec różnicę, nawet kiedy są ustawione jeden obok drugiego. Co, Cyrus?

Z półki nad kominkiem spoglądały na nich „Kobieta z melonami” Cezanne'a i jej bliźniaczka, pogodne, piękne, na pozór identyczne. Cyrus podszedł bliżej, kiwając głową.

- Moje gratulacje, Nico. To całkiem niezwykle. Zdradz mi sekret zawodowy: ile czasu zabiera ci...

- Cyrus! - Andre, który na odgłos silnika wyjrzał przez okno, zobaczył, jak krępy, ostrzyżony na jeża mężczyzna w ciemnych okularach wysiada z białego renaulta i przecinając ulicę sięga pod marynarkę. - Ktoś idzie. - A po chwili. - Jezu. Ma pistolet.

Stali jak cztery posągi, dopóki miarowe, natarczywe stukanie nie pobudziło ich do życia.

- Przez kuchnię - powiedział Franzen. - Tylnymi drzwiami. - Zdjął obrazy z kominka i wyprowadził ich z domu do małego ogródka, otoczonego wysokim murem, skąd przez żelazną furtkę wychodziło się w zaułek. - Mój samochód stoi tuż za rogiem.

- Tak - rzekł Cyrus. - Podobnie jak nasz uzbrojony przyjaciel.

- Chwileczkę. - Andre wskazał na płótna pod pachą Franzena. - O to mu chodzi. Musi o to mu chodzić. Nico, daj jeden obraz mnie, drugi Cyrusowi. Kluczyki do samochodu miej naszykowane. Lulu, ty idź za mną. Nico, za Cyrusem. Trzymajcie się blisko, a nic nam nie zrobi. Nikt nie chce Cezanne'a podziurawionego kulami.

Paradou odstąpił od drzwi, aby zajrzeć przez okno, i odwrócił się dopiero wtedy, kiedy Holtz krzyknął z tylnego siedzenia. Zobaczył dwa obrazy, wychodzące zza rogu, każdy na czterech nogach. Komedianci: pełno ich na świecie. Pokręcił głową i uniósł pistolet.

Rozległ się bolesny wrzask Holtza, który zdążył już wystawić głowę i ramiona przez okienko.

- Nie! Nie! Na rany Chrystusa, nie strzelaj! Franzen... Nico...

możemy się ułożyć. Posłuchaj. Zaszło nieporozumienie. Mogę wytłumaczyć...

Franzen, nadal pod osłoną Cyrusa i obrazu, otworzył drzwiczki citroena i uruchomił silnik. Lucy i Andre

wśliznęli się na tylne siedzenie. Cyrus zajął z przodu miejsce obok Franzena i przejechali w tak niewielkiej odległości od Holtza, że Andre dostrzegł ślinę na jego wargach, a za nim bladą plamę twarzy Kamilli.

- Musi się cofać - powiedział Franzen. - Mamy parę minut przewagi.

Andre wyjrzał tylnym okienkiem i zobaczył, jak Paradou wsiada do renaulta.

- Jedź do autostrady - poradził. - Tam będzie większy ruch. Gdzie możemy się na nią dostać?

- Dopiero w Saint-Maximin. - Duży samochód przechylił się na zakręcie. - Myślisz, że będą nas ścigać?

Cyrus popatrzył na obraz na swoich kolanach.

- Trzydzieści milionów dolarów? - rzekł. - Będą nas ścigać. Milczeli, kiedy Franzen dotarł do N7 i rozwinął maksymalną prędkość na prostym, równym odcinku szosy - tak prostym i gładkim, tak pozbawionym zakrętów i kryjówek, że nie pozostawało mu nic innego, jak jechać na sygnale i liczyć na powodzenie, podczas gdy Lucy i Andre wciąż wyglądali przez tylne okienko. Po upływie pół godziny, tak monotonnej, jak to jest możliwe przy dużej prędkości na jednej z najniebezpieczniejszych dróg we Francji, i zjechaniu z N7 na autostradę, napięcie w citroenie opadło.

Franzen stanął w kolejce samochodów czekających na uiszczenie opłaty, i zdawało się, że z donośnym sykiem ulgi uchodzi z niego całe powietrze. Uśmiechnięty zwrócił się do Cyrusa.

- Chyba odtąd zawsze już będę fałszerzem. Nie chciałbym drugi raz robić czegoś takiego. Wszyscy dobrze się czują? Nikt nie dostał ataku serca?

- Jedno chciałbym wiedzieć - rzekł Andre - a mianowicie, kim był ten facet z ...

- Andre! - cienko pisnęła Lucy. - Jest tam.

Podążyli oczami w kierunku, który wskazała im głową. W sąsiedniej kolejce podjeżdżał do budki biały renault. Paradou wpatrywał się w nich z uśmiechem.

- Rudi, to śmieszne. - Kamilla czuła się zdruzgotana, całkiem rozbita, choć ostatnie pół godziny spędziła z mocno zaciśniętymi powiekami. - Tego robić nie wolno... Mam na myśli broń i...

- Zamknij się, kobieto. Co sądzisz, Paradou?

- Autostrada nie jest dla nas dobra, ale nie mogą bez końca jechać autostradą. Będziemy się trzymać za nimi i czekać.

Kamilla spróbowała po raz drugi.

- Przypuśćmy, że pojedą na policję?

- Mają w samochodzie skradziony obraz i falsyfikat - odparł Holtz. - Ja próbuję odzyskać swoją własność. Mnie by nie przeszkadzało, gdyby pojechali na policję, ale tego nie zrobią. Masz rację, Paradou. Trzymaj się za nimi.

I rzeczywiście jechał za nimi, przez Brignoles i Frejus, przez Can-nes i Antibes, zawsze najwyżej o dwa, trzy samochody w tyle. Wciśnięta w kątek Kamilla marzyła o powrocie do spokojnego, bezpiecznego Nowego Jorku. Holtz rozważał możliwości: na ich miejscu skierowałby się do Włoch, stamtąd do Szwajcarii i zawiózł obraz człowiekowi w Zurychu. Pine powinien wiedzieć, gdzie się udać. Ale to daleka droga. Musieliby nabrać benzyny. W końcu zapadłaby noc. Paradou miałby okazję. W ciągu swej długiej przestępczej kariery Holtz nauczył się cenić cierpliwość. Prędzej czy później wszyscy popełniają błędy.

Organizm ludzki potrafi znosić nerwowy niepokój do pewnego momentu, po czym się dostosowuje, a człowiek zamiast panikować zaczyna myśleć, na swój sposób logicznie. Po dwóch godzinach stało się tak z pasażerami samochodu Franzena, zbliżali się jednak do Cap Ferrat, a biały renault wciąż im towarzyszył, czasem na tym samym paśmie autostrady, czasem na innym, lecz zawsze obecny w lusterku. To Andre zaproponował objazd przez nicejskie lotnisko.

- Po pierwsze, zawsze pełno tam samochodów, więc może zdołamy ich zgubić. A kiedy zobaczą, że skręcamy, pomyślą, że chcemy złapać samolot. Wjedziemy na jeden z parkingów, natychmiast wyjedziemy z drugiej strony i ruszymy dalej. - Franzen kiwnął głową i mocniej zacisnął ręce na kierownicy.

- Niech to diabli - zaklął Holtz. - Zamierzają polecieć samolotem. -Paradou ze wszystkich sił starał się nie stracić z oczu ich samochodu w kłębowisku innych, przedzierających się przez labirynt dróg dojazdowych, które z trzech stron oplatały główne skupisko budynków. Plany pokrzyżował mu autokar turystyczny, bo zatarasował drogę, co spowodowało stratę dwóch cennych minut, a zanim odjechał, citroen zdążył zniknąć.

- Jedź prosto na dworzec lotniczy - polecił Holtz.

Ale jak wkrótce się przekonali, lotnisko nicejskie ma dwa terminale, znacznie od siebie oddalone. Paradou zostawił Kamillę i Hol-tza w renaulcie przed jednym z nich, sam zaś pobiegł do drugiego i w nagrodę ujrzał tył samochodu Franzena, skręcającego z parkingu w stronę oznaczoną drogowskazem „Toutes Directions”.

Spocony, wściekły jak wszyscy diabli, zadyszany wrócił do renaulta. Wóz otaczała grupa taksówkarzy - mówiących ze swadą, gestykujących taksówkarzy, którzy krzyczeli na dwoje pasażerów, skulonych na tylnym siedzeniu, aby wynosili się ze swym putain samochodem z miejsca, gdzie nie wolno się zatrzymywać, gdzie narusza się od Boga dane taksówkarzom prawo do wszystkich miejsc parkingowych przed dworcem lotniczym. Paradou przecisnął się między nimi, nie nazbyt delikatnie, i usiadł za kierownicą.

- Dranie wystawiły nas do wiatru - powiedział. - Widziałem ich.

Na Promenadę des Anglais Andre obejrzał się do tyłu na jadące za nimi samochody. Co drugi wydawał się białym renaultem.

- Nie mam pewności - powiedział. - Ale wiem, że nie wyjeżdżali za nami z lotniska. Chyba ich zgubiliśmy.

Franzen chrząknął. Cyrus zachowywał milczenie, powtarzał sobie w myślach, co powie Denoyerowi. Andre i Lucy nadal patrzyli przez tylne okienko, kiedy pojawiły się drogowskazy z nazwami Villefranche i Saint-Jean, a Citroen skręcił w stronę morza.

Denoyer pomachał żonie na do widzenia, zadowolony, że pojedzie z Claude'em do Nicei, a on będzie mieć popołudnie dla siebie. W ubiegłych latach zawsze przepadał za paroma pierwszymi dniami po powrocie na Cap Ferrat: za spokojem poprzedzającym pojawienie się sezonowych gości, za ogrodem z jego sosnami i cyprysami, które stanowiły taką rzeźbioną, uładzoną rozkosz po wybujałej roślinności Bahamów, za odmiennym smakiem powietrza, za przyjemnością, jaką zapewniały piwnica z winami i biblioteka. Człowiek niejednym mógł się tu cieszyć. Ale w tym roku było trochę inaczej. Choć usilnie się starał wierzyć ostatnim zapewnieniom Rudolfa

Holtza, Cezanne nigdy nie schodził mu z myśli, a od paru dni niepokoił go brak wiadomości. Jutro znów zadzwoni do Holtza - nie, zadzwoni teraz. Na pewno czegoś się dowie.

Kiedy doszedł do połowy holu, zabrzączał domofon.

- Monsieur Denoyer? - odezwał się nieznajomy głos. - Livraison. Znowu coś, co zamówiła Catherine. Zawsze w tym pierwszym okresie jest mnóstwo przesyłek. Denoyer nadusił przycisk od głównej bramy i poszedł zaczekać przed frontowymi drzwiami.

Na parkingu przeznaczonym dla samochodów, które na krótko zatrzymują się na lotnisku, biały Renault piekł się w słońcu, co nie wpływało na ostudzenie panującej w nim atmosfery wrzenia. Kamil-la była nadęta, śmiertelnie znudzona Rudim, Paradou zaś ohydnyymi małymi samochodami, Francją, bezskutecznymi pościgami. Zaproponowane przez Kamilę rozwiązanie problemu - przejście na dworzec lotniczy i powrót pierwszym samolotem do Paryża - spotkało się z uszczypliwą reakcją Holtza, co można było przewidzieć. Teraz siedziała z zasznurowanymi ustami, z niesmakiem wpatrzona w pot, który spływał Paradou po grubej szyi. Holtz mruczał coś pod nosem, myślał na głos.

- To może być to - odezwał się wreszcie. - Myślą, że sami mogą sprzedać; może chcą dokonać transakcji. Zresztą nie mamy innych danych. Paradou? Cap Ferrat, najprędzej, jak potrafisz. - Kamilla się cofnęła, kiedy Holtz nagle zwrócił się do niej. - Potrafisz znaleźć dom Denoyera, prawda? Spędziłaś tam dość czasu.

- Co mu zamierzasz powiedzieć? - Ale Holtz już był myślami daleko, wysiłał wyobraźnię, aby ułożyć historyjkę o kradzieży dokonanej przez Franzena, o jego chytryści, dwulicowości i własnej bohaterkiej roli wybawcy, który się zjawił w ostatniej chwili.

Zaskoczony, niemal zaszokowany Denoyer przez pół godziny próbował sobie przyswajać informacje, które ze szczegółami podawali mu na zmianę Cyrus i Andre. Oni mówili, on zaś wzrokiem wciąż powracał do opartych o krzesło obrazów. Obojętne, co zrobili ci ludzie, myślał, przynajmniej odwieźli mu jego Cezanne'a. A to wskazywało na pewną uczciwość. Czy może im wierzyć? Czy może im ufać? Czy musi, skoro obraz znowu jest w jego posiadaniu?

- Oczywiście - powiedział Cyrus - nie zechce pan może mieć z nami nic wspólnego - bolesciwe spojrzenie

- gdyby jednak zdecydował się pan na sprzedaż, chyba mogę obiecać największą dyskrecję i naturalnie z radością dam wszelkie potrzebne panu referencje.

Denoyer przyjrzał się czterem z uwagą zwróconym do niego twarzom, znów popatrzył na obrazy - fałszerz doprawdy spał się znakomicie - i wzruszył ramionami.

- Nie oczekuje pan, że natychmiast podejmę decyzję? Oczywiście, że tak, pomyślał Cyrus.

- Oczywiście, że nie - zapewnił.

W holu rozległ się brzęczyk, więc Denoyer przeprosił gości. Wrócił do pokoju zaskoczony.

- To ktoś, kto mówi, że jest z Rudolfem Holtzem - powiedział. - Nie otworzyłem bramy.

Przez otwarte okno usłyszeli jeden po drugim dwa wystrzały, później trzeci.

- Chyba sam ją otwiera - zauważył Andre. - Czy jest stąd inne wyjście?

Denoyer wyjrzał przez okno. Na końcu podjazdu ktoś kopał w pręty bramy.

- Chodźcie ze mną. - Zgarnął obrazy, poprowadził ich na tyły domu, stamtąd na taras i tunelem do hangaru. - Muszę zadzwonić na policję - oświadczył. - To oburzające.

Kamilla wzdrygnęła się, kiedy ten okropny człowiek wpakował w bramę nowy magazynek. Wiedziała, że zaraz dostanie silnej migreny.

- Rudi! Rudi! Powstrzymaj go! To Cap Ferrat, na litość boską! Holtz nie zwracał na nią uwagi, obserwował Paradou, który kopniakiem sprawdzał zamek. Francuz pokręcił głową.

- Chce pan, żebym spróbował staranować bramę samochodem? - zapytał.

Zagryzając wargę, Holtz patrzył przez pręty i usiłował pogodzić się z myślą, że jest za późno. Denoyer pewnie już dzwoni na policję i mają tylko jedną drogę odwrotu: tę, którą przyjechali. Czas się wynosić; nie może ryzykować, że wpadnie w pułapkę. Pojął, że nie dostanie obrazu - w każdym razie nie tutaj. Ale Pine wróci do Nowego Jorku, a wtedy... Ruch w oddali, za czubkami drzew, skłonił Holtza do popatrzenia ukosem pod słońce. Zobaczył coś małego, co na ciemnym lustrze morza zostawiało długą białą szramę, w prostej linii wybiegającą spod domu. Odstąpił od bramy.

- Mniejsza z tym -- powiedział. - Zawieź mnie na lotnisko.

Żadne z nich nawet nie odetchnęło, dopóki motorówka do ciągnięcia nart wodnych, głęboko zanurzona pod ciężarem pięciorga pasażerów, nie znalazła się o dwieście jardów od brzegu. Lucy przestała mocno ścisnąć dłoń Andre.

- Bardzo niechętnie to mówię - powiedziała - ale dostaję morskiej choroby, jeśli się czymś nie zajmę.

Andre popatrzył na nią z uśmiechem. Nigdy w życiu nie widział mniej chorowitej twarzy.

- Czy nie zajęłaby cię myśl o spędzeniu kolejnego tygodnia w Paryżu?

- Pomogłaby. - Lucy wyciągnęła rękę i starła mu pianę z twarzy. - Dwa tygodnie zdecydowanie by wystarczyły.

Denoyer zredukował prędkość, włączył bieg jałowy i odwrócił się, aby popatrzeć na dom.

- Oburzające - powtórzył. - Pistolety! Gangsterzy na Cap Ferrat! Scandaleux. Jedno mogę panu powiedzieć, monsieur Pine. Pojedziemy prosto na policję w Saint-Jean, a potem nie będzie już z Holtzem żadnych interesów. - Uśmiechnął się do Cyrusa, który osłaniał oba płótna marynarką. - Oczywiście byłbym znacznie szczęśliwszy, gdyby na świecie znajdował się o jeden falsyfikat mniej.

- Istotnie - przyznał Cyrus. - Bezwzględnie. W pełni rozumiem pański punkt widzenia. Nico?

Holender westchnął. Nachylił się do Cyrusa i wybrał płótno. Podniósł je do twarzy, ucałował i rzucił za siebie, tak zamachnąwszy się do tyłu, że o mało nie przewrócił łodzi. Obraz wylądował na płask i lekko podskakiwał na powierzchni, a „Kobieta z melonami” wpatrywała się w niebo, kiedy woda zalewała jej twarz.

- Mam w Bogu nadzieję, że to był ten właściwy - powiedział Cyrus. Ale powiedział to w duchu.